


SALAMANDRA

JONATHAN CARROLL
KOBIEȚA, KTÓRA
WYSZŁA ZA CHMURĘ




REBIS

JONATHAN CARROLL

**KOBIETA, KTÓRA
WYSZŁA ZA CHMURĘ**

I INNE OPOWIADANIA

PRZEŁOŻYŁ JACEK WIETECKI

Kobieta, która wyszła za chmurę

Jak mu to powie? Jak ma spojrzeć mu w oczy i oświadczyć: Przykro mi, ale seks z tobą to kompletna porażka. Nie lubię, kiedy mnie dotykasz. Nie lubię, kiedy mnie całujesz, ale najbardziej brzydzę się twoim zapachem. Gdzieś czytała, że jeśli nie podoba ci się woń drugiej osoby, to znaczy, że wasze geny są niedopasowane. Ciało ostrzega cię przed konsekwencjami: jeśli połączysz się z tym człowiekiem, wasze dzieci prawdopodobnie nie będą zdrowe. Może gdyby przedstawiła mu to jako problem biologiczny - lubię cię, ale cóż począć, nie ma między nami chemii...

Miał także wiele zalet - był zabawny, cierpliwy i wspinałomyślny. Czy można oczekiwać czegoś więcej?

- Jestem coraz bardziej skłonna zadzwonić po Nie-nawistnika.

- Bałam się, że to powiesz. - Ramona zamknęła oczy i pokręciła głową. - Jest aż tak źle? Nie ma szans na uratowanie tego związku?

Siedziały w barze przy Czwartej Ulicy, gdzie można było się napić dobrego piwa z beczki, a przystojny Holender za barem władał pięcioma językami.

Siostry Candelen, Lia i Ramona - zwana Ray - siedziały obok siebie przy barze. Menno, oparty oburącz o kontuar, stał po drugiej stronie. Jak zwykle z radością przysłuchiwał się ich rozmowie. Lubił je. W jednej z nich był zakochany. Chwilę wcześniej postawił przed nimi zimne piwo w kufkach. Poczekają, aż wróci, zanim podjęły watek. Menno był mężem Ray.

Ray upiła mały łyk piwa.

- Ile razy go zabiłaś? - zapytała ostrożnie.
- Dwa. Ostatnio strzeliłam mu prosto w głowę. Nie żył przez jakąś godzinę. Potem weszłam do kuchni i zobaczyłam, że zajada jajecznicę.

Menno parsknął i potrząsnął głową.

- Czy ten facet je coś oprócz jajecznicy?

Twarze sióstr przybrały podobny wyraz - zdesperowanego rozbawienia. Rozbawionej desperacji. Rzeczywiście zdawało się, że Patrick żyje na smażonych jajkach.

- Sama jestem sobie winna. Kiedy go robiłam, nie ka-
załam mu jeść nic innego - westchnęła Lia.

- OK, ale zastrzeliłaś go dwa razy. To dopuszczalna liczba. - Ray obróciła się do Menno i ujęła go za rękę. Na grzbiecie jego dłoni był tatuaż przedstawiający bulterier- ra. - Pamiętajsz, ile razy ja cię zabiłam?

- Dwa.

Puściła jego dłoń.

- Przestań! Nie zabiłam cię dwa razy. To niemożliwe.

- Ależ tak, skarbie. Na samym początku. Trudno cię było zdobyć.

Ray zakryła dłońmi usta jak mała, zakłopotana dziewczynka.

- To okropne! Jak ty ze mną wytrzymałaś?

- Zaraz-zaraz - wtrąciła Lia. - Rozmawiamy teraz o MNIE, a nie o was, kochane gołąbeczki. Potrzebuję pomocy.

Na drugim końcu baru usiadł nowy klient i Menno poszedł tam przyjąć zamówienie.

Ray przesuwała kufel między dłońmi.

- Można mu przypiąć jakąś łatkę? Powiedz na przykład, że nie da się żyć z takim sknerą...

-Już ci mówiłam: Patrick jest bardzo szczodry. To pierwszy punkt, który zaznaczyłam na podaniu - musi być szczodry. Pamiętasz Jasona...

-Brrr! - Ray wytknęła język. - Tylko nie Jason. Nic dziwnego, że po nim wolałaś chmurę. Jason był najgorszym kandydatem na męża w historii ludzkości. Przepraszam, że do tego wracam, Lia, ale na miłość boską, jak mogłaś się z nim związać?

-Mówiłam ci sto razy. Z powodu seksu. Dosyć tego: następne pytanie. Jason nie zapłacił za siebie złamanego centa. Pewnie kasowałby mnie za seks, gdyby uznał, że ujdzie mu to na sucho. Nie mówiąc o tym, że mieszkał u mnie, nie dokładając się do czynszu... - Lia umilkła na moment. - Dlatego wybierając chmurę, zaznaczyłam na formularzu punkt MUSI BYĆ SZCZODRY.

-Z tego, co mówisz, wynika, że zapomniałaś zaznaczyć DOBRY SEKS.

Lia wahała się przez chwilę.

-Nie zapomniałam.

-Ale powiedziałaś przecież...

Lia uniosła rękę, nakazując siostrze, aby umilkła.

-Jason był, jaki był, ale pokazał mi, jak wspaniały może być seks. Więc naturalnie chciałam mieć kochanka, który by go godnie zastąpił. Patrick po prostu... no, nie nadaje się, rozumiesz? Jest chętny i namiętny, zna wszystkie sztuczki, ale między nami nie ma tego CZEGOŚ. Pomijam już jego zapach. Powiem wprost, Ray: nie lubię z nim sypiać. Pod każdym innym względem jest idealny, tylko ten seks... - Urwała, widząc zbliżającego się Menno.

Barman podrapał się po swoim męskim podbródku. Cudowny, przystojny, kochający facet. Ray była żywym

dowodem na to, że można ułożyć sobie życie z chmurą, jeśli tylko właściwie się do tego zabrać.

- Naprawdę, Ray, robiłam, co w mojej mocy, żeby nam się udało. Ale coraz częściej wydaje mi się, że nie ma sensu się męczyć. Czas wezwać Nienawistnika.

- Wiem, Lia, ale pamiętaj, że...

- Powiedz jej. - Menno spojrzał na Ray.

Od razu się domyśliła, o co mu chodzi.

- Jesteś pewien, że powinnam, Menno?

- Tak. Lubię Patricka. Cieszyłbym się, gdyby rozwiązali swoje problemy, tak jak myje rozwiązaliśmy. Proszę, powiedz jej. - Patrzył żonie prosto w oczy, dając do zrozumienia, że mówi poważnie. - Czy będzie ci łatwiej, jeśli się oddalę?

Zakłopotana Ray skinęła głową i odwróciła wzrok.

Menno odszedł.

- Co on plecie?

Ray przeciągnęła ręką po włosach. Wyraźnie zbierała się w sobie przed tym, co miała do zakomunikowania.

Ciekawość Lii tylko się nasiliła; jej siostra nigdy nie była skryta ani małowówna.

- No, co jest grane, Ray? Wykrztuś to wreszcie!

- Menno też pachnie. To chyba specyfika ich organizmu. - Twarz Ray nabiegła purpurą. - Na początku strasznie cuchnął i całował mnie jak napalony gówniarz. Nie mogłam go znieść. Więc zabiłam go dwa razy - jestem pewna, że dwa razy. Myślałam, że złapie aluzję i wróci na swoją planetę. Na szczęście został.

Na tym między innymi polegał urok serwisu randkowego dostarczającego chmury. Zanim spotkasz się ze swoim potencjalnym partnerem, oboje otrzymujecie od firmy

niewielkich rozmiarów latarki przypominające wieczne pióra. Po naciśnięciu guzika uruchamia się ciemno- błękitny promień lasera. Jeśli partner nie spełnia twoich oczekiwań, strzelasz do niego tym niebieskim światłem, powodując, że znika. Jeżeli druga strona dojdzie do wniosku, że związek można jeszcze uratować, to ma prawo wrócić. Jeśli jednak „zabijesz” go światłem po raz trzeci, dochodzi do trwałej separacji, bez względu na opinię drugiej strony. Rozwód zostaje przypieczętowany podpisami w obecności reprezentującego firmę Nienawistnika, lecz jest to zwykła urzędowa formalność. Plusem takiego rozwiązania jest to, że tuż po ogłoszeniu rozvodu obie strony całkowicie zapominają o swoim partnerze i o wszystkim, co między nimi zaszło. Zupełnie jakby nic się nie stało.

Lia była wstrząśnięta, usłyszawszy, że między jej siostrą i Menno doszło do konfliktów. Ray nawet się na ten temat nie zająknęła. Przeciwnie: jej pozytywne doświadczenia z chmurą skłoniły Lię do porzucenia obaw i podpisania umowy z firmą. Wszystko inne kończyło się fiaskiem. Co z tego, że chmury pochodzą z innej planety? Dość popatrzeć na Ray i Menno. Moja siostrzyczka nigdy nie była bardziej zakochana ani szczęśliwa - jasna cholera, taka stara ZRZĘDA jak ona!

Nikt nie wiedział, skąd naprawdę wzięły się chmury, ponieważ firma nie dzieliła się informacjami. Plotkowano, że jakaś istota z odległej galaktyki, która akurat monitorowała Ziemię, zauważyła, że serwisy randkowe wyrastają w Internecie jak grzyby po deszczu. Potem obcy zaczął oglądać reality show w stylu *Farmer bierze żonę* i *Szukając partnera*. I wtedy, setki lat świetlnych stąd, narodził się genialny pomysł: międzygalaktyczne biuro matrymonialne! Ziemia obfitowała w samotne, urodziwe kobiety, natomiast kosmos

roił się od samotnych samców, zwłaszcza w ostatnich tysiącleciach, kiedy to gwiazdne wojny doprowadziły do przetrzebień armii złożonych z kobiet-wojowniczek. Problem polegał na tym, że - zamiast Ziemi - jedynymi wolnymi samcami byli Zor- gowie, Nelmacy i Chymeanie. Musieli się dostosować. Rezygnowali z przyrodzonej im jaźni i stawali się ludźmi. Większość obcych radziła sobie znakomicie, wywodzili się bowiem z wysoce rozwiniętych cywilizacji, które opanowały sztukę metamorfozy. Życie na ich rodzimych planetach stawało się coraz marniejsze i pośpiejsze, zwłaszcza tam, gdzie brakowało samic, które by im umilały codzienność.

Menno i Patrick pochodzili z tej samej planety. Lia wyraźnie zażądała tego na swoim podaniu. Skoro zdecydowała się na związek, chciała mieć takie same szanse na znalezienie idealnego partnera jak jej nieznośna siostra.

- Mówiłaś mi, że wszystko było cudownie od samego początku!

- Kłamałam. Było fatalnie. Zabiłam go po drugiej nocy.

Po drugiej nocy! Lia miała ochotę udusić siostrę. Wszystkie te „achy” i „ochy”, których się nasłuchiwała - 0 tym, jak czułym kochankiem jest Menno, jaki jest wrażliwy, szarmancki i zabawny... Wydawał się przeciwieństwem Jasona, Guya, Stevea i reszty mężczyzn, którzy przetoczyli się przez jej życie... Co z tego, że przyleciał z innej planety, na której mógł istnieć jako trójgłowy potwór albo inna poczwara. Na Ziemi był diabelnie przystojnym facetem, który traktował jej siostrę jak królową i uchodził w oczach kobiet za doskonałą partię.

Pół roku po tym, jak Ray i Menno zamieszkali razem, Lia nie wytrzymała.

- Wiem, że jesteście szczęśliwi - powiedziała do siostry. - Ale czy nie zastanawiasz się czasem, jak Menno wyglądał na swojej planecie? Nie wyobrażasz sobie, że pod tą piękną powłoką kryje się jakaś glista albo inny robal?

- Nie.

- Naprawdę?

- No dobra, raz przyszło mi to do głowy. Przechodziłam korytarzem, a on siedział akurat w łazience. Usłyszałam, że wydaje z siebie jakieś dziwne dźwięki.

- Jakie dźwięki?

Ray wzruszyła ramionami.

- Trudno to opisać. Ale były BARDZO dziwne - nigdy takich nie słyszałam. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic, więc go zapytałam, co to było. Co to były za odgłosy. I wiesz, co mi odpowiedział? Że się uczył. Powtarzał na głos wiadomości na temat człowieka. No wiesz, jak te mużułmańskie dzieciaki recytujące lekcje w madrasach. Recytują je aż do pełnego zapamiętania. Menno robił to samo, tyle że w swoim języku.

- Nie uważasz jednak, że to dosyć upiorne? Że kiedy jest sam, staje się znowu Marsjaninem albo kimś takim?

- Zamknij się. Jesteś po prostu zazdrosna.

Była to prawda. W tamtym czasie życie miłosne Lii Candelen przypominało opadły suflet, nieznośny ból zęba i wielkie zero na jej emocjonalnym koncie bankowym. Ja-son zmienił się w parszywca, a na horyzoncie nie widać było nikogo, kto by mógł rozproszyć jej smutek.

Co gorsza, Lia patrzyła bezsilnie, jak jej kapryśna, egoistyczna siostra przeobraża się w wesołego ptaszka wyśpiewującego peany na cześć miłości, w związku z tym, że internetowe biuro matrymonialne skojarzyło ją z obcym

stworem podszywającym się pod istotę ludzką! Z początku rozpaczliwy krok Ramony budził tylko jej współczucie, szybko jednak poczuła dziką zazdrość, widząc, jak uroczy Holender składa hołdy jej siostrze. Dał sobie nawet zrobić tatuaż!

Być może właśnie to przeważało: wieczność tatuażu. Może dzięki temu Lia w końcu przełamała się i zwróciła do chmury z prośbą o nadesłanie formularza aplikacyjnego.

Wyjęła wielką kopertę ze skrzynki, zanosła ją do kuchni i położyła na stole; przez chwilę gapiała się w zgni- łozielony papier. Czyżby upadła tak nisko? Czy jej życie było do tego stopnia wyprane z uczuć i romantyzmu, że godziła się wpuścić pozaziemską istotę do swojej głowy, do swego łóżka, a może nawet do serca?

Owszem, godziła się.

- Co to znaczy „aseksualny”? - Trzeci raz tamtej nocy dzwoniła do Ray, wypytyując ją o różne punkty formularza.

- To chyba znaczy, że nie chodzi ci tylko o seks, ale że szukasz towarzysza.

- Gdybym szukała towarzysza, tobym sobie kupiła jamnika.

Ray, która nie była ani cierpliwa, ani wyrozumiała, tym razem przybrała łagodny ton głosu.

- Po prostu wypełnij formularz, Lia. Zrób to sama. Wszystko będzie dobrze. Przecież mnie się udało, no nie? - Co rzekłszy, Ray popatrzyła na Menno. Siedział w drugim kącie pokoju i wykrzywił się do niej komicznie. Z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

Menno uważał, że to śmieszne, iż Lia wydzwania tyle razy w sprawie jednego głupiego podania.

- Czy ona nie widzi, że to jedna wielka ścierna? Tak

naprawdę chcemy poznać wasze preferencje. Dowiedzieć się, jakiego mężczyzny pragniecie. Staniemy się dokładnie tacy, jak sobie zażyczycie. Wysoki, przystojny brunet? Proszę bardzo. Żeby tańczył jak Fred Astaire? Do usług. Powiedzcie, czego chcecie, a będzie wam dane. Prosta sprawa.

Ramona potrząsnęła głową z zachwytem; Menno był inteligentny, ale szalenie naiwny.

- Mylisz się, skarbie. Nadal nie rozumiesz ludzkiej psychiki. Nasz romans powinien mieć w sobie jakąś tajemnicę, a nie być księgą wniosków i uwag. Chcemy zdać się na przypadek. Gdyby rzecz sprowadzała się li tylko do wypełnienia listy, romans byłby jak pójście do apteki i zrealizowanie recepty. Do apteki idzie się po lekarstwa. Na randkę idzie się z nadzieją, że zdarzy się CUD.

Menno zamyślił się z poważną miną.

- Ale ty też wypełniłaś podanie o chmurę, Ray. Więc chyba nie oczekiwałaś cudów. Z tego, co mówiłaś o swoim stanie psychicznym, zakładałam, że szukałaś wtedy czegoś na bank.

- Zgoda, wtedy tak było. Ale uważałam, że te wszystkie pytania to zwykłe mydlenie oczu. Myślałam, że mam do czynienia z normalnym biurem matrymonialnym, w którym dają ci formularz, żebyś zaznaczył cechy, jakich szukasz u swego partnera. Potem biuro kojarzy cię z osobą o podobnym guście. Tyle że to, co ludzie piszą, ma się zazwyczaj nijak do tego, czego RZECZYWIŚCIE pragną.

Ponownie zabrzączał telefon - oboje wiedzieli, kto to. Patrick wszedł różnym krokiem do baru, szczerząc się w uśmiechu i pocierając dłonie, jak gdyby mu było zimno. Cała jego postać zdawała się wołać: Jak się cieszę, że tu jestem!

Lia - jęgo cudowna Lia - siedziała z Ramoną i jeszcze

jakąs kobietą, której nie znał, w położonej w głębi baru kabinie. Obie siostry były ładne, Patrick uważał jednak, że Lia bije Ramonę na głowę, bo za nic nie można jej polubić. Jej charakter przejawiał się we wszystkim, co mówiła i robiła. Nawet gdy miała dobry humor, nie umiała się powstrzymać od grymaszenia. Gdy zaś dopadała ją chandra, nienawidziła całego świata, a zwłaszcza JEGO. I za to ją kochał.

Starał się jak mógł, by zadowolić swoją nową dziewczynę. Bez skutku Cóż za wspaniałe wyzwanie! Patrick uwielbiał wyzwania. Czuł się nieswojo, gdy wszystko układało się łatwo i zgodnie z planem. Lubił projektować, wyliczać i przygotowywać się do działania. Czytanie map i wytyczanie nowych, krótszych dróg do celu - czysta rozkosz. Gdyby istniała mapa serca Lii Candelen, dawno już nauczyłby się jej na pamięć.

- Witam panie! - Usiadł koło Lii i musnął jej rękę. Spozrzegł, że wszystkie trzy wydają się przygnębione. - Czy coś się stało?

- Patricku, to jest Fionulla.

- Cześć, Patrick.

Nikt się nie odzywał, aż w końcu cisza stała się nie do wytrzymania.

Postanowił zagać rozmowę.

- No więc... czym się zajmujesz, Fionulla?

- Jestem Nienawistnicą.

- Co?! - Odsunął się i popatrzył współczująco na Ramonę. - Nie wiedziałem, że macie jakieś problemy. - Obniżył głos o pół tonu, w razie gdyby Menno mógł go usłyszeć.

Siostry wymieniły spojrzenia, a potem przeniosły je na Fionullę.

- Nie przyszłam tu z powodu Ramony, tylko ciebie i Lii.

Z jego twarzy spłynęły nagle wszelkie emocje. Było to o tyle dziwne, że Lia nie знаła drugiego mężczyzny, który by miał równie ożywioną twarz jak Patrick. Bez względu na to, czy się cieszył czy smucił, zawsze odbijały się na niej sprzeczne emocje. Oczy wyrażały jedno, a usta drugie, nawet gdy marszczył nos, przełykał ślinę albo oblizywał wargi - wszystko to wskazywało, co dzieje się w jego głowie. Z czasem Lia nauczyła się odczytywać język jego twarzy i ciała. Teraz malowała się tam tylko pustka. Pierwszy raz widziała takie oblicze Patricka. Wyglądał jak zawodowy zabójca albo wojownik ninja na moment przed zadaniem śmiertelnego ciosu.

- Czego chcesz od mnie, Fionullo? - zapytał hardym, wyzywającym tonem. Jego wzrok przesunął się z leżących na kolanach dłoni na Fionullę. Nawet ona wydawała się zaskoczona siłą jego zimnego spojrzenia.

Ni stąd, ni zowąd atmosfera w barze stała się tak napięta, że Lia zaczęła oddychać płytko i nierówno. Nagle dotarło do niej, że jej sympatyczny chłopak jest w istocie stworem z innej planety, sprawiającym takie wrażenie, jakby chciał uczynić coś okropnego.

- Chodzi o zapach, tak? - zapytał już spokojnie.

Fionulla zerknęła na Lię, nie wiedząc, czy ma odpowiedzieć. Patrick uznał to za potwierdzenie. Obrócił się twarzą do Lii.

- Dłatego tu przyszła, tak? - spytał. - Wezwałaś ją, bo przeszkadzał ci mój zapach? Zapach mojego ciała?

Jak się domyślił? Ani razu nie wspomniała mu o tym problemie, choć rzeczywiście miała dość jego smrodu. Unikając jego wzroku, gapiała się nieruchomo w blat stolika.

- A także seks - bąknęła.

- I dlatego sprowadziłaś Nienawistnicę? Dlatego dwa razy mnie zabiłaś?

Nie podnosząc głowy, Lia przytaknęła szybko i zdecydowanie. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że cała ta koszmarna rozmowa dobiegła już końca.

- Więc skłamałaś przedtem, podając powód, dla którego mnie zabiłaś? Tak naprawdę chodziło ci o zapach i seks?

Milczała.

- W porządku, Lia. Zmieniamy reguły gry. Koniec z udawaniem. Powąchaj swoją dłoń.

Spojrzała na niego zdezorientowana.

- Co takiego?

- Powąchaj swoją dłoń. No już, czekam.

Lia była wstrząśnięta. Patrick nigdy przedtem nie podniósł na nią głosu. Zbliżyła rękę do nosa i powąchała ją nieśmiało. Jej oczy rozszerzyły się. Gapiła się w Patricka.

- To twoja własna woń - oznajmił rzeczowo.

- Jak to?

- Czujesz własny smród. Ten sam, którego nie znosiłaś u mnie. Jest twój i tylko twój.

- Co ty wygadujesz, Patrick? - spytała oburzona i jeszcze raz obwąchała ukradkiem grzbiet rwojej dłoni. Natychmiast go wyczuła: aż nazbyt dobrze znajomy smrodek. Była to jakaś dziwna metaliczna zgnilizna, niczym opiłki metalu zmieszane z zepsutym mięsem.

Rozpoznawała tę woń momentalnie - gdy stanęli blisko siebie, gdy się kochali, ilekroć przewracała się nocą w łóżku na drugi bok. Na początku ich znajomości, kiedy sprawy wyglądały różowo, myślała, że się przyzwyczai. A jednak było inaczej. Za każdym razem, gdy smrodek drażnił jej nozdrza, marszczyła brwi, wzdragała się albo skręcała z

obrzydzenia.

- Ten zapach jest kwintesencją wszystkiego tego, czego w sobie nie lubisz. - Patrick potarł dłonią czoło. - Twoim cuchnącym destylatem.

Było mu przykro, że musi jej o tym mówić, ale czuł się głęboko urażony faktem, że zamiast z nim porozmawiać, Lia wezwała Nienawistnicę. Ludzka część jego jaźni chciała się na niej odegrać.

Kobiety przyglądały mu się, czekając, co teraz zrobi. Fionulla nie miała nic do stracenia, ale była ciekawa, co się stanie. Wykonywała po prostu swoją pracę. Zawsze mogła przy tej okazji nauczyć się czegoś nowego; wykorzystać to w przyszłości.

Ramona Candelen wiedziała, co Patrick powie jej siostrze, mając zarazem nadzieję, że sama nie będzie musiała tego uczynić.

- Na planecie, z której pochodzę, mieszkają optymiści. Pod tym względem Menno i ja jesteśmy do siebie podobni, prawda, Ramono?

- Prawda.

- Ciągłe żywimy nadzieję. Jesteśmy rasą pełną ufności. Szczerze wierzymy, że jeśli damy z siebie wszystko, sprawy wyjdą na prostą. Więc kiedy tu przybyłem i zobaczyłem, jaka jesteś nieszczęśliwa, zabrałem się do poznawania tego, czego w sobie nie lubisz: twoich złych nawyków, nagłych napadów chandry, wrednych myśli, które tak często psują ci humor. Nieustannej zazdrości, jaką żywisz wobec innych ludzi, i tego wiecznego przekonania, że życie potraktowało cię per nogam, choć w głębi duszy wiesz, że tak nie jest. Powiem ci, Lia, czemu twoje życie jest do bani: ponieważ jesteś nadąsaną mizantropką. Twoja szklanka jest wciąż w połowie pusta,

choćby wypełniał ją najlepszy szampan. - Patrick westchnął głęboko, po czym wypuścił z sykiem powietrze. - Wiesz, co to jest Nez?

- Nie. - Ledwie mogła oddychać.

- To francuskie słowo oznaczające nos. Tak samo nazywa się perfumiarzy, którzy muszą mieć wyostrzony zmysł węchu. W pewnym sensie ja byłem twoim zapachem. Wziąłem wszystko to, czego Lia Candelen nie lubiła w sobie i w swoim życiu, i zamieniłem to w niepowtarzalne perfumy: Eau de Lia. A potem się nimi wykropi-łem. - Patrick uniośł palec w górę, jakby chciał podkreślić wagę wypowiedzianych słów. -

Chciałem, abys poczuła tę przykrą woń na kimś innym - najlepiej na mężczyźnie, na którym ci zależy. Mężczyźnie tak dla ciebie ważnym, że byłabyś gotowa wybaczyć mu jego niedociągnięcia, na przykład nieprzyjemny zapach...

Sądziłem, że przenosząc te złe cechy na siebie, dam ci świeże spojrzenie na życie, że ocenisz je na nowo. Że dzięki temu zaakceptujesz je w całym jego pięknie i szpetocie. Że twoje poczucie nieszczęścia się zmniejszy. A jeśli nie będziesz w stanie znieść tego zapachu, to się zmienisz i zauważysz wtedy, że zapach także złagodnieje.

Przestraszona Lia przyłożyła rękę do gardła i obróciła się ku siostrze.

- Czy to prawda, Ray? Tak samo było z tobą i Menno?

- Mniej więcej. Zmieniłam się, bo go pokochałam. Wtedy ten smrodek zniknął. Albo przywykłam do niego - a raczej do siebie samej. Może w końcu zaakceptowałam siebie i zapach przestał mi przeszkadzać. Nie wiem, na czym to polegało, Lia, ale wiem, że nie czuję już żadnego smrodu.

- Mówiłaś też, że na początku Menno nie umiał się całować.

Ray uśmiechnęła się.

- Owszem, nie umiał, ale go nauczyłam.

Lia czuła, że musi jeszcze raz powtórzyć to, co usłyszała od Patricka.

- Wyciągnąłeś ze mnie wszystko to, co nie podoba mi się we mnie i w moim życiu, i przerobiłeś to na ZAPACH?

Skinął twierdząco głową.

- I udawałem, że to JA tak pachnę - dodał.

- Potrafisz zrobić coś takiego?

- Tak.

- Menno też?

- Sam mi podsunął ten pomysł. Powiedział, że to pomogło jemu i Ray. Więc uczepiłem się tej szansy. Byłem na skraju rozpacz. Zrobiłbym absolutnie wszystko, Lia, byle tylko ocalić nasz związek. Nie mam takiej fantazji jak Menno. Ten pomysł z zapachem nigdy by mi nie przyszedł do głowy, ale nikt nie może się ze mną równać, jeśli chodzi o wytrwałość w dążeniu do celu. A moim celem byłaś TY, Lia. Chociaż zabiłaś mnie dwa razy, odrzucałem to od siebie, ponieważ byłem pewien, że nam się uda. Ty jednak wezwiałaś Nienawistnicę! Dlaczego najpierw ze mną nie porozmawiałaś? Przecież jestem drugą połową tego związku. Ja nigdy bym ci nie wykręcił takiego numeru.

Wpatrzona w jego obolałą twarz Lia odpowiedziała bez chwili wahania, jakby ta myśl wyskoczyła z niej, nim zdążyła ją ubrać w dyplomatyczne lub piękne słowa.

- Może w głębi ducha LUBIĘ siebie właśnie taką. Może jestem urodzoną zrzędą, która czuje się najlepiej, trzymając w rękę w połowie pustą szklankę... Nie jestem zarozumiała ani cyniczna. Często złoścę się i smucę, ale być może najszcześliwsza jestem wtedy, kiedy jest mi źle. Kiedy świat

mi się nie podoba i mogę zżymać się na różne rzeczy. -
Ledwo skończyła mówić, poczuła, że to prawda. Jakby
zamiast niej odezwało się jej serce.

Ramona i Fionulla siedziały bez ruchu.

Patrick skrzywił się z obrzydzeniem.

- To jest chore. - Na moment jego oczy błysnęły dziką
wściekłością, jak gdyby miał ochotę rzucić Lią o ścianę.
Jednak impuls ten natychmiast zgasł i na jego twarzy znów
odmalował się wyraz smutku.

Poprosił Fionullę o dokumenty i postukując palcem w
blat, czekał niecierpliwie, aż Nienawistnica otworzy swoją
wytartą skórzaną teczkę i wyciągnie dwie białe kartki papieru
zadrukowane identycznym tekstem. Jedną z nich podsunęła
Patrickowi, a drugą Lii.

- To standardowe zwolnienie od zobowiązań, które
pokazano państwu, gdy podpisywaliście umowę z firmą.
Możecie je spokojnie przejrzeć albo też - jeśli chcecie -
skonsultować się z adwokatem. Zostaliście o tym wyczer-
pująco poinformowani, gdy zaaprobowano wasze wnioski
aplikacyjne. Jestem pewna, że pamiętacie. Niniejszym
wyrażacie zgodę na zakończenie związku zawartego za
pośrednictwem mojej firmy. Od tej chwili chmura przejmuje
pełną odpowiedzialność prawną za waszą historię i może ją
wykorzystać tak, jak uzna za stosowne. Państwo zrzekacie się
wszelkich do niej praw, choć wraz z jej zakończeniem żadne
z was nie będzie pamiętać o tym, że miało partnera czy żyło
w związku. To samo dotyczy waszych bliskich i przyjaciół,
którzy wiedzą o łączącej was umowie. - Fionulla utkwiała
wzrok w Ramonie, którą skinęła głową na znak, że rozumie
warunki i zgadza się na nie.

Patrick wyjął długopis i szybko podpisał swój egzem-

plarz. Odsunął go z powrotem w stronę Nienawistnicy.

- Proszę mi przypomnieć, co się teraz ze mną stanie...

- Nic. Powróci pan na swoją planetę z wyczyszczoną pamięcią. Będzie pan żył tak samo jak przedtem. Może pan w każdej chwili zgłosić się ponownie do chmury, jeśli przystanie pan na warunki umowy.

- Mam nadzieję, że spróbujesz ponownie, Patricku - odezwała się czule Lia, składając swój podpis. - Mam nadzieję, że znajdziesz cudowną kobietę, która...

- Zamknij się, Lia. Ani słowa więcej. Podpisz ten papier i pozwól mi odejść.

Fionulla wzięła dokument od Lii, sprawdziła obydwa podpisy, przytaknęła i wsunęła umowę do teczki. Lia wydobyla latarkę z kieszeni, wycelowała ją w pierś Patricka i unikając jego wzroku, przycisnęła guzik.

Miesiąc później, w dżdżyste wrześniowe popołudnie, siostry siedziały w tej samej barowej kabinie. Gdy skończyły im się tematy do rozmowy, wgapiwszy się w okno, obserwowały szary świat na zewnątrz. Co chwila dobiegał stamtąd stłumiony syk samochodów, których opony toczyły się po mokrej, ruchliwej jezdni.

- No więc, co chcesz robić wieczorem? - Ramona przesuwiała pusty kufel tam i z powrotem.

- To, co zwykle robię sama. Zjem kolację i obejrzę *Zepsutą miłość*. Wiesz, odkryłam coś niesamowitego. W dzisiejszym programie telewizyjnym jest wzmianka, że pojawi się nowa postać o imieniu Lia, pisany tak samo jak moje.

- Naprawdę? - Ramona lekko się ożywiła. - Przecież to imię zawsze pisze się L-E-A-H.

- Właśnie. Dlatego muszę to zobaczyć. I tak oglądam

ten program - prawdę mówiąc, jestem totalnie uzależniona. Zresztą oglądają go wszyscy moi znajomi, mężczyźni i kobiety.

- Jak ma na imię jej partner?

Lia wzruszyła ramionami.

- Patrick. Ładne irlandzkie imię, prawda? W najbliższym odcinku *Zepsutej miłości* moja imienniczka przeżywa miłosny odcinek z Irlandczykiem pochodzącym z innej planety. Nie możesz tego przegapić. - Lia odstawiła kufel. - Muszę lecieć, Ray. Pozdrów ode mnie Menno.

Niech się stanie przeszłość!

Eamon Reilly był przystojny i niedbały. Zdawało się, że zna wszystkich i każdego z osobna, łącznie z kelnerkami. Kiedy wchodził do restauracji, rozpromienione zaczynały z nim flirtować, zanim usiadł przy stoliku. Byłem tego świadkiem wiele razy i w różnych miejscach, także tych, w których pojawiliśmy się pierwszy raz. Gdy pytałem, czy zna te kobiety, zawsze zaprzeczał.

Miał serce na dłoni i to działało na ludzi. Lubili go nawet wtedy, gdy był nie do zniesienia, czyli dosyć często. Jeździł starym, sfatygowanym mercedesem, przeżartym brudem na wskroś. Kiedy chciałeś wsiąść do tego auta, Eamon przerzucał rzeczy z fotela na tylną kanapę. Było tam wszystko: metalowa różdżka, pudełko pieluch (był kawalerem), rękawica do jai alai, a raz widziałem nawet pomarszczone zdjęcie sławnej aktorki z czułym autografem. Pisał drukowanymi literami - tak precyzyjnie, że można by sądzić, iż wystukano je na maszynie. Codziennie prowadził drobiazgowy pamiętnik, z którym się nie rozstawał, choć nikomu nie pozwalał do niego zaglądać. Jego życie uczuciowe było pasmem nieszczęść; zastanawialiśmy się, dlaczego żadna kobieta nie związała się z nim na dłużej.

Kiedyś przez parę tygodni był z moją dziewczyną Avą. Gdy jednak zdobyłem się wreszcie na odwagę, aby zapytać, czemu z nim zerwała, nie chciała z siebie nic wyduścić.

- Nie pasowaliśmy do siebie.

- No i?

- No i tyle. Pewni ludzie nie mogą się dopasować. Możesz się z kimś takim przyjaźnić, ale gdy tylko zostanie twoim kochankiem, mieszanka robi się nieodpowiednia, bo ja wiem - toksyczna czy jakaś... Eamon to porządny facet, z którym można gdzieś wyskoczyć, ale zupełnie nieodpowiedni kochanek.

- Dlaczego?

Ava zmrużyła oczy w szparki, co zwykle oznacza, że uważa temat za zamknięty, ale tym razem było inaczej.

- Siadaj.

- Co takiego?

- Usiądź. Opowiem ci pewną historię. I nie będzie ona krótka.

Kiedy Ava mówi, że masz coś zrobić, po prostu robisz to i kropka. Ava lubi desery, politykę zagraniczną, prawdę, groźne sytuacje i zdumienie, niekonieczne w kolejności, w której je wymieniłem. Jako dziennikarka podróżuje do najniebezpieczniejszych obszarów na kuli ziemskiej: Spin-kai Raghzai w Pakistanie albo do Sierra Leone. Można ją zobaczyć w telewizji, jak podtrzymuje hełm na głowie, podczas gdy nieopodal startuje śmigłowiec, zostawiając ją i jej ekipę na jakimś przyczółku albo w opustoszałej wiosce, którą kilka godzin wcześniej ostrzelali rebelianci. Jest nieustraszona, pewna siebie i niecierpliwa. Poza tym jest w ciąży, dlatego siedzi teraz w domu. Jesteśmy niemal pewni, że to moje dziecko, ale nie można wykluczyć, że jednak

Eamona.

Znam Avę od dwunastu lat, a od mniej więcej jedenastu jestem w niej zakochany. W tym okresie nie okazała mi praktycznie żadnego zainteresowania z wyjątkiem paru nocnych telefonów z dziwacznych miast, na przykład Ougadougou czy Aleppo. Na linii zawsze panował szum. Z reguły - przed narodzinami telefonii satelitarnej - rozmowa urywała się w połowie zdania, jakby druty telefoniczne miały dość naszej paplaniny i zasypiały ze zmęczenia.

Później wyznała, że przez jakiś czas brała mnie za geja. Ale kiedy po powrocie z misji na końcu świata przekonała się, że mieszkam pod jednym dachem z Jan Schick, moja gejowska kariera raz na zawsze wywietrzała jej z głowy.

Biedna Jan nie miała szans z Avą Malcolm. Przypuszczałem, że Avę już zawsze przyjdzie mi kochać na odległość, byłem wdzięczny za każdą spędzoną z nią chwilę. Podziwiałem tę utalentowaną i dzielną kobietę, która odważyła się żyć na miarę swoich marzeń.

Wtedy ją postrzelono. Ironią losu nie w jakiejś śmierdzącej tropikalnej dziurze, gdzie źli ludzie ujeżdżają zwierzęta zamiast czołgów, tylko w sklepie ogólnospożywczym oddalonym o cztery przecznice od jej nowojorskiego mieszkania. Wyjście po butelkę czerwonego wina i paczkę czipsów serowych zakończyło się spotkaniem z kretynem o imieniu Leaky, próbującym obrabować swój pierwszy sklep przy użyciu broni palnej, która, jak zeznawał, wypaliła mu przypadkiem w rękę - dwa razy. Jedna z kul drasnęła Avę w ramię. Ponieważ jednak pocisk wyszedł z glocka G 36, „draśnięcie” okazało się poważne. Zapewne do niczego by nie doszło, gdyby Ava - tak jak reszta klientów - padła plackiem na podłogę, gdy tylko

Leaky zaczął drzeć mordę. Jednak Ava jak to Ava - musiała zobaczyć, co się dzieje, no więc stała tam, dopóki wycelowany w jej stronę pistolet nie wystrzelił.

Jako reporterka Ava naoglądała się niemało okropieństw, ale zawsze uchodziła z nich cała. Otrzymany postrzał, jak to często bywa w przypadku ludzi, którzy zostają ciężko ranni, spowodował u niej jednak głęboki uraz psychiczny. Po wyjściu ze szpitala - jak sama stwierdziła - „podróżowała, bzykała facetów i ukrywała się przez rok”.

- Wyszłam ze szpitala z ręką na temblaku i tyłkiem w ogniu. Co tu gadać, byłam szalona na sto czterdzieści procent. Chciałam żyć dwa razy intensywniej niż przedtem, zobaczyć dwa razy więcej, zaliczyć tylu mężczyzn, ilu tylko zdołam. Otarłam się o śmierć i uświadomiłam sobie, że chcę czerpać z życia pełnymi garściami... Zużyłam wszystkie punkty w programie *e frequent flyer*, jakie łączyły mi się z pracy. Nie wahałam się prosić o przysługę ludzi, którzy byli mi coś winni, bo dzięki temu docierałam do miejsc, na których mi zależało. Zaszłam się na dłużej w południowo-zachodniej Rosji, ponieważ ten teren przypominał Dzikie Zachód, gdzie ropa i pieniądze płyną strumieniami. - Urwała na moment. - To właśnie w Baku poznałam Yit.

Była to typowa opowieść w stylu Avey. W przekazach telewizyjnych potrafiła zawrzeć istotne informacje w paru idealnych zdaniach i nie zostawiała żadnych niejasności. Natomiast opowiadając historię albo anegdotę prywatnie, tak się przy tym angażowała, że kompletnie pomijała takie drobiazgi jak to, że możesz nie wiedzieć, gdzie jest Baku albo co to jest Yit.

- Wyjaśnij mi, proszę, te dwa ostatnie pojęcia.

- Azerbejdżan - odparła zniecierpliwiona. - Baku to

stolica Azerbejdżanu.

- W porządku. A co to jest Yit?

- To samo co džellum.

- Jakie znowu żelkum?

- Yit to inne określenie na džellum, czyli kogoś w rodzaju szamana. Oznacza połączenie mędrca i wróżbity. Ale w Azerbejdżanie džellumami są wyłącznie kobiety, co jest o tyle ciekawe, że społeczeństwo to jest silnie patriarchalne, bardzo macho.

- OK: Baku i Yit.

Wychyliła się i cmoknęła mnie w kącik ust.

- Nie obrażam się, że mi przerywasz i prosisz o wyjaśnienia. Większość ludzi pozwala mi kłapać dziobem.

- Kontynuuj.

- Dobrze. No więc pod koniec chciałam pomieszkać trochę w Baku, bo toczy się tam akcja jednej z moich ulubionych powieści, *Ali i Nino*. Z zamieszczonych w książce opisów wynika, że Baku to jedno z najbardziej romantycznych miejsc na kuli ziemskiej. Rzeczywistość nie wygląda tak różowo, ale mniejsza z tym. Zwiedziłam samorządowy okręg Baku o nazwie Sabunczy. Moim przewodnikiem był Magsud, mówiący płynnie po angielsku Azer, z którego usług moja sieć korzystała już wcześniej. Tak więc znałam go dobrze. Wiedział, co lubię i czym się interesuję. Tym razem nie byłam w pracy, wynajęłam go, żeby mnie oprowadził po mieście... Kiedy dojechaliliśmy do Sabunczy, Magsud powiedział, że mieszka tu jedna z najsłynniejszych džellum w Rosji. Czy chciałabym ją odwiedzić? Wróżenie z ręki, astrologia i tarot są dla kobiety jak narkotyk. Pokażcie mi drogę do najbliższego jasnowidza albo medium! Jasne, powiedziałam, bardzo chętnie spotkam się z Yit... Miała na

imię Lamija, co po azer- sku znaczy „wysztalcona”. Zajmowała małe lokatorskie mieszkanie na szarym, betonowym osiedlu z lat pięćdziesiątych - typowa dla komunistów bezduszna zabudowa - gdzie wszystkie bloki wyglądają tak samo i łatwo można się zgubić. Mieszkanie składało się z dwóch pokoi, ale my zobaczyliśmy tylko salonik, w którym mimo południa panowały egipskie ciemności. Lamija siedziała na kanapie. Obok stała pleciana kołyska. Przez cały czas trzymała w niej jedną rękę, jakby przez dotyk chciała uspokoić leżące tam niemowlę. Kiedy usiedliśmy, spytała Magsuda, czy słyszałam o lal bała, czyli milczącym dziecku. Zaprzeczył. Poprosiła, aby mi o tym opowiedział, zanim sama przystąpi do rzeczy. Oczywiście nie rozumiałam ich, bo mówili po azersku. Ale spostrzegłam, że Magsud się krzywi, więc wyjaśnienie tego w sposób dla mnie zrozumiały musiało być trudne. Kiedy Magsud objaśniał mi, co to jest lal bała, Lamija ani razu nie wyciągnęła ręki z kołyski. Dopiero potem zorientowałam się dlaczego. - Ava urwała i wgapiła się we mnie przez kilka sekund. Wydawało mi się, że zbiera się w sobie, aby przejść do najtrudniejszej części historii. - Opowiem ci wszystko dokładnie tak, jak się rozegrało. Możesz mi wierzyć albo nie, ale przyjmij do wiadomości, że ja wierzę bez zastrzeżeń w to, co powiedziała mi Lamija. Znała szczegóły i fakty z mojego życia, których nie mógł znać nikt inny. NIKT, rozumiesz? Ani moi rodzice, ani siostra, po prostu nikt. Natomiast La- mija wyrecytowała najskrytsze tajemnice mojego życia, jakby odczytywała je z listy... Może najlepiej będzie, jeśli zacznę od milczącego dziecka. Legenda głosi, że w Rosji zawsze jest troje takich dzieci. Kiedy jedno umrze, zaraz rodzi się jego następca. To trochę tak jak z

nowym wcieleniem Dalajlamy w Tybecie: milczące dziecko wybiera matkę, z której się narodzi.

- Dziecko wybiera sobie matkę przed urodzeniem?

- Tak. Lamija powiedziała mi, że wiedziała, że urodzi milczące dziecko, gdy tylko poczuła, że jest w ciąży. Więc jego widok jej nie zaskoczył ani nie zdenerwował.

- Czemu jej własne dziecko miałoby ją zdenerwować? Coś było z nim nie tak?

Ava zrobiła niepewną minę, jak gdyby wahała się mówić dalej.

- To dziecko nie żyje. Znaczy się ściślej mówiąc - jest pół żywe, pół martwe. Żyje do połowy na tym świecie, a do połowy na tamtym.

- Na jakim „tamtym”?

- W życiu pozagrobowym. Przecież ci mówię: dzieciak jest zarówno żywy, jak i martwy. Pół na pół. Nie starzeje się. Przeżywa ileś lat, ale nie sposób przewidzieć, jak długo. Przebiega to różnie u różnych dzieci. W dniu śmierci wygląda identycznie jak w dniu, kiedy przyszło na świat, choć niektóre z nich dożywają kilkudziesięciu lat. Nie porusza się, nie je i nie oddycha. Nigdy nie otwiera oczu. Ale w jego piersi bije serce i co najważniejsze - jest żywą wyrocznią... No więc najpierw matka mówi ci o tajemnicach, które nie zostawiają cienia wątpliwości, że jest autentyczną Yit, a potem ty masz prawo zadać jej dwa pytania. Możesz pytać, o co tylko chcesz - przeszłość, przyszłość albo czas obecny. Dopóki dotyka swego dziecka, odpowie ci na nie. Ale masz tylko dwa pytania.

- O co ją zapytałeś?

Ava potrząsnęła głową.

- Nie powiem. Ale to w jakimś sensie... - Wstała i po-

dreptała do okna.

Siedziałem bez ruchu, czekając na znak: że mam do niej podejść, że mam się odezwać albo siedzieć cicho.

Dotknęła okna palcami i przesunęła je po zaroszonej szybie. Niemal poczułem zimną wilgoć pod opuszkami. Jej następne słowa spadły na mnie jak grom z jasnego nieba.

- Czy Eamon Reilly mówił ci kiedyś o swoim dzieciństwie? O tym, co przeżył?

- EAMON? A co on ma z tym wspólnego?

- Bardzo wiele. - Zaczęła szybko pocierać dłońmi szybę, jakby chciała coś tam zetrzeć. Po chwili obróciła się do mnie. - Te sprawy są ze sobą związane. Czy rozmawiałeś z nim kiedyś o jego przeszłości?

- Nie.

- Ojciec Eamona był pilotem. Przez lata terroryzował rodzinę, znęcał się nad nimi fizycznie i psychicznie: totalny sadysta. Jedną z jego ulubionych tortur było przelatywanie małym samolotem tuż nad dachem ich domu, kiedy wiedział, że wszyscy są w środku. Eamon mówił mi, że to było przerażające: matka i jego rodzeństwo chowali się pod łózkami albo zbiegali do piwnicy. Byli przekonani, że któregoś dnia roztrzaska się i pozabija ich wszystkich.

- Co się z nim stało?

- Na szczęście facet ostro popijał; pewnego dnia zjechał z mostu i się zabił.

- Chryste! To dlatego Eamon ma takie... problemy ze sobą?

- Tak. Kiedyś tak mnie wnerwił, że dałam mu w twarz. Wtedy opowiedział mi o kilku incydentach z dzieciństwa. W końcu dotarło do mnie, dlaczego się tak zachowuje. Nadal potrafi mnie zirytować, ale niech mu tam, po takich

przejściach...

- To straszne. Biedaczyna.

- Nie wiem, czy to jedyny powód jego dziwacznych wyskoków, ale na pewno nie pozostało to bez wpływu.

Skrzyżowałem ręce na piersi i zapytałem:

- Ale jaki to ma związek z milczącym dzieckiem?

- Lamija powiedziała mi między innymi, że jestem częścią klątwy.

Zdjąłem pomału ręce z piersi i nie wiedziałem, co z nimi począć.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś przeklęta? - W moim głosie sceptycyzm walczył o lepsze z rozpaczą. W takich chwilach i głos, i ręce są zupełnie bezużyteczne; nie mają pojęcia, jak się zachować wobec przykrej niespodzianki, która spada na ciebie pod postacią słów takich, jak „klątwa”, „śmierć” albo „rak”.

Pokręciła głową.

- Nie, jestem ZAMIESZANA w klątwę. Chociaż do pewnego stopnia jestem też chyba przeklęta, z powodu roli, jaką odegrałam w tej historii. Lamija przepowiedziała mi, że po powrocie do Ameryki zajdę w ciążę - i tak się stało. Moje dziecko będzie skazane na takie samo życie jak jego ojciec, choćby próbowało je zmienić. Różnice będą dotyczyć paru nieistotnych szczegółów. - Zamilkła, ciągle wpatrując się we mnie. Czekwała chyba, aż uprzytomnię sobie, co do mnie mówi.

- Nie powiedziała ci, kto będzie ojcem dziecka?

- Nie chciała. Powiedziała tylko, że mężczyzna, z którym zajdę w ciążę, będzie nosił klątwę.

- Więc to mogę być ja.

- Zgadza się, możesz być także ty. Dowiemy się tego po

zrobieniu testu DNA, ale chciałam najpierw omówić z tobą tę kwestię. Nie ma wątpliwości, że siedzisz w tym po uszy.

- Mnie też się tak wydaje - wtrąciłem cynicznym tonem. Zabrzmiało to wrednie. Nie chciałem być wredny, ale dlaczego informowała mnie o tym dopiero teraz? Czemu tak późno?

Cisza.

- Kocham cię, Avo, ale to jakieś szaleństwo. Mam wrażenie, jakbym słuchał *Baśni z tysiąca i jednej nocy*: milczące dziecko, dzellum, klątwa... Skąd wiesz, że to prawda?

- Stał, że stało się to, co zapowiedziała Lamija. Wszystko ziściło się co do joty: ciąża, romans z Eamonem, a przede wszystkim - ty.

- Ja? Jak to ja?

W tej samej chwili pralka, która szumiała dotychczas w tle naszej rozmowy, zatrzymała się z głośnym „ping!” Ava nie odzywała się; wszystko wskazywało na to, że nie będzie się spieszyć z odpowiedzią. Skrzywiłem się i wyszedłem z pokoju, żeby wyjąć pranie. Otworzyłem drzwiczki i zgięty w pół sięgnąłem po mokre rzeczy.

- Ava?

- Słucham?

-W twojej pralce jest pełno liter.

Wyjąłem wielkie mokre „K” i rozciągnąłem je na dłoni. Stała w drzwiach pokoju i pokazałem je Avie. Litera miała około dwudziestu pięciu centymetrów i była wycięta z mokrej tkaniny. Ponownie zajrzałem do pralki: zamiast ubrań wypełniała ją obwisła, mokra masa wielkich liter.

Ava nie wyglądała na zaskoczoną. Zobaczywszy „K” na mojej dłoni, spokojnie skinęła głową.

- Włożyłam je tam.
- Włożyłaś... a gdzie nasze rzeczy?
- W łazience.
- Dlaczego? Po co je tam wkładałaś? Co znaczą te litery?
- Wyjmij jeszcze cztery. Nie patrz na nie - wsadź rękę i wyciągnij cztery następne. Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

Chciałem coś powiedzieć, ale ugryzłem się w język. Pochyliłem się i zanurzyłem rękę w miękką, ociekającą wodą stertę liter, jak gdybym losował numery do bingo. Kiedy już miałem wszystkie pięć, Ava kazała mi ułożyć z nich na podłodze jakieś słowo. Oprócz „K” były to „V”, „Q”, „R” i »O”.

- Nie da się utworzyć słowa, bo jest tylko jedna samogłoska.

Nie widziała ich z pokoju.

- Które wybrałaś?

- K, V, Q, R i O.

Klepnęła się oburącz w kolana.

- Eamon wybrał dokładnie te same.

- CO?! Eamonowi też kazałaś wyciągać mokre litery z pralki? - Nagle uświadomiłem sobie, że niemal krzyczę.

- Tak, dla was obu była to próba. Znałam odpowiedź zawczasu, ale musiałam ją przeprowadzić. - Ton jej głosu sugerował, że nie ma o czym mówić - czemu się tak podniecam?

Próba mokrych liter wyjętych z bębna pralki? Eamon również przez to przeszedł? Milczące dziecko. Szamanka Yit. Klątwa. Zналиśmy się od lat, ale po raz pierwszy patrzyłem na Awę jak na potencjalnego wroga.

- Myślisz, że Ava zbzikowała?

- Jasne, że zbzikowała. Inaczej bym jej nie zostawił.

- TY ją zostawiłeś? Mnie mówiła, że było na odwrót - to ona rzuciła ciebie.

Eamon parsknął i pociągnął się za ucho.

- Znasz to powiedzonko: w żadnym razie nie zakochuj się w psychiatrze, bo każdy z nich to skończony wariat? Osobiście rozszerzylibym tę sentencję na korespondentów wojennych. Są świadkami zbyt wielu nieszczęść. Ból i śmierć wnikają im pod skórę i mieszają w głowie. Mówię ci, stary, Ava ma nie po kolei... Opowiadała ci już tę anegdotkę o milczącym dziecku? Dlatego przyszedłeś do mnie? - Nie czekając na odpowiedź, wziął kieliszek i upił nieco wódki; jakby wiedział, co powiem. - Fajna historia. Odjechana, ale przynajmniej zabawna. Ale kiedy pocęstowała mnie tymi literami w pralce, a potem pokazała zamrożone zwierzęta...

-Jakie zamrożone zwierzęta?

Klepnął mnie w ramię.

- Nie wywinęła ci tego numeru? No, bracie, to największe atrakcje wciąż przed tobą! Im dłużej będziesz z Avą, tym będzie weselej. Ja skapitulowałem po zamrożonych zwierzętach. Huu - za ostra jazda jak na mnie!

- A jeśli dziecko jest rzeczywiście twoje?

Eamon ujął podbródek w dłoń i spuścił wzrok na podłogę.

- To zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby zapewnić Avie i dziecku jak najlepszy byt i opiekę. Ale nie zamierzam się z nią wiązać. Co to, to nie. Ma nierówno pod sufitem. - Mówił spokojnym, zdecydowanym głosem. Widocznie wszystko sobie przemyślał i dokonał wyborów, które pozwalały mu zachować czyste sumienie.

- Zaraz, Eamon. Powoli. Załóżmy przez moment, że to,

co powiedziała Ava, jest prawdą. Powiedzmy, że jesteś ojcem tego dzieciaka i w związku z tym jest on skazany na takie życie jak twoje.

- Moje życie jest w jak najlepszym porządku.

- A twój ojciec, a piekło, w które zamienił życie twojej rodziny?

- Tak, to było okropne. Ale ja nie zamierzam tak traktować mojej rodziny, jeśli kiedyś ją będę miał. - Uśmiechnął się do mnie. - Nie posiadam też licencji pilota, więc nie musisz się martwić, że będę latał nad domem Avy albo że się roztrzaskam... A propos, jak było z TWOIM ojcem? Czy był porządnym człowiekiem? Może to TY spłodziłeś jej dzieciaka? Czy Ava miałaby się czego obawiać?

- Nie znałem swojego ojca. Odszedł od matki, gdy miałem dwa lata.

- Sam widzisz! Przykro mi, że tak się stało, ale z drugiej strony - jeśli ta klątwa naprawdę działa, może to znaczyć, że jesteś bardziej niebezpieczny niż ja. Ponieważ nie wiesz, kim był albo jest twój ojciec. Może jest jeszcze gorszy niż mój stary.

Popatrzyliśmy na siebie, zgadzając się bez słowa, że to możliwe.

Eamon zachichotał i pokręcił głową.

-Biedna Ava. Ta klątwa wisi nad nią tak czy siak: albo ja i mój potworny ojciec, albo ty i twój tatuś enigma, który mógł być Kubą Rozpruwaczem.

-Nie wiadomo - zaprotestowałem słabo. - Może mój ojciec jest wspaniałym facetem.

- Wspaniali faceci nie porzucają rodzin.

- Ty rzuciłeś Avę.

- Ona nie należy do mojej rodziny - odburknął gar-

dłowym głosem. - Nigdy nie mówiłem, że chcę być ojcem.

Czasem ludzie mówią coś, co uprzytamnia ci jakiś fakt wbrew ich intencjom. Gdy tylko Eamon stwierdził, że nie chce być ojcem, zdałem sobie sprawę, że ja niczego nie pragnąłem bardziej, niż zostać ojcem dziecka Avy. Po prostu. Kochałem ją i marzyłem o tym, żeby spędzić z nią resztę życia, jeśli tylko mnie zechce. Nie dbałem o to, czy miała dziecko z Eamonem, ani czy ciąży nad nią klątwa. Niechby nawet brakowało jej piątej klepki. Chciałem z nią być i już; byłem gotowy na wszystko, aby tak się stało.

Kiedy oznajmiłem to Eamonowi, uniósł rękę i zrobił nade mną znak krzyża, jak ksiądz udzielający błogosławieństwa.

- Nie wiem, czy jesteś idiotą, masochistą czy najcudowniejszym gościem na świecie. Czy wiesz, że ludziom pogarsza się z wiekiem - stają się jeszcze bardziej takimi, jacy są? Jeśli Ava teraz ma bzika, w przyszłości będzie kompletną świruską.

- Wiem. Ale może nie będzie tak źle.

- Kto wie, być może. W każdym razie albo ona jest szalona, albo należy się liczyć z realnością tej klątwy, a wtedy czekają cię cholerne problemy. Jesteś w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

- Zobaczymy. Ava jedzie dzisiaj do szpitala odebrać wyniki testu DNA.

Eamon wziął haust powietrza i wypuścił je wolno przez usta.

- Przedzwoń i daj mi znać, dobrze?

- Dobrze. - Wyciągnąłem prawą rękę i wymieniliśmy długi uścisk dłoni.

- Porządny z ciebie facet. - Uśmiechnął się. - Naprawdę.

Jesteś przy Avie bez względu na okoliczności. Jak bohater komediowego skeczu.

- Zanim się pożegnamy, Eamon, powiedz mi, co to za numer z tymi zamrożonymi zwierzętami?

- Nie. Lepiej, żebyś na razie nie wiedział. Może tylko MNIE tak zagięła. Nie zwracaj sobie tym głowy. - Klepnął mnie w ramię i wyszedł z baru.

Avy nie było w mieszkaniu, więc otworzyłem drzwi kluczem. Na stoliku w korytarzu leżała sterta papierów, o którą można się było potknąć. Wieńczyła ją żółta kartka, na której skreślono drukowanymi literami: PRZECZYTAJ TO. Podniosłem papiery i zobaczyłem, że pod spodem widnieje odręcznie napisany tekst.

To jest raport DNA. Stoi w nim czarno na białym, że ani Ty, ani Eamon nie jesteście ojcem mojego dziecka. Stchórzyłam - nie miałam odwagi spojrzeć Ci w oczy, kiedy się o tym dowiesz. Po południu będę u siostry. Wrócę do domu pod wieczór. Bądź tu, proszę, abyśmy mogli przynajmniej o tym porozmawiać. Przepraszam, że Cię okłamywałam - w moim życiu byli inni mężczyźni, od kiedy jesteśmy razem.

Nie wiem, czy ma to teraz dla Ciebie jakiegokolwiek znaczenie, lecz to, co mówiłam ci o Lamiji i klątwie, to prawda. Nie wiem, kim jest ojciec - do dzisiaj byłam przekonana, że to Ty albo Eamon. Ale Lamija istnieje naprawdę. Klątwa jest realna. Moja miłość i uczucia do Ciebie są prawdziwe. Proszę, bądź tutaj dziś wieczorem. Nie zasługuję na to, ale mogę prosić.

Oszołomiony przerzucałem kartki papieru, wszędzie jednak widziałem tylko liczby i wykresy; na końcu załączono streszczenie, którego ni w ząb nie rozumiałem, bo mój mózg wyleciał na orbitę okołozemską i chwilowo nie przyjmował

nowych danych.

Nie zdejmując płaszcza, wszedłem do salonu i usiadłem na kanapie. Kanapa: tyle razy rozmawialiśmy tutaj, kochaliśmy się albo po prostu siedzieliśmy, czytając książki lub będąc ze sobą. Jeszcze raz spróbowałem zrozumieć wyniki testu, ale okazało się to niemożliwe, więc pochyliłem się i rzuciłem papierzyska na stojący obok stolik do kawy.

Leżał tam wielkoformatowy album fotograficzny, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Książka nosiła tytuł *Białe stop-klatki* i zawierała niezwykle zdjęcia przedstawiające martwe ryby, ssaki i gady... Całe królestwo zwierząt, „zamrożonych” w kadrze. Leżące na lodzie ryby na straganie, zwierzęta na ośnieżonej drodze, najwyraźniej powalone przez przejeżdżający samochód. Album był piękny - zarazem wzruszający i makabryczny. Przeglądając go, myślałem bez przerwy o pytaniu Eamona: Czy Ava pokazała mi już zamrożone zwierzęta? Czy chodziło mu o tę książkę? Czy to jeszcze nie koniec?

Obejrzałem chyba dziesięć zdjęć, zanim dotarłem do strony zaznaczonej zakładką. Przylepiona na górze zielona karteczka zagięła się od częstego kartkowania. Fotografia różniła się od pozostałych. Pokazywała ubraną na czarno kobietę trzymającą niemowlę w rękach.

Pada śnieg, kobietę otacza biel. Ona i dziecko stanowią jedyne barwne plamy. Tyle że niemowlę - jeśli to jest niemowlę, gdyż kobieta trzyma dziecko tak, jakby chciała je ukryć przed fotografem - wygląda na martwe, jak gdyby było zamrożone, niczym reszta obiektów utrwalonych w albumie.

Największe wrażenie robi jednak twarz kobiety. Maluje się na niej absolutny spokój. Jeżeli naprawdę trzyma w

rękach martwe dziecko, to znaczy, że jej żaloba przeistoczyła się w coś świętego albo nieludzkiego. Osiągnęła jakiś rodzaj transcendentalnego szaleństwa, które przynosi pogodę ducha. Zdjęcie miało taką siłę i piękno - bo tak chyba trzeba to nazwać - że gapiłem się na nie przez okrągłą minutę. Dopiero gdy wypuściło mnie spod swego hipnotycznego uroku, spojrzałem na dół strony, gdzie były podpisy do zdjęć. Choć nie podano nazwiska fotografa, widniało tam miejsce, w którym je zrobiono: Sa- bunczy w Baku, Azerbejdżan.

Menel

Na przystanku autobusowym zobaczyłem tańczącego menela, który cuchnął jak sandwich. Z nieba padał deszcz i śnieg, oprócz nas nie było tam nikogo. Nie wiedziałem, czy włączęga czeka na autobus, ale miałem cholerną nadzieję, że nie. Poprzedni autobus mi uciekł i miałem przykre przeczucie, że następny zjawi się nieprędko. A to znaczyło, że na razie będę się musiał zadowolić towarzystwem pana Hamburgera - trzy metry ode mnie. Chyba że facet zatrzymał się tu tylko na moment, przed dalszą wędrówką po świecie.

Mimo chłodnej, dżdżystej zimowej aury czuć go było na półtora metra. Emanował duszną wonią ośmiu milionów papierosów i taniego sandwicha z kotлетem. Roztopiony stary tłuszcz na bułce.

Taniec sprawiał mu szaloną frajdę. Miał zamknięte oczy: wydawał się szczęśliwy, odprężony i ani trochę niespeszony.

Nie wiedziałem, gdzie spojrzeć. Nawet fajnie było tak patrzeć, jak tańczy, ale bałem się, że gdy tylko otworzy oczy, podejdzie do mnie prosić o pieniądze, wykrzywi się w

jakimś upiornym grymasie albo zacznie bredzić w stylu szalonego menela, psując mi cały poranek.

Nagle włączęga zaśpiewał przebój Dixie Cups *The Chapel of Love*. Znał cały tekst. Tańczył z zamkniętymi oczami i wyśpiewywał k a ż d e słowo. Większość ludzi zna jakiś fragment piosenki, zazwyczaj refren. Potrafią zaśpiewać kilka wersów, ale prędyzej czy później zaczynają nucić, mruzczyć, a potem milkną. Ale nie ten facet.

Ja też znałem całą *The Chapel of Love*, bo była to jedna z najważniejszych piosenek moich „cudownych lat”. Wydaje mi się, że usłyszałem ją po raz pierwszy, kiedy jechaliśmy nową czerwono-białą limuzyną chevelle ma- libu Richarda Bucciego, a później leciała setki razy przy różnych ważnych okazjach: z przenośnego tranzystora wielkości i koloru grzanki, kiedy paliliśmy papierosy za szkołą, kiedy całowaliśmy się na imprezach i w późniejszych latach. Nawet jeżeli miałeś dzieciństwo do bani, ścieżka dźwiękowa z tamtych lat potrafi cię rozkleić albo pocieszyć. Nie wiesz tego, dopóki jej nie usłyszysz.

No więc trafił mi się tańczący, cuchnący menel, który śpiewał piosenkę należącą bardziej do mnie niż do niego. Trochę się rozzłościłem.

- Chcesz ją?

Stałem zamyślony, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Gdy się odezwał, podniosłem głowę i zobaczyłem, że patrzy prosto na mnie.

- Proszę?

- Pytałem, czy chcesz odzyskać swoją piosenkę?

- Wie pan, o czym my ś l a ł e m ?

- Richard Bucci. Chevelle malibu. Christine Kaupi...

To ostatnie nazwisko nie przeszło mi przez głowę, ale Christine była dziewczyną, z którą się całowałem, kiedy usłyszałem *The Chapel of Love*.

- Skąd pan wie to wszystko?

- Nie pierdol wierszy, bo dziś nie pierwszy. Chcesz swoją piosenkę czy nie?

- Noo, chyba tak...

- W porządku, oto umowa: kiedy przyjedzie autobus, wsiądziesz i zaśpiewasz razem ze mną. Będą tam siedziały wszystkie ważne osoby twojego dzieciństwa: Richard Bucci, Christine Kaupi, pan Danahar...

- Pan Danahar? Myślałem, że on nie żyje.

- Zgadza się, ale też tam będzie. Ty i ja staniemy przed nimi i zaśpiewamy ten kawałek. Będę też cztery inne osoby, które wtedy liczyły się dla ciebie najbardziej.

- Kto taki? - spytałem przez ściśnięte gardło.

- Nie powiem. Wszyscy zdążyli dorosnąć, niektórych możesz nie poznać. Ale oni poznają ciebie. I pomyślą: „Boże, co się z nim stało? Wpadł w takie towarzystwo?” - Włóczęga wyszczerzył się w uśmiechu; jego zęby były równe, ale przypominały stare guziki.

Miałem na sobie narciarską kurtkę, spodnie khaki i wysokie buty. Nie wyglądałem jak nikt szczególny. Wyglądałem jak każdy.

Tamten jakby czytał w moich myślach.

- Chodzi o to - stwierdził - że wszyscy mamy w głowie podkład muzyczny do naszego życia. Nawet umarli. Nawet oni pamiętają swoje ulubione kawałki.

- Ale czemu ja? Czemu wybrał pan właśnie mnie?

- Powinieneś być wniebowzięty. Jeden jedyny raz zo-

stałeś wybrany. Przecież jesteś facetem, którego zawsze pomijano. A tym razem padło na ciebie. Hip-hip hurrra!

- Ale oni pomyślą, że jestem z panem, a to nieprawda.

- Jesteś gorszy ode mnie: jesteś duchem z bijącym sercem. Tańczący menele zostają przynajmniej w ludzkiej pamięci. - Znowu uśmiechnął się obraźliwie. - Jeśli zaśpiewasz, dostaniesz swoją piosenkę. Odzyskasz Christine i jej pocałunki z siódmej klasy. Do Muzeum Jaźni wstawiamy tylko czyste wspomnienia. Po co się przejmować, co ci ludzie pomyślą o tobie? Nie widziałeś ich od czterdziestu lat. Ale jeśli tego nie zrobisz, od tej pory, zawsze gdy usłyszysz tę piosenkę, poczujesz smród kanapki z mięsem.

- Przecież oni pomyślą...

- Że jesteś zerem. Dokładnie tak. Gdy zobaczą nas razem, pomyślą, że stoczyłeś się na dno, a nawet niżej. Dostaną zimnych dreszczy, gdy zobaczą, że śpiewasz ze śmierdzącym włóczęgą. Możesz być tego pewny. No więc, decyduj się: chcesz zachować czyste wspomnienia czy bezpieczny wizerunek?

Usłyszałem, że nadjeżdża autobus.

Pół kroku od furii

Był jedynym znanym jej mężczyzną, który świetnie się prezentował w panamie na głowie. Wszyscy inni mężczyźni wyglądali w takim kapeluszu jak pozerzy, frajerzy, patałachy albo zasmarkane dupki. Ale nie Mills. On przywodził na myśl rozkosznie podejrzanego bohatera z powieści Grahama Greene a osadzonej w tropikach albo seksownego przystojniaka występującego w reklamie dobrego rumu. Oprócz kapelusza nosił latem kremowy lniany garnitur, który był szczytem ekstrawagancji, Millsowi jednak uchodził na sucho.

Nie wiedziała, kiedy do niej zadzwoni, i zawsze w takich wypadkach była jednocześnie zaskoczona i uradowana. Mówił mniej więcej coś w tym stylu: „Beatrice, tu Mills. Możesz się jutro zwolnić? Pójdziemy na węgry”. A ona zgadzała się, chyba że sprawy zawodowe absolutnie jej na to nie pozwalały.

Był prawnikiem. Poznali się, gdy reprezentował Beatrice Oakum w sprawie rozwodowej. W sądzie wykazał się bystrością, precyzją i opanowaniem. Zanim jej mąż i jego adwokat się połapali, sędzia przyznał jej niemal wszystko, o co prosiła w trakcie procesu.

Podczas lunchu wydanego na cześć zwycięstwa Mills zapytał, czy mogą zostać przyjaciółmi. Ton jego głosu - czarujący i nieśmiały - zbił ją z tropu. W sądzie zachowywał się w sposób pewny siebie i nieznoszący sprzeciwu. A teraz dukał jak uczeń z siódmej klasy proszący ją na potańcówkę, już-już miała odpowiedzieć: „No jasne!”, gdy raptem zaświtało jej, że Mills chce być nie tylko jej przyjacielem, ale też... Jakby czytając w jej myślach, adwokat uniósł rękę do góry i potrząsnął głową.

- Proszę, nie zrozum mnie źle. Myślę, że ty i ja bylibyśmy wspianymi przyjaciółmi. Mam nadzieję, że podzielisz moje zdanie. Tylko przyjaźń - ni mniej, ni więcej. Co ty na to?

Wyciągnął ku niej rękę. Był to dziwny i zabawny gest, jakby dobijali targu, zamiast rozpoczynać przyjaźń. W jej ocenie wszystko było w porządku; nie pomyliła się co do jego zamiarów.

Mieszkali godzinę drogi od siebie, więc początkowo kontakty ograniczały się do długich rozmów przez telefon i sporadycznych wizyt. Taki układ zresztą im odpowiadał: oboje byli zajęci. Telefon odzywał się wieczorami lub w weekendy. Byli odprężeni i nadzwyczaj szczerzy. Być może dobrej

atmosferze sprzyjała dzieląca ich odległość, w związku z czym oboje wyrażali się swobodnie, nie martwiąc się możliwością spotkania, dopóki nie ustalą miejsca i czasu.

Mills, stary kawaler, przepadał za kobietami. Umawiał się na randki z dwiema albo trzema naraz. Niektóre wiedziały o sobie nawzajem, inne nie. Mówił, że podoba mu się dramatyczność, do której prowadzi kilka jednoczesnych romansów. Po prostu lubił te wszystkie konfrontacje, oskarżenia i podchody, do których trzeba się uciekać, kiedy twoje serce należy do kilku ludzi naraz.

W końcu Beatrice musiała przyznać, że Mills pragnie jej w swoim życiu również dlatego, że jej me pożąda. W innym czasie czułaby się urażona - lubimy, aby nas chciano. Jednak wskutek rozwodu i poprzedzających go wydarzeń jej życie wyglądało tak, jakby przeszło po nim tsunami. Beatrice w żadnym razie nie chciała, by w jej głowie albo łóżku rozgościł się nowy mężczyzna. Tego rodzaju przyjaźń jej odpowiadała, przynajmniej na razie. Zostaną dobrymi kumplami, platonicznymi przyjaciółmi, a każde z nich zasiądzie do wspólnego stołu obdarzone niepowtarzalną perspektywą i intuicją własnej płci. Ani ona, ani on nie mieli przedtem prawdziwego przyjaciela płci przeciwnej; okazało się, że ta przyjaźń znakomicie się sprawdziła.

Mills pytał ją, dlaczego kobiety myślą lub zachowują się w określony sposób, ażeby lepiej je rozumieć i zdobywać ich serca. Beatrice zadawała podobne pytania, ale z innej przyczyny: ciekawił ją męski punkt widzenia, bo chciała zrozumieć postępowanie byłego męża. Mills na- igrał się z niej.

- Ty robisz nieustanną autopsję, a ja próbuję namówić je do grzechu.

Jedli razem kolacje, chodzili na spacery i do kina; ponieważ mieli skrajnie odmienne gusta, wybór filmu przypominał dobroduszne przeciąganie liny. Mills zabierał z sobą Suchara, wielkiego, sympatycznego i przyjacielskiego kundla, którego towarzystwo łagodziło obyczaje. Kiedy podczas spacerów mijali na chodniku ludzi, ich twarze mówiły Beatrice, że uważają ją i Millsa za parę. Skaczący między nimi pies musiał utwierdzać ich w tym przekonaniu.

Pewnego popołudnia siedzieli w ogródku ulubionej restauracji nad rzeką. Był cudowny lipcowy dzień; wiele stolików stało wolnych. Suchar drzemał u ich stóp. Trudno sobie wyobrazić piękniejszą chwilę.

- Zdradź mi tajemnicę.

- W jakim sensie? - Wyprostowała się.

Mills wysunął podbródek i oznajmił wyzywająco:

- Chcę, żebyś ujawniła mi swoją najgłębszą, najszybszą tajemnicę. Taką, którą dotąd zatajałaś przed wszystkimi, łącznie z mężem.

- Słuchaj, Mills: jesteśmy przyjaciółmi i tak dalej, ale bez przesady.

- Zdradzę ci swoją...

- Nie chcę! - Machnęła mu ręką przed twarzą, jakby odganiała się od natrętnej muchy.

- Daj spokój, Bea. Znamy się jak łyse konie. Czemu nie mogę ci powierzyć swojej tajemnicy?

- Ponieważ tajemnice... należy zachować dla siebie.

Uśmiechnęła się.

- Czyżby twoje były tak brzydkie albo niebezpieczne, że nie wolno o nich mówić?

Pokręciła z dezaprobatą głową. Pierwszy raz poczuła się

przy nim nieswojo. Po co ta rozmowa?

- Powiedz mi, skąd wzięłeś swój kapelusz?

Spojrzał na leżącą na stoliku panamę.

- Mój kapelusz?

- Tak. Podoba mi się. I świetnie na tobie leży. Powiedz, gdzie go kupiłeś?

- Zmieniasz temat, ale dobrze, zgoda. Mój kapelusz.

Dostałem go w prezencie od klienta, który był szalenie ciekawym facetem.

- BYŁ?

- Tak, nie żyje. Został zamordowany.

- Ho-ho! Przez kogo?

- Sprawców nie wykryto. To był Rosjanin i podobno miał wielu wrogów.

- Reprezentowałeś go w sprawie o rozwód?

- Tak. - Mills dał sygnał przechodzącej obok kelnerce, aby przyniosła mu następny kieliszek wina.

- Kim była jego żona?

- Niezwyczajną kobietą. Amerykanką. Profesorem. Poznali się, kiedy przyjechała na zaproszenie Moskiewskiego Instytutu Stali i Stopów.

- Myślisz, że go zabiła?

Mills uśmiechnął się dziwnie.

- W każdym razie była na liście podejrzanych.

- Kto wniósł pozew?

Zdjął kapelusz ze stołu i położył go na kolanie.

- On, ale sąd zasądził wszystko na jej korzyść.

- Skoro stracił wszystko po procesie, dlaczego dał ci prezent? - Jej głos brzmiał nieco kpiąco, ale zależało jej na odpowiedzi.

- Dlatego, że gdy sprawa dobiegła końca, przekonałem jego

żonę, aby nie zamieniała go w złoto.

Beatrice uznała, że się przesłyszała.

- CO TAKIEGO? Możesz powtórzyć?

Mills obracał kapelusz na kolanie.

- Przekonałem ją, aby nie zamieniała go w złoto, i był mi za to wdzięczny. Musisz wiedzieć, że jestem pierwszorzędnym negocjatorem. Więc podarował mi ten kapelusz: w dowód wdzięczności.

- Jak to „nie zamieniała go w złoto”? Co ty pleciesz, Mills?

- Beatrice patrzyła sceptycznie na przyjaciela, jakby podejrzewała, że próbuje ją nabrać, albo jakby usłyszała dowcip, w którym nie mogła się doszukać puenty lub który został fatalnie spalony.

Suchar obudził się i zaczął podgryzać się w tyłek. Beatrice i Mills obserwowali, jak pies rzuca się na samego siebie, po czym równie nagle przestaje i zwinąwszy się w kłębek, zasypia ponownie.

- Mills?

- No więc poznali się, jak już mówiłem, kiedy zaproszono ją jako profesora do Moskwy. Jest z wykształcenia metalurgiem, ale także alchemiczką. Wiesz, czym się zajmują alchemicy?

- Wiem, co RZEKOMO potrafią: zamienić ołów w złoto. - Beatrice nie kryła rozbawienia.

Mills pomasaował się po karku.

- Ołów w złoto, właśnie. Masz całkowitą rację: tym właśnie zajmują się alchemicy.

- Przestań, Mills. Alchemia nie istnieje. Nie znam się na tym, ale wiem, że alchemia to zwykły przesąd i mit. Ludzie od wieków usiłowali zamienić coś bezwartościowego w złoto. Ale to tylko metafora. Nie stoi za nią żadna realność.

Mills przestał się uśmiechać.

- Alchemia jest realna. Daję słowo, widziałem efekty jej działań niejeden raz.

- Daj spokój. Droczyysz się ze mną... A ja jestem strasznie łatwowierna. Wierzę we wszystko, co mówią ludzie. Stąd między innymi wzięły się kłopoty w moim małżeństwie. Zawsze wierzyłam mężowi, no i sam dobrze wiesz, jak się to skończyło...

Mills ponownie zaczął rozcierać kark, wpatrując się w Beatrice przez dłuższą chwilę. Widać było, że starannie dobiera słowa.

- Poznaliśmy się w siódmej klasie. Byłem pierwszym chłopcem, z którym się przespała.

- Kto? O kim ty mówisz?

- Nazywała się Heather Cooke. Alchemikiem człowiek się rodzi, a nie staje. Trzeba mieć naturalny talent. Wbrew temu, co się powszechnie mniema na ten temat, nie można wyuczyć się na alchemika, tak jak nie można nauczyć się fenomenalnie grać na skrzypcach lub bić sportowych rekordów świata. Wraz z wykształceniem idzie wiedza, a z praktyką wprawa, ale żadna nie wskrzesi w tobie boskiej iskry, która rozkwita płomieniem geniuszu. Albo to w sobie masz, albo nie. Dlatego tylu genialnych naukowców i myślicieli - Paracelsus, Isaac Newton, święty Tomasz z Akwinu - nie dokonało niczego wielkiego w dziedzinie alchemii... Heather miała ten dar od urodzenia. Sęk w tym, że go nie chciała. Czuliła się upośledzona. Powiedziała mi kiedyś, że wolałaby urodzić się niewidoma, niż mieć talent do alchemii. Trudno, darmo - była obciążona tym talentem i już.

Przysłuchując się paplaninie Millsa, Beatrice na wprost oczekiwała, że tamten lada moment wybuchnie śmiechem,

poklepie ją w ramię i oznajmi, że to wszystko bujdy: Co ty, nie znasz się na żartach? Mills jednak mówił dalej, a im dłużej ciągnęła się jego nieprawdopodobna opowieść, z tym większym zachwytem Beatrice jej słuchała.

- Nie zdradziła mi swoich alchemicznych tajemnic, zresztą i tak nic bym z tego nie zrozumiał i nie umiał powtórzyć tego procesu. Heather mówiła, że wszyscy możemy znajdować i mieszać pierwiastki, ale ostatni, najważniejszy element, bez którego nie zachodzi trans- mutacja, to - jak go nazywała - „dotyk”. Zapytałem ją, czy chodzi jej o kontakt fizyczny. Zaprzeczyła: było to coś

o wiele bardziej nieuchwytnego. Dała mi jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie, abym ją ciągnął za język.

- Widziałeś na własne oczy, jak zmienia ołów w złoto?

- Tak, dwa razy. Z tym że są różne rodzaje alchemii, nie tylko...

- Opowiesz mi o nich?

Mills wziął głęboki oddech, odymając policzki, po czym powoli wypuścił powietrze.

-Kochaliśmy się pierwszy raz, kiedy mieliśmy piętnaście lat. Ojciec osierocił Heather w dzieciństwie. Był grafikiem w firmie architektonicznej. Jednym ze skarbów, które zostawił Heather, był cenny automatyczny ołówek Yard-O-Led. Heather praktycznie się z nim nie rozstawała. Tamtą noc spędziliśmy w jej domu, bo jej matka wyszła do znajomych na brydża.

Ołówek leżał na biurku w sypialni Heather. Podziwiałem go wcześniej. Kiedy było po wszystkim, Heather wstała i wyszła z sypialni. Ale najpierw zatrzymała się przy biurku, podniosła ołówek i uśmiechnęła się do mnie znad ramienia... Po kilku minutach wróciła i powiedziała: „To dla ciebie”. Podała mi automatyczny ołówek ze szczerego złota - TEN SAM, który

dostała od ojca. Miałem zatrzymać go na pamiątkę.

- Skąd wiesz, że to był ten sam ołówek?

- Jej ojciec podczas pracy nad jakimś projektem przygryzał pióra i ołówki. Tak samo było tutaj. Cała górna część tego złotego cacka pokryta była odciskami jego zębów.

Kelnerka przyniosła mu wino i oddaliła się. Oboje milczeli. Beatrice cały czas czekała na jakiś sygnał ze strony Millsa - uśmiech albo poruszenie brwiami - który by jej powiedział: w porządku, przekomarzam się z tobą. Jego twarz jednak wyglądała poważniej niż na początku rozmowy.

- Heather wspomniała mi o alchemii już przedtem, ale nie rozwinęła tematu, zresztą ona traktowała to jak najnormalniejszą rzecz w świecie. Po prostu miała dziwny talent, z którego jej matka korzystała czasem, gdy trzeba było pokryć niespodziewane wydatki, i tyle. Kiedy ją zapytałem, czym naprawdę jest alchemia, zaczęła mi wciskać jakieś nudziarstwa na temat nauki, metalu i matematyki. Miałem wtedy naście lat i bardziej interesowały mnie jej piersi niż zdolności matematyczne, więc wkrótce dałem jej spokój... Obie z matką żyły bardzo skromnie w małym domu na przedmieściu. Chryste, mając taki dar, mogły obłowić się jak krezuski i pławić się w luksusach. Ale matka nie chciała. Zarabiała akurat tyle, aby mogły żyć na godziwym poziomie. Heather świetnie się uczyła

i dostała stypendium na uniwersytecie stanowym, a potem podjęła studia podyplomowe w Colorado School of Mines... W szkole średniej nasze drogi się rozeszły, chociaż zostaliśmy przyjaciółmi i pomagaliśmy sobie przy każdej okazji.

- Nie była twoją dziewczyną w ogólniaku? Podarowała ci swoje dziewictwo i szczerozłoty ołówek, a ty w zamian za to ją rzuciłeś? Boże, Mills, już wtedy byłeś nieznośny.

Adwokat pokręcił głową.

- Pudło: to ona spławiła MNIE. Złamała mi serce, mówiąc, że chce chodzić z innymi facetami, bo „tego kwiatu jest na pół świata” Pamiętasz tę frazę z dawnych lat? Tak właśnie się wyraziła, informując mnie, że między nami koniec. Heather bywała zimna i uparta. Powiedziała, że na zawsze będziemy przyjaciółmi, ale dobrze wiemy, co TO znaczy, zwłaszcza dla nastolatka o buzujących hormonach. .. Nasze kręgi towarzyskie nie przecinały się, więc po naszym rozstaniu widywałem ją sporadycznie. O dziwo, Heather najlepiej czuła się wśród dzikusów: pijaczków, ćpunów i notorycznych łobuzów. Dzieciaków, które są na bakier z prawem albo które zawieszono w prawach ucznia. Jej chłopak był pierwszym gościem w naszej szkole, który zrobił sobie tatuaż. Pamiętaj, że wtedy widok atramentu na skórze należał do rzadkości. Tak czy inaczej, zanim ukończyliśmy liceum, Heather zdobyła pewien rozgłos swoimi wyskokami na ciemną stronę życia. Poszliśmy do różnych college⁵ów i nasz kontakt się urwał, aż tu nagle zadzwoniła do mnie! Szukała dobrego adwokata specjalizującego się w rozwodach. Słyszała, że jestem jednym z najlepszych.

- To prawda. Mogę o tym zaświadczyć.

Mills wpatrywał się w Beatrice o parę sekund za długo, nim uśmiechnął się i zasalutował jej w geście podziękowania. Odniosła wrażenie, jakby szukał w jej twarzy czegoś, co niełatwo było tam odnaleźć. Uznała, że dziwnie zareagował na jej komplement.

- Od tej chwili ta historia przybiera ciekawy obrót.

W kilka dni po naszej rozmowie Heather przyszła do mojego biura. Wyglądała prawie tak samo jak w liceum, była szczuplejsza i bardziej szykowna. Pomyślałem, że wygląda jak

Europejka, i okazało się, że niedużo się pomyliłem, bo Heather od pięciu lat mieszkała w Rosji. Zaczęliśmy wspominać stare dzieje, ale było oczywiste, że Heather stara się po prostu być miła. W końcu powiedziałem jej: „Słuchaj, Heather, mów, czego chcesz; przejdźmy do sedna rzeczy”. Odparła, że jest w trakcie rozwodu i chce mnie wynająć; zależy jej na jak najszybszym zakończeniu postępowania. W porządku, mówię, opisz mi wszystko szczegółowo, a ja skontaktuję się z adwokatem twojego męża i popchniemy sprawę naprzód. A ona na to, że nie, chce mnie wynająć, abym reprezentował jej męża. Mam być JEGO adwokatem. Ona ma już adwokata, jej mąż natomiast zgodził się, aby znalazła kogoś jemu.

- Nie rozumiem - wtrąciła Beatrice.

- Ja też nie rozumiałem, ale trudno dyskutować z faktami: Heather miała adwokata i wynajmowała mnie, żebym reprezentował w sądzie jej męża.

- Dlaczego mąż scedował na nią to prawo? Czemu zgodził się, aby reprezentował go ktoś, kto był od dawna przyjacielem - byłym CHŁOPAKIEM - jego żony?

- Zapytałem ją o to. Odpowiedziała, że jej mąż jest Rosjaninem i nie zna w tym kraju dobrego prawnika. Oboje chcieli, aby rozwód nastąpił jak najszybciej, i zdążyli się porozumieć w kwestii podziału majątku. Nie mieli dzieci, więc obyło się bez tarć.

- To szaleństwo! Nigdy nie słyszałam o takim układzie.

- Jej mąż zawitał do mnie nazajutrz rano. Nazywał się Vadim Morozow. Szary, niepozorny facet, którego nie zauważyłabyś w tłumie - szczupły, łysiejący, metr osiemdziesiąt, twarz sympatyczna, ale nic nadzwyczajnego. Mówił po angielsku z ciężkim akcentem, ale prawie

bezbłędnie. Tyle że ja wiedziałem już, że to nieźle ziółko. Poprzedniego dnia Heather zaznajomiła mnie z jego przeszłością... Poznali się rok wcześniej na przyjęciu w Moskwie. Przedstawił się jako biznesmen, co skądinąd było zgodne z prawdą. Zajmował się działalnością importowo-eksportową, czyli w istocie - jak przekonała się Heather - trudnił się przemytem: papierosy, alkohol, kradzione samochody, drogie irańskie dywany itepe, itede... Vadim był nadzwyczaj zaradnym człowiekiem. Jednak Heather oszałała na jego punkcie i dowiedziawszy się o jego ciemnych interesach, przyjęła je bez mrugnięcia okiem.

- Nie przeszkadzało jej, że facet jest przemytnikiem?

- Pamiętaj, że ona zawsze miała słabość do niegrzecznych chłopców. Jego urok osobisty rozproszył wszelkie wątpliwości czy obawy, jakie mogła wobec niego żywić. Powiedziała mi, że po miesiącu zadurzyła się w nim bez pamięci.

Beatrice, kręcąc głową, zrobiła kwaśną minę. Wszystko to brzmiało dziwnie znajomo - podobnie wyglądał jej związek z mężem, tylko że ona ulegała jego czarowi nieco dłużej.

- Na początku Vadim grał z nią w otwarte karty: oznajmił, że chce przeprowadzić się do Ameryki, gdzie wielu jego ziomków doskonale sobie radziło. Ucieszyła się: nie zamierzała zostać w Rosji, więc jeśli się między nimi ułoży, przed planowanym powrotem zabierze go ze sobą. Może ją zbałamucił, a może naprawdę byli szczęśliwi, dość że gdy nadeszła pora wyjazdu, nie wyobrażała sobie dalszego życia w Ameryce bez niego.

- ...i dlatego, drogi czytelniku, wyszła za niego za mąż - dokończyła Beatrice sarkastycznym tonem. Czuła, jak odżywają w niej wspomnienia własnego nieudanego małżeństwa.

- Nie całkiem. Po przyjeździe do Stanów nie od razu wzięli ślub. Heather była zadurzona, ale nie głupia. Tymczasem Vadim działał dyskretnie i - o ile zdołała się zorientować - zajął się poznawaniem nowej ojczyzny. Chciał zobaczyć Amerykę, więc latem wyruszyli w paromiesięczną podróż: Los Angeles, Seattle, Phoenix, Nowy Jork. Heather nie podejrzewała, że w każdym z tych miast Vadim kontaktuje się z rosyjskimi przestępcami zamieszanymi w nielegalne interesy: narkotyki, handel żywym towarem, sprzedaż broni. Po ślubie wziął się do pracy.

Beatrice dotknęła ramienia Millsa i wstała od stolika.

- Zaraz wrócę. - Ruszyła w stronę toalety, choć nie zamierzała z niej korzystać. Opowieść Millsa zerwała jej wewnętrzną tamę i trujące emocje wypływały z niej teraz nieodpartą falą. Większość z nich dotyczyła jej eksmęża. Dotychczas nieźle trzymała uczucia na wodzy, odsiewając na bok małżeńskie rozterki, bóle serca, cierpkie wspomnienia i złe doświadczenia, wyrzucając je z serca i głowy. Lecz ostatni fragment historii Heather Cooke rozbudził w Beatrice dawną wściekłość - na męża, na siebie, na małżeństwo, na katastrofę, jaką okazał się ten okres jej życia. W pożegnalnym liście do męża napisała: „Gdybym jakimś cudem mogła wymazać z pamięci każdy piksel naszego małżeństwa, zrobiłabym to bez wahania. Nawet to, co było dobre, najwspanialsze - wcisnąłabym klawisz «usuń»”.

Stała teraz w łazience i patrzyła na siebie w lustrze nad jedną z umywalk.

- FRAJERKA. Jak można być tak naiwną? - Westchnęła i zamknęła oczy. Jej mózg natychmiast zamienił się w okrutną cyrkową arenę, na której tabuny wspomnień i obrazów zaczęły hałaśliwie rozpychać się i potraćać, biegnąc

na środek sceny, aby tam z niej drzwi. - Wystarczy już. -
Przemyła ręce zimną wodą, upewniła się, że nie ma w oczach łez, i wróciła do Millsa i do jego opowieści o alchemiczcze Heather Cooke.

Kiedy siadała z powrotem przy stole, jedna z myśli w jej głowie zgłosiła się z pytaniem:

- Czy mąż Heather wiedział o alchemii?

- Nie. Nie na początku. Tak jak mówiłem, Heather nie afiszowała się ze swoim talentem i mało kto - oprócz jej matki i mnie - o nim wiedział. Wiesz, była jedną z tych osób, które mają wyjątkowy talent do sportu albo muzyki, ale prawie nie grają ani nie ćwiczą, bo ich to nie interesuje.

- Mój były. Świetnie grał w szachy, ale nudził się przy tym jak mops.

- Tak samo było z Heather. Z różnych przyczyn nie rozwijała swoich zdolności, jednak na pewno była mistrzynią w dziedzinie alchemii. Jako profesor metalurgii mogła ją badać bez wzbudzania podejrzeń, pisząc doktorat o dziejach alchemii w Ameryce. Może nie był to najbardziej aktualny temat na świecie, ale pozwalał jej na swobodne eksploracje i odkrywanie odpowiedzi na nurtujące ją od lat pytania. Indagowana w tej kwestii mówiła, że alchemia zafrapowała ją zarówno w sensie praktycznym, jak i metaforycznym; ponieważ pracowała w zbliżonej dziedzinie naukowej, brano to za dobrą monetę.

- Aż któregoś dnia mąż się dowiedział i nic nie było już takie samo - wtrąciła Beatrice i natychmiast uświadomiła sobie, że zachowała się wrednie. Stało się tak wskutek kryzysu, który dopadł ją w łazience. Siedzi tu naburmuszona i podminowana. Może powinna cierpieć samotnie w domu? Część jej duszy była o pół kroku od furii - czy powinna się cofnąć, poczekać, aż złość z niej wykipi, czy też uczynić coś, co by złagodziło jej

skutki? Czy to w ogóle możliwe? Czy można rozkazać naszym furiorom, kiedy stoją u granic, żeby wzięły parę głębokich oddechów i wycofały się o kilka kroków?

Jednak Mills, kochany Mills, nie zareagował na jej zaczepkę: mówił dalej, jakby nigdy nic.

- Tak, ale warto powiedzieć, JAK jej mąż się dowiedział, bo to zupełnie inna bajka. - Wtedy urwał i przyjrzał się uważnie Beatrice. - Dobrze się czujesz? Chcesz wracać?

- Nie, ale moglibyśmy się trochę przejść? Jestem jakaś nie w sosie.

- Oczywiście.

Wyszli z restauracyjnego ogródka i ruszyli wolno wzdłuż brzegu rzeki. Spuszczony ze smyczy Suchar myszkował tu i ówdzie, obwąchując świat. Raz i drugi śmignął obok nich rowerzysta, przebiegł samotny biegacz albo przeszedł spacerowicz, jednak większość nabrzeża należała do nich. Po chwili Beatrice ujęła Millsa za rękę. Spacerowali, nie odzywając się do siebie, dopóki nie przerwała milczenia.

- OK. Już czuję się lepiej. Powiedz, jak się o niej dowiedział.

- Vadim zapadł na zdrowiu, więc poszedł do lekarza, a ten skierował go na badania. Wyniki były niepokojące, toteż zrobiono mu dalsze testy. W końcu wyszło na jaw, że Vadim ma raka żołądka w zaawansowanej fazie.

Beatrice zatrzymała się i spojrzała na Millsa.

- Było z nim źle? Nie znam się na raku.

- Bardzo. Następną fazą jest faza terminalna, w której od śmierci może uratować delikwenta tylko cud. Wrócił ze szpitala i poinformował Heather, że umiera... Następną część tej historii jest trochę niejasna, bo żadne z nich nie kwapiło się, aby wprowadzić mnie w szczegóły. Musiałem zestawić ze sobą

obydwie wersje ich opowieści, żeby mieć pełny obraz.

- Dlaczego nie powiedzieli ci wszystkiego?

- Zaraz zrozumiesz. Oboje zgadzali się w JEDNYM: że Heather kazała Vadimowi zdjąć koszulę i położyć się na wersalce. Zdziwił się, ale ona nalegała - zrób to, co ci mówię. Położyła mu dłonie na brzuchu i zamknęła oczy. Jej ręce tkwiły nieruchomo w jednym punkcie. Vadim chciał się odezwać - kazała mu się zamknąć. Potem odjęła ręce i mówiąc mu, żeby się nie ruszał, wyszła z pokoju. Nie było jej dosyć długo, a kiedy wróciła, trzymała w ręku małą buteleczkę podobną do miniaturki z alkoholem, jaką stewardesy dają pasażerom do koktajlu. Kazała mu ją wypić i położyć się z powrotem. Vadim nie miał pojęcia, co Heather wyczynia, ale pierwszy raz słyszał, żeby mówiła takim głosem. Twardym i nieznoszącym sprzeciwu, jak sam powiedział: „głosem nauczycielki”... Napój przypominał smakiem coca-cole, więc Vadim zdziwił się jeszcze bardziej. On ma raka żołądka, a ona przynosi mu napój gazowany? Niemniej usłuchaj jej - wypił wszystko i położył się na plecach. Znowu przytknęła mu ręce do brzucha, nałożone jedna na drugą, tym razem jednak trzymała je znacznie niżej niż przedtem. Tego, co zaszło potem, w ogóle nie poczuł; powtórzył z naciskiem, że nie czuł zupełnie nic. Po jakimś czasie Heather uniosła pomału ręce znad jego brzucha. Coś się tam poruszało, jak ryba wyciągnięta na żyłce z jego trzewi. Przypominało to wielkiego czarnego karalucha albo innego ogromnego owada. Przestraszony Vadim chciał się podnieść, ale Heather położyła mu rękę na piersi i krzyknęła, aby się nie ruszał.

- Czy to wszystko zdarzyło się naprawdę, Mills? Nie bujasz?

- Słowo. To absolutna prawda. Powtarzam tylko to, co

usłyszałem od Vadima.

- O Boże. Mów dalej.

- No więc to czarne paskudztwo wylazło mu z brzucha i zaczęło pełzać po jego klatce piersiowej w stronę szyi. Heather podniosła je niedbałym ruchem. I wtedy stały się dwie rzeczy: robal przestał się ruszać i zamienił się w bryłkę złota.

Nim Beatrice zdążyła zaprotestować, Mills wsadził rękę do kieszeni i wyjął stamtąd podłużny, lśniący przedmiot piętnastocentymetrowej długości. Beatrice odskoczyła: na wysuniętej dłoni Millsa leżał duży złoty owad, który wyglądał tak żywo i realistycznie, że spodziewała się ujrzeć, jak przebiera w powietrzu nogami.

- Pamiętasz, przedwczoraj rozmawialiśmy o tym programie telewizyjnym, w którym pokazywano, jak psy wyczuwają rozmaite rodzaje raka?

Skinęła głową, nie odrywając spojrzenia od złotego owada.

- Popatrz. Suchar, chodź tutaj. Chodź!

Pies stał na poboczu, z nosem w krzakach. Na dźwięk głosu Millsa podbiegł do nich od razu. Adwokat opuścił rękę i pokazał psu złotą bryłkę. Suchar wąchał ją chwilę energicznie, po czym zawył i wstrząsnął łbem. Oddalił się na kilka kroków od swego pana i stał tam, ciągle potrząsając wielką głową.

- Już dobrze, piesku. Już dobrze. - Mills schował owada do kieszeni. - Czuje woń raka.

- Skąd się to wzięło u CIEBIE?

- Tamtej nocy Heather wyjawiała mu wszystko. Przyznała się do alchemii i do tego, że całe życie kryła się ze swoim talentem, choć jednocześnie była nim głęboko zafascynowana... Vadim poprosił, aby zrobiła jeszcze coś, zamieniła coś innego w złoto, ale ona odmówiła. Musi przyjąć jej warunki, jeżeli mają być razem. Teraz, by ratować mu życie, sporządziła azoth,

ale nie wolno mu już nigdy prosić jej o praktykowanie alchemii.

- Co to jest azoth?

- Dzisiaj to się nazywa panaceum. Uniwersalny lek na wszelkie choroby.

- Wszelkie? Na raka? Na AIDS?

- Tak. Prawdziwi alchemicy znają jego recepturę od wieków. Dziś prawie nie znajdziesz mistrza, który by potrafił sporządzić taką miksturę... Heather i Vadim długo kłócili się na ten temat. Twierdził, że może być bogaty; dzięki pieniądзом i jej mocy osiągnie niesamowite rezultaty. Ona jednak nie ustępowała. Kiedy zaczął naciskać, a ich kłótnie przybrały na sile, oznajmiła mu, że jeśli nie przestanie, to się z nim rozwiedzie. Vadim był bandziorem, ale nie idiotą. Przynajmniej wtedy zachował jeszcze resztki rozumu. Wiedział, kiedy się wycofać. Przystał na jej żądania. Przecież uleczyła go ze śmiertelnej choroby. Był jej wdzięczny... do czasu.

- Czy przed jego uzdrowieniem Heather ani razu nie użyła swojej mocy?

Mills podniósł patyk z dróżki i rzucił go Sucharowi.

- Robiła to bardzo rzadko. Nigdy po osiągnięciu pełnoletności. Czasem w młodości - kiedy jej matka znalazła się w pilnej potrzebie i musiała zapłacić jakieś rachunki. Znały pewnego jubilera, który płacił gotówką za ich złoto, nie pytając o źródło jego pochodzenia.

- To niesamowite. - Nie mogła myśleć o Heather Cooke inaczej niż z podziwem; pod warunkiem oczywiście, że Mills mówi prawdę. Mieć w swoim ręku taką potęgę i nie wykorzystać jej!

- Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy - przerwał jej rozważania adwokat - że istnieją różne alchemie, mniej albo

bardziej tajemne. Zamiana ołowiu w złoto, o której wspomniałaś, to powszechnie znana wersja klasyczna. Jest jednak i inna, bardziej interesująca, zwana alchemią wewnętrzną albo introwertyczną, która traktuje o mi- styczno-kontemplacyjnych aspektach nauki. Jej istotą jest TRANSFORMACJA.

Beatrice zmarszczyła brwi.

- Według ciebie alchemia jest nauką? Naprawdę? Zawsze myślałam, że to...

- Oczywiście, że nauką, i to bardzo starą. Pojawiła się na świecie u zarania ludzkości, dając słowo. Pamiętasz historię Prometeusza, który wykrał bogom ogień? Można go uznać za pierwszego alchemika. Wiele aksjomatów współczesnej chemii bazuje na odkryciach i eksperymentach przeprowadzonych setki lat temu.

Szli w milczeniu. Beatrice myślała o tym, co przed chwilą usłyszała, Mills zaś czekał na jej sygnał, aby kontynuować. Suchar trzymał przed nim patyk w zębach, nie mogąc się doczekać następnego aportu. Dwóch roześmianych rowerzystów przejechało obok nich bez pośpiechu.

Beatrice zatrzymała się i wymierzyła palcem w przyjaciela.

- Zaraz mi powiesz, że Vadim spaprał robotę. Ponieważ był bandytą, więc przypuszczam, że tak było

Mills uśmiechnął się.

- Mów dalej.

Zamyślona Beatrice spojrzała pod nogi.

- Zrobił jakiś wielki przekręt albo PRÓBOWAŁ go wywinąć do spółki z rosyjskimi gangsterami, z którymi zaznajomił się, kiedy podróżowali po Stanach.

- Ciepło-ciepło. Co dalej?

- Ale wszystko poszło nie tak i Vadim musiał w końcu

brać ją, aby wyprodukowała więcej złota, żeby tamci go nie zabili.

Prawnik udał, że klaszcze w dłonie.

- Nieźle. W rzeczywistości Heather nie chciała mi zdradzić żadnych szczegółów, aby mi nie zaszkodzić.

- Czemu wybrała właśnie ciebie, Mills?

- Ponieważ ludzie otaczający jej męża byli - jej zdaniem - przerażający i bezwzględni. Domyślam się, że są odpowiedzialni za jego śmierć, mimo że niczego im nie udowodniono. W każdym razie to, co dała im Heather, musiało im wystarczyć, bo Vadimowi włos nie spadł z głowy...

CHWILOWO. Kiedy został zabity, Heather od dawna już nie utrzymywała z nim kontaktów - Mills urwał na moment. - Gdy przyszedł do niej po prośbie, zgodziła się mu pomóc, pod warunkiem że zaraz potem da jej rozwód. Vadim sądził, że Heather blefuje, ale mówiła całkiem poważnie. Znowu uruchomiła swój alchemiczny dar i spełniła jego prośbę. Tyle że kiedy kryzys minął, Vadim nie chciał się z nią rozwieść. Widocznie umyślił sobie, że wykorzysta ją i jej talent.

Mills wyjął ośliniony patyk z psiego pyska i rzucił go jak najdalej.

- Kiedy go poznałem, Heather zdążyła mu już napędzić cholernego pietra. Kompletnie zmienił zdanie. Gdyby mógł, toby się z nią rozwiódł w dwie sekundy. Nie wiem, co z nim zrobiła, lecz okazało się to skuteczne. Pięć minut po tym, jak wszedł do mojego biura, zaczął mnie błagać - wtedy, przy pierwszym spotkaniu: „Jesteś jej przyjacielem. Ona cię kocha. Powiedz jej, proszę, aby nie zamieniała mnie w złoto. Proszę cię, powstrzymaj ją”. Nie miałem pojęcia, czy mówi w przenośni, czy też Heather przekonała go za sprawą czegoś równie okropnego jak ta groźba. Rozwód nastąpił szybko. To

wtedy Vadim podarował mi ten kapelusz i podziękował za interwencję. O tym jej już nie powiedziałem.

- A co potem się z nią stało?

Mills pokręcił głową.

- Nie wiem. Znikła. Nie miałem od niej wiadomości.

- Nie widziałeś jej po rozwodzie?

Znów pokręcił głową.

Beatrice uśmiechnęła się i dotknęła jego policzka.

- Kłamczuch. Dziękuję ci, że potrafisz tak genialnie kłamać. Założę się, że opowiadasz tę historyjkę wszystkim swoim klientkom.

Mills rozdziawił usta, po czym wykrzywił się w szerokim, radosnym uśmiechu.

- To TY? Naprawdę TY?!

- Tak. - Skinęła głową.

- Kiedy się połapałaś? Kiedy się zbudziłaś?

Jej dłoń zsunęła się z jego policzka i spoczęła na ramieniu.

- Zaczęło się od złotego karalucha, którego mi pokazałeś.

Ale wszystko było najpierw powolne, niejasne, rozmazane. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, więc nasłuchiwałam i czekałam, aż obraz się wyklaruje, aż sobie przypomnę. Rzeczywiście, miałam wrażenie, jakbym budziła się rano z głębokiego snu.

- Sama to sobie przepowiedziałaś.

- To nie ja, Mills. To alchemia.

- Ale czy to NAPRAWDĘ ty, Heather? Po tylu latach?

- Tak. Wyjawię ci teraz pewne szczegóły, o których nie mogłam mówić przedtem, ponieważ nikt o mnie nie wie. Minęło dostatecznie dużo czasu.

Heather Cooke, którą Mills znał od dzieciństwa, była wysoką, szczupłą kobietą o brązowych włosach i niebanalnych

rysach twarzy. Beatrice Oakum miała twarz przeciętną, była ociężała i średniego wzrostu; jedyne, co ją wyróżniało, to ładne, długie blond włosy.

- Mogę zapytać, czego zażądali od ciebie Rosjanie? I jak to zrealizowałaś?

- Nie. - Pokręciła odmownie głową. - Musisz jednak wiedzieć, że gdy było po wszystkim, musiałam poszukać kogoś, w kim mogłabym się ukryć. Przeczekać niebezpieczeństwo. Transformacja jest jedną z prostszych operacji wewnętrznej alchemii. Chcesz zaszyć się w duszy drugiej osoby, Mills? Przygotowanie odpowiedniego napoju zajmuje pięć minut... Po wejściu w Beatrice zapadłam w stan hibernacji, ale przedtem kazałam jej, ZAPROGRAMOWAŁAM JĄ, żeby w określonym czasie wykonała kilka poleceń: miała odszukać ciebie. Miała się zbudzić, kiedy pokażesz jej karalucha. Miała... zresztą mniejsza o szczegóły. Najważniejsze, że stoję przed tobą, cała i zdrowa, tylko troszkę odmieniona, he? - Rozwarła szeroko ramiona i dwoje starych przyjaciół uściśniło się serdecznie, podczas gdy Suchar skakał koło nich, ciesząc się z ich szczęścia. W końcu się rozdzielili. Wzięła swego dawnego chłopaka pod rękę. Ponownie ruszyli ścieżką.

- Nie mogę uwierzyć, że to ty, Heather. Stało się dokładnie tak, jak zapowiedziałaś. Nie do wiary.

Zachichotała.

- Ilu klientkom opowiedziałeś moją historię?

- Czterem przez trzy lata. Zrobiłem na nich, owszem, nie lada wrażenie, ale żadna się nie obudziła, kiedy pokazałem jej złotego karalucha. Nie widząc reakcji z ich strony, wkładałem owada z powrotem do kieszeni i dopowiadałem im resztę historii Heather Cooke. Wypełniałem twoje polecenia. Od czasu, jak się poznaliśmy, bez przerwy zasypywałem cię

wskazówkami i aluzjami. Jednak odpowiedziałaś na nie dopiero teraz.

Beatrice odgarnęła kosmyk włosów z twarzy.

- Powiem ci coś, czego nie mogłam powiedzieć wcześniej, Mills, bo mam prawo sądzić, że nic mi już nie grozi. Musiałam wtedy szybko zniknąć, bo ten skurczybyk Yadim powiedział im o moich zdolnościach, a oni wysłali za mną swojego człowieka. Pamiętasz, co to jest alkahest?

- Uniwersalny rozpuszczalnik. Ciecz, która rozpuszcza każdą znaną substancję.

Ścisnęła mu przedramię.

- Zapamiętałeś! Ten Rosjanin, który miał mnie do nich sprowadzić... Wypił alkahest, którym go poczęstowałam... - Otworzyła usta, by dodać coś jeszcze, ale się rozmyśliła. Przez moment chciała opisać Millsowi, co stało się z tym człowiekiem po spożyciu jej odmiany uniwersalnego rozpuszczalnika, ale jej relacja nie była konieczna. Mills zadygotał z wrażenia. - Następnie wysłałam prędko z mieszkania, zadzwoniłam do ciebie i poinformowałam cię o swoich zamiarach, wskazując, co masz robić, żeby spowodować mój powrót. No i zaczęłam rozglądać się za osobą, w której mogłabym się schować.

- A co z Beatrice, Heather? Skoro w niej przebywałeś...

Puszczając mimo uszu jego pytanie, pulchna blondynka schyliła się i zmierzwiła psią sierść.

- Kochany, stary Suchar. Pamiętasz, jak twój ojciec przyniósł go do domu ze schroniska dla zwierząt? Ile mieliśmy wtedy lat - dwanaście? Zakochałeś się w nim od pierwszego wejrzenia. Ile on już ma - będzie ze trzydzieści pięć lat?

Mills wzruszył ramionami.

- Prawie czterdzieści. Najstarszy pies na świecie. Dostałem

go od ciebie na gwiazdkę tamtego roku. „Wypij to, mały Sucharku, a będziesz żył na wieki”. Tak powiedziałaś. Pamiętam jak dzisiaj. - Spojrzał na nią. - Posłuchaj, Heather: co będzie z Beatrice?

Uniosła do góry palec, jakby sugerowała: NIE MÓWMY O TYM.

Nic do oclenia

Ten romans - jak to często bywa - także zaczął się przez przypadek.

Znowu miał koszmarną noc. Parę dni wcześniej ich szczeniak, bawiąc się, złamał sobie łapę. Ciasny bandaż spowijał teraz tylną część jego ciała, doprowadzając go do szału. Piesek szarpał opatrunek zębami, próbując go zerwać.

Najgorzej było w nocy: szczeniak kuścił między pokojami, sadowiąc się to na kanapie, to na krześle, to znów na podłodze, a gdy znalazł wygodną pozycję - zaraz ca- pił za bandaż. U weterynarza kupili plastikowy kołnierz - z tych, które przypominają odwrócony abażur - żeby zwierzę nie jątrzyło rany. Jednak wielki twardy kołnierz przeraził szczeniaka, więc aby nie zrobił sobie jeszcze większej krzywdy, zdjęli mu go.

Pies uspokojał się jedynie wtedy, gdy mężczyzna siadał obok niego na kanapie i kładł mu rękę na głowie. O ile szczeniak zasypiał, o tyle on nie mógł zmrzyć oka. Siedział tak z osuniętą na bok głową, otulony kocem, przez trzy bezsenne noce - i było to po nim widać. Miał twarz opuchłą i szarą od niewyspania. O szóstej rano gramolił się z kanapy i wychodził chwiejnym krokiem na kawę, w nadziei, że kofeina pobudzi do życia jego wymęczone ciało.

Zawsze szedł do tej samej kawiarni, bo otwierano ją wcześniej. Pracujące tam kobiety były sympatyczne i chyba

cieszyły się na jego widok. Najbardziej lubił szczupłą ciemnowłosą kobietę imieniem Joanna. Nie przedstawiła mu się: poznał jej imię dzięki plakietce na kostiumie. Była ładna, ale nie jakoś nadzwyczajnie. Często się uśmiechała i miała autentycznie słoneczne usposobienie. Witwała wchodzących klientów i zachowywała anielską cierpliwość nawet w tych pełnych napięcia chwilach, gdy nie mogli się zdecydować, co chcą zamówić. Na trzeci dzień Joanna podała mu kawę i zauważyła:

- Wygląda pan na zmęczonego.

Skinął głową i uśmiechnął się.

- To przez małe dziecko - wymruczał zaspanym głosem.

Chciał oczywiście powiedzieć: „To przez małego pieska”, ale jego ociężały, znużony brakiem snu umysł nie trafił we właściwe słowo. A zresztą, wszystko jedno: małe pieski to też jakby dzieci.

- Aha, niewyspany tatuś! Szczęśliwiec z pana.

Klamka zapadła: było za późno, aby się poprawiać i tłumaczyć: „Nie-nie, chodziło mi o pieska. Mamy w domu małego pieska, który nie daje mi w nocy zasnąć”.

Tak czy inaczej nie stało się nic wielkiego: po prostu wymienili kilka zdawkowych uwag. Joanna oddaliła się, lecz po chwili wróciła i położyła przed nim wielkiego lśniącego pączka z cynamonem.

- Na koszt firmy - oznajmiła. - Cukier doda panu ekstraenergii.

Pączek był pyszny. Jak jej teraz powiedzieć o przejęzyczeniu? Mniejsza o to - nie ma się czym przejmować.

Po powrocie do domu opowiedział żonie, co się stało. Natychmiast spytała, czemu okłamał kelnerkę. Odparł, że to nie było kłamstwo; wymsknęło mu się, bo był zmęczony. Nie

można tego uważać za kłamstwo. W jego głosie dało się jednak usłyszeć nutkę usprawiedliwienia.

- Nieprawda: OKŁAMAŁEŚ ją. Wprowadziłeś ją w błąd, mówiąc, że mamy małe dziecko. Nieladnie.

Kochał żonę, ale jej reakcja mu się nie spodobała. Powinna była się roześmiać albo pokręcić głową, nie mogąc uwierzyć, w jak postrzelone sytuacje człowiek się pakuje. Zamiast tego czepiała się i robiła mu burę. Miał ochotę zaprotestować, ale trzymał język za zębami.

- Powiesz jej czy nie?

- Masz na myśli kelnerkę?

- Tak. Powiesz jej o psie?

- Nie wiem. Czemu tak ci na tym zależy? Nie lepiej sobie odpuścić?

Żona wpatrywała się w niego przez kilka sekund, ale nie umiał rozgryźć tego spojrzenia. Naszła go chęć, by zrobić coś absurdalnego: ścisnąć ją za nos albo wywalić język, żeby jej przypomnieć, iż w sprawach tego rodzaju żadne z nich nie kieruje się wysokimi standardami etycznymi. Przez te wszystkie lata oboje okłamywali zarówno siebie nawzajem, jak i innych ludzi.

Przez parę dni nie zachodził do kafejki. Później jednak, wracając po południu z pracy, wstąpił tam i trafił na Joannę. Postanowił powiedzieć jej prawdę, ale po chwili zmienił zdanie. Pewnie zapomniała już o tamtej rozmowie - po co wprawiać ją w zakłopotanie albo mieszać jej w głowie? Przypomniał sobie powiedzenie „nie budź śpiącego psa” i uśmiechnął się. Cała ta awantura z powodu jednego szczeniaka, który nie chciał zasnąć.

- Jak się miewa pańskie dziecko? - zapytała Joanna, stawiając przed nim kawę.

- Aa... dziękuję, dobrze - wydukał zaskoczony. - Lepiej z nim. Dzięki za zainteresowanie.

- Jak ma na imię? Chłopiec czy dziewczynka?

- Mm... chłopiec. Ma na imię Harry. - Tak wabił się ich szczeniak.

Kelnerka skrzyżowała ręce.

- Ładne, tradycyjne imię. Harry. Dobry wybór. Czy mogę pana o coś spytać? Nie przeszkadzam?

- Ależ skąd. - Mimowolnie odsunął się od niej na krześle. Joanna nie zauważyła tego.

- Chciałam zapytać, czy to jest trudne? Zależy się, czy trudno jest wychowywać dziecko? Często rozmawiamy o tym z mężem, ale nie możemy się zdecydować. Widzimy tyle samo plusów, ile minusów...

- Proszę pomyśleć o tym w taki sposób - odparł natychmiast. - Jeśli ktoś ma udane małżeństwo, to jakby mieszkał w domu, który uwielbia. Pewnego dnia odkrywa w tym domu pokój, którego przedtem nie widział. Nagle dom staje się niewyobrażalnie lepszy i cudowniejszy. TAK właśnie jest, kiedy pojawia się dziecko. Ale jeśli człowiek ma udane małżeństwo, to jest szczęśliwy nawet bez tego pokoju.

Była pod wrażeniem.

- O raju. Nigdy tak na to nie patrzyłam. Dziękuję panu.

Czuł się zbyt zawstydzony, aby odpowiedzieć „proszę”. Przytoczył słowa swego brata, który w zeszłym roku tłumaczył mu, jak to jest, kiedy urodzi się dziecko. Co miał jej powiedzieć? Przecież nie ma dzieci i nie wie, jak żyje się z nimi pod jednym dachem. Wyjaśnienie brata było po prostu najlepsze. W rezultacie okłamał tę miłą kobietę dwukrotnie: mówiąc, że ma dziecko, i przypisując sobie słowa brata.

Na szczęście odwołano ją do innego stolika; odeszła,

kończąc ich rozmowę. Kilka minut później zerknął w prawo i zobaczył, że kelnerka przygląda mu się z głębi sali. Dostrzegł w jej oczach bukiet podziwu, aprobaty i nieskrywanego zainteresowania. Prędko odwrócił wzrok i wyprostował się, choć nie zdążył powstrzymać się od uśmiechu. W drodze do domu myślał o jej spojrzeniu i o tym, kiedy ostatni raz widział w oczach żony równie żarliwe zainteresowanie.

Zanim jeszcze szczeniakowi zdjęto bandaż, oboje mówili sobie po imieniu. Nie flirtowali ze sobą. Nie wykonywali żadnych słownych tańców, które zaczynają się, gdy ktoś cię pociąga. Było to o tyle ciekawe, że oboje zakochiwali się w tej samej osobie.

Porównanie urodzenia dziecka do odkrycia w domu nowego pokoju wywarło na Joannie tak silne wrażenie, że w sposób naturalny chciała poznać jego opinie w innych kwestiach. Kochała swojego męża i spełniała się w małżeństwie. To jednak było coś wyjątkowego. Rzadko zdarza się nam spotkać kogoś, kto ma oryginalne spojrzenie na świat i kto, dzieląc się nim, potrafi poszerzyć nasze horyzonty. Przyjaciele Joanny patrzyli na życie tak samo jak ona. Mąż był jej oddany i ciężko pracował, ale miał aż do bólu pragmatyczny stosunek do życia; w jego świecie nie było miejsca na metafory i poetyckie analogie.

Mężczyzna z kafejki był inny. Bez względu na to, o czym rozmawiali, ujmował to z innego punktu widzenia, który jej nie przyszedłby do głowy. Gdy zapytała go o ulubiony owoc, odparł, że arbuz, bo jest taki śmieszny. Czy ktoś kiedykolwiek pomyślał o śmieszności arbuza? Gdy jednak zaczęła bawić się tą myślą, nabrała ona rozkosznie zakręconego sensu.

Opowiedziała mu, że jadąc rano do pracy, jakimś cudem

pięć razy pod rząd przejechała na zielonych światłach. Skinął głową ze zrozumieniem i powiedział: „Małysznie”. Gdy pokręciła zdezorientowana głową i zapytała, co przez to rozumie, wyjaśnił, że wymyślił to słowo, by opisać małe cuda, które przytrafiają się nam niekiedy - na przykład gdy pięć razy przejedziemy na zielonym świetle. „To zbitka dwóch różnych słów: «mały» i «pyszny», których sens spotyka się gdzieś pośrodku”.

Nie wiedział o tym, że po ich trzeciej rozmowie kupiła w sklepie papierniczym tani notatnik, w którym zaczęła spisywać jego spostrzeżenia - to, co chciała zapamiętać. Gdy w kawiarence panował zastój, wyciągała notatnik i stawiała w nim koślawe słowa, takie jak „dziecko = dodatkowy pokój” albo „małyszny”. Któregoś dnia mąż dostrzegł notes w jej torbie i zapytał o niego. Joanna wyjaśniła, że odnotowuje tam pomysły, które czasem przychodzą jej do głowy. Jakie pomysły? - zapytał łagodnie. Zadowolona z jego zainteresowania odparła, że czasami nasuwają jej się ciekawostki i że chce je zapamiętać. Jako przykład podała mu słowo „małyszny”, jakby to ona je wymyśliła. Mąż wysłuchał jej do końca, jego twarz pozostała niewzruszona. Powtórzył nowe słowo z ledwie uchwytną nutą ironii, po czym się roześmiał, jakby miał do czynienia z dziwaczką - ale to nic, i tak ją kocha.

Jednak określenie „małyszny” pochodziło nie od mężczyzny z kawiarni, ale od jego żony. Posłużył się nim tamtego dnia w rozmowie z Joanną, gdyż słowo to znakomicie pasowało do jej historii o światłach ulicznych. Dlaczego przywłaszczył sobie pomysł żony? Po raz drugi uczynił tak dlatego, że zobaczył w oczach kelnerki milczący podziw; jej twarz wygładziła się w uśmiechu, gdy zrozumiała, o co mu

chodzi. Przeczytał gdzieś, że największą satysfakcję - zaraz po kochaniu się - sprawia mężczyznom bawienie kobiet. Uznał, że trzecie miejsce należy się pełnemu aprobaty kobiecemu uśmiechowi.

Od tego dnia nie był sobą. Ilekroć gawędził z Joanną, stawał się kimś mądrzejszym, zabawniejszym, ani trochę niepodobnym do dawnego siebie. Zamienił się w człowieka, jakim chciał być w marzeniach. Używając cudzych kwestii i pomysłów, sprawił, że Joanna uwierzyła, iż to on je wymyślił, choć rzadko było tak naprawdę. Dużo czytał i miał dobrą pamięć, toteż podczas rozmów, jakie prowadzili, łatwo przychodziło mu wypowiadać dowcipne i celne uwagi. Nie mógł się wprost doczekać ich spotkań; miał w niej wdzięczną słuchaczkę, ale przede wszystkim urastał w jej oczach do rangi osoby, jaką zawsze pragnął się stać.

W tym momencie pojawia się wątek uczuciowy, wkrótce bowiem zarówno on, jak i Joanna zakochali się w człowieku, pod którego się podszył. Nie dlatego to zrobił, że chciał ją uwieść, że uważał, iż oszustwo będzie najlepszym środkiem prowadzącym do celu. Nie: on zrobił to dla siebie. Chciał SOBIE pokazać, że w innych okolicznościach mógłby być tym niesamowitym, czarującym mężczyzną.

Romanse mają to do siebie, że kochanek jest zawsze świeżo po kąpieli i cudownie pachnie, że zachwycona kochanka pragnie wziąć go w ramiona i wysłuchać, jak minął dzień, porozmawiać o wszystkim, co go interesuje. Jego woda toaletowa pachnie niebiańsko, a opowieści, które snuje, są oryginalne i głębokie. Zakochani mają w oczach ogień, ich twarze wołają niemo: Gdzie byłaś tak długo? Czekalam na ciebie całą wieczność.

Od tej pory, gdy przestępował próg kawiarni, budziło się w

nich coś tajemniczego i świętego. Oboje wzrastali w swoich promieniach. Pod nieobecność Joanny był jedynie sobą i nikim więcej. Przy niej stawał się spełnieniem własnych marzeń - i żył przez chwilę tą nową jaźnią. Niczym zamożny koneser win, trzymający w piwniczce rzadkie roczniki, dobywał wciąż nowe butelki ulubionych trunków, aby raczyć nimi Joannę: historie, fragmenty wierszy, obserwacje. Najwyraźniej je uwielbiała.

Nie poznała dotąd równie fascynującego mężczyzny. Nic nie wskazywało na to, że pragnie ją zaciągnąć do łóżka, dzięki czemu ich związek stawał się jeszcze bardziej niezwykły. Joanna pociągała go swoją osobowością; jego historie wzbogacały jej świat. Żałowała jedynie, że mają dla siebie tak mało czasu - tych kilka minut na rozmowę, podczas gdy wypijał kawę. Zastanawiała się, czy jest równie wspaniałomyślny wobec innych ludzi. Miała nadzieję, że nie, zaraz jednak karciała się w duchu. Powinna być wdzięczna losowi, że tak niezwykły facet lubi z nią rozmawiać.

Myślała rzecz jasna o tym, jaka jest jego żona. Ponieważ nie wspominał o niej ni słowem, znaczyło to zapewne, że jest szczęśliwy i nie życzy sobie, by ktoś wtykał w jego małżeństwo swój nos. ALBO że chce pominąć żonę milczeniem. Tak czy inaczej Joanna uważała, że tamtej się poszczęściło. Tylko raz spytała go o nią. Zrelacjonował jej jakąś żenującą historię o jednym ze swoich przyjaciół, którą przedstawił oczywiście jako własną. Joanna zapytała odruchowo, jak przyjęła to jego żona. W odpowiedzi popatrzył na nią dziwnie. Nie mogła odszyfrować jego wzroku. Wreszcie wzruszył ramionami i zmienił temat. Po jego wyjściu przez pół godziny rozmyślała o tym zachowaniu, aż wpadła w złość, że przejmując się takim głupstwem.

W tamtej chwili, patrząc na nią, był pewien, że go

przejrzała. Jego opowieść była tak naciągana, że nawet Joanna - mimo swojej łatwowierności - musiała dojść do wniosku, że coś takiego nie mogło się zdarzyć. A więc inne jego historie też były zmyślane. Wyszło szydło z worka. Gdy raptem zapytała go o żonę, pomyślał, że Joanna podważa jego prawdomówność, że pośrednio zarzuca mu kłamstwo, mówiąc: „Aha, akurat ci wierzę!”.

Jednak przyjrząwszy się jej, zobaczył, że jest inaczej. Joanna naprawdę chciała poznać opinię jego żony. Gdy uświadomił sobie popełniony błąd, zakłopotany nie wiedział, co ma począć, więc tylko wzruszył ramionami.

Wieczorem żona wróciła z podróży służbowej. Kiedy usiedli w jadalni, jak zwykle przyniósł jej lampkę wina; opowiedziała mu, co jej się zdarzyło. Był to ich ulubiony, odwieczny rytuał, który pozwalał im odnowić więzi po kilku dniach rozłąki. Słuchał jej zawsze z zaciekawieniem. Kilka jej uwag przekazał potem Joannie.

- Kiedy na lotnisku czekałam na bagaż, zobaczyłam te umieszczone nad wyjściem tabliczki. No wiesz, czerwoną z napisem „Towary do oclenia” i zieloną - „Nic do oclenia”. Pomyślałam sobie, że prawie każdy wiezie w swoim bagażu coś, co POWINIEN zgłosić przy odprawie, ale tego nie robi. Gdybyśmy byli w pełni uczciwi, nikt z nas nie przeszedłby zielonym wyjściem, a jednak większość wybiera je, i to z czystym sumieniem.

Dolał jej wina.

- Słyszałaś, co psychologowie mówią o złodziejach? Większość z nich kradnie, bo jest przekonana, że im się należy, nie dlatego że próbują się wywinąć. Może tak samo jest z pasażerami na lotnisku: ludzie szczerze wierzą, że NIE POWINNI zgłaszać towaru.

Pokiwała palcem, udając, że go upomina.

- Nonsens. Dobrze wiem, że powinnam zapłacić cło od tej wielkiej butelki wódki i kartonu papierosów, które mam w torbie.

- Niekoniecznie. Wierzysz przecież, że nie powinno się żądać pieniędzy za towar, za który już raz zapłaciłaś.

Skinęła głową.

- Tak, mimo to wiesz, że robisz coś złego... No nic, idę się wykapać, aby zmyć z siebie trudy podróży.

Kiedy brała kąpiel, wyszedł z psem na spacer. Anegdota żony zrymowała mu się z kawiarnianą przygodą, jaką przeżywał z Joanną. Prawie wszystkie historie, które opowiedział kelnerce, zostały albo zmyślane, albo ukradzione innym ludziom. Mężczyzna, którego tak lubiła, w rzeczywistości nie istniał. Gdyby Joanna była celniczką na lotnisku, mógłby śmiało podejść do niej i oznajmić: „Wszystko, co wiozę, jest nielegalne. Proszę naliczyć cło i podatek”.

Joanna nie zasługiwała na to, by ją częstować kłamstwami, choćby nawet były zabawne i pouczające. Wtedy właśnie postanowił, że od tej pory - ilekroć się spotkają - będzie wyłącznie sobą. Też ma parę pozytywnych cech. Jest oczytany, wrażliwy i spostrzegawczy. Dostaje pozowania na supermana. Kto wie, może spodoba jej się w swojej prawdziwej odsłonie - jako człowiek, którym jest, a nie którego udaje.

Nigdy więcej jej nie zobaczył.

Nazajutrz rano wszedł do kawiarni pełen dobrych chęci, ale nie zastał tam Joanny. Było to dziwne: wiedział, że we wtorek kelnerka pracuje na pełnej zmianie. Dwa dni później zapytał o nią.

Kelnerka o imieniu Giselle nie kryła zdziwienia, że interesuje go los jej byłej koleżanki.

-O, Joanna odeszła.

-ODESZŁA? Znaczy się, wzięła urlop, tak?

-Nie, zrezygnowała. Nie wiem czemu. Nie byliśmy z sobą zbyt blisko. Podać coś panu?

Żadna z zatrudnionych w kawiarni kobiet nie wiedziała, dokąd Joanna się przeniosła. Po starannym ich przepytaniu wiedział tylko, że pewnego dnia poinformowała kierowniczkę, iż składa rezygnację, po czym dokończyła swoją zmianę i nikt jej więcej nie widział. Zwykle rozgadana, tym razem nie pisnęła nikomu słówka.

Najbardziej na świecie Joanna kochała matkę. Gdy więc matka zatelefonowała z wiadomością, że zdiagnozowano u niej raka trzustki, córka natychmiast rzuciła pracę, powiedziała mężowi, że zamieszka w domu rodziców na tak długo, jak będzie trzeba, i nazajutrz wyruszyła w drogę swoim starym samochodem.

Następne sześć miesięcy należały do najtrudniejszych w jej życiu. Matka szybko podupadła na zdrowiu, jej ostatnie dni miały trwale zapisać się w pamięci córki. Co wieczór Joanna dzwoniła do męża i informowała go o bieżących wydarzeniach.

Trzymał słuchawkę tak mocno, że odciskiwiała się w jego dłoni. Słuchając ukochanej żony, czuł się sfrustrowany, niepotrzebny i zagubiony. Raz po raz pytał, czy ma przyjechać, aby dotrzymać jej towarzystwa. „Nie - odpowiadała Joanna. - Zostań. Jestem szczęśliwa, gdy pomyślę o tobie i naszym życiu. Widzę, jak oglądasz telewizję w naszym salonie... Kiedy uda mi się oderwać na chwilę od codzienności i pomyśleć o zwykłych rzeczach, czuję się szczęśliwa. Nie chcę, żebyś tu przyjeżdżał i wikłał się w tę historię”. Zaczynała płakać. Już tylko jej płacz pokonywał odległość i smutek, które ich

rozdzielały.

To, co ją wspierało w naprawdę trudnych chwilach, co wyjmowała po kolei z pamięci i rozpakowywała niczym najdroższe precjoza - to historie, które opowiedział jej mężczyzna z kawiarni. Chyba tylko one pozwoliły jej przetrwać ten okrutny czas. Siedząc przy łóżku śpiącej matki w hospicjum, Joanna uśmiechała się lub zamykała z ulgą oczy, przypominając sobie jego opowieści

I anegdoty. Niekiedy wyciągała notatnik i odczytywała swoje zapiski, aby przywołać szczegóły ich rozmów.

Nie wiedziała dotąd, co to znaczy runąć w otchłań życia, lecz ogrom smutku, jakiego doznała w ostatnim tygodniu życia matki, omal nie doprowadził jej na skraj przepaści. Potrafiła jednak skupić całą uwagę na zabawnych, pięknych i ciekawych opowieściach, które usłyszała od mężczyzny. W pewnej mierze odzyskała równowagę. Przypomniała sobie, że w życiu zdarzają się także momenty śmieszne i wspaniałe, nie tylko ołowianosza- re i bezwzględne.

Trzy dni przed śmiercią matka otworzyła usta i wzięła kawałek mandarynki, który jej zaoferowała córka. Przedtem nie chciała jeść. Serce Joanny wypełniło się wielką radością.

To jednak nie słowo „radość” przyszło jej wtedy na myśl, ale „małyzny”. Matka dokonała małego cudu. Joanna miała nadzieję, że mandarynka była pyszna. Być może dlatego to dziwaczne niby-słowo wróciło do niej i nie chciało zostawić jej w spokoju.

Dopiero później uzmysłowiła sobie, dlaczego tak się stało. W innych okolicznościach jej matce także spodobałoby się to słowo. Bezbłędnie wyczułaby ukryty w nim sens. Ona i Joanna używałyby go od czasu do czasu, rozmawiając przez telefon. Małyzny.

Gdy patrzyła, jak usta matki przeżuwiają ostatni kęs, słowo męczyzny z kawiarni zabrzmiało w jej głowie z taką siłą, że mało brakowało, by wypowiedziała je na głos.

Dom na wyżynie

Nie wiem dokładnie, kiedy to się zaczęło. On mi nie powiedział, a ja nie umiem czytać w ludzkich myślach. Nie jestem też zbyt spostrzegawcza, przyznaję się bez bicia. Biorę życie takim, jakie jest. Patrzę bezkrytycznie na paradującą przede mną defiladę; nie identyfikuję graczy za pomocą lornetki ani tablicy wyników. Nie obchodzi mnie, czy mają szyte na miarę kostiumy, jeśli dobrze wyglądają z daleka. Co z tego, że ten klaun kręci na boku z sąsiadką? Ważne, że daje dobrą rozrywkę. Nie wyróżniam się z tłumu niczym szczególnym: piszczę z zachwytem na widok ruchomych platform, biję brawo królowym piękności i zwycięskim drużynom, łza kręci mi się w oku, gdy orkiestra dęta zaczyna grać hymn państwowy.

A zatem nie: nie zdawałam sobie sprawy, że z moim mężem - że w naszym życiu - dzieje się coś złego, dopóki nie odkryłam, czym się zajmuje.

No, ale byliśmy małżeństwem od jedenastu lat. Wspólne życie sprawia, że po jakimś czasie przestaje się zwracać uwagę na pewne rzeczy. Tak dzieje się przeważnie, choć żona i mąż bardzo się kochają. Kłębki włosów znalezione w umywalce, dykteryjki opowiadane po raz setny albo fakt, że ona lub on jedzą z otwartymi ustami. Znamy doskonale te przypadłości - godzimy się na nie, lekceważymy je albo chcąc nie chcąc akceptujemy, ponieważ składają się na naszą życiową ucztę, w której dobrowolnie uczestniczymy z naszym partnerem. Małżeństwo to nie tylko słodki deser.

Zdradził go aparat fotograficzny. Musicie wiedzieć, że

mój mąż nie jest człowiekiem niechlujnym. Nie rozrzuca przedmiotów na lewo i prawo, zwłaszcza jeśli są to rzeczy wartościowe albo kruche - jak ten aparat. Nazwałabym go pedantem. Jego książki i płyty leżą w porządku alfabetycznym. Wszystko musi być na swoim miejscu. Czy więc zostawił aparat po to, żebym go odnalazła? Czasami tak myślę.

Przepraszam, odbiegam od tematu.

W tamtą sobotę byłam w mieszkaniu sama, gdy po wejściu do salonu zobaczyłam leżący na stoliku srebrno-czarny cyfrowy aparat fotograficzny, którego przedtem nie widziałam. Małe cudeńko techniki. Niemieckie. Do kogo należał? Była to tak zwana „małpa”, czyli prosta w obsłudze idiotenkamera. Włączyłam go i przewinęłam zapisane zdjęcia. Było ich kilkanaście. Przedstawiały rusztowania albo miejskie widoki uchwycone z lotu ptaka. Musiano je wykonać z dużej wysokości.

Alan przyszedł godzinę później. Kiedy go zapytałam, skąd wziął się ten aparat, zgarnął go nonszalanckim gestem i oznajmił, że jeden z klientów zostawił go w biurze po zebraniu. Alan zamierzał zadzwonić do niego i poinformować o zgubie. Powiedziałam mu, że obejrzałam zapisane tam zdjęcia; wzruszył tylko ramionami. Spytał, co to za fotki i co o nich myślę. To jakieś rusztowania, odparłam. Mało ekscytujący temat. Uśmiechnął się i zapytał, czego się spodziewałam. Bo ja wiem... - zastanowiłam się. Może jakichś bezeceństw?

Wrzucił aparat do kieszeni i tyle. Gdy po ładnych kilku tygodniach zobaczyłam aparat ponownie, zawierał on dużo więcej zdjęć.

Alan zachowywał się normalnie. Niekiedy wychodził

rano do pracy ubrany nie całkiem odpowiednio - w zwykłe luźne rzeczy, bez garnituru i krawata. Gdy go o to spytałam, wyjaśnił, że tego dnia nie musi być w sądzie i że czeka go w biurze trochę papierkowej roboty.

Zgoda, nie brzmi to zbyt przekonująco, ale każde z nas żyje własnym życiem. Mamy swoje sprawy i plany. Dopóki nic ich nie zakłóca, nie zawracamy sobie głowy rozważaniami, co nasz partner robi w ciągu dnia. Zwłaszcza po tylu latach. Być może tuż po ślubie przerwałabym poranne zajęcia i zaczęła się zastanawiać, czym mój mąż zajmuje się w tej chwili. Wówczas jednak słowo „mąż” weszło dopiero do mojego słownika i miało tak słodki smak, że nie mogłam się nim nasycić. Z upływem lat wszystko to więdnie. Byłam wdzięczna losowi, że widok Alana wracającego do domu wciąż budzi we mnie radość; nadal wiele nas łączyło i mieliśmy o czym rozmawiać. Nie wiem, co znaczy szczęście, ale wydaje mi się, że byliśmy szczęśliwi. Wielu naszych przyjaciół rozwiodło się lub co gorsza, żyło pod jednym dachem, nie odzywając się do siebie słowem. Alan i ja żyliśmy inaczej. Wieczorami przeważnie rozmawialiśmy, zamiast gapić się w telewizor albo rozstawać po kolacji. Czekaliśmy niecierpliwie na weekendy i dni wolne od pracy, by z sobą pobyć, tylko we dwoje. Zwróćcie uwagę, że nie bronię się ani nie szukam usprawiedliwień. Kochałam Alana - ale co bodaj ważniejsze, bardzo go LUBIŁAM i świetnie czułam się w jego towarzystwie.

Wszyscy mamy swoje tajemnice, ale skoro nie dotyczą one twojego partnera, trudno mówić, że są szkodliwe, prawda?

Przed odkryciem rusztowania Alan Harris nie miał żadnych tajemnic. Od czasu do czasu onanizował się, dłużej w nosie

albo mówił niegroźne kłamstewka. Zakładał, że wszyscy tak robią, więc me uważał tego za tajemnicę. Według niego sekret był czymś wstydlivym i wyjątkowym, co człowiek skrywa przed innymi ludźmi. W wieku czterdziestu dwóch lat Alan nie przejmował się tym, co inni o nim wiedzą, bo był święcie przekonany, że nie ma nic do ukrycia. Lubił swoją żonę i był jej wierny. Wiódł dostatecznie satysfakcjonujące życie, by nie marzyć o innym. Pieniądzy mu nie brakowało; kiedy miał na coś ochotę, kupował to. Coraz rzadziej jednak miewał ochotę. Był nie tyle człowiekiem szczęśliwym, ile wygodnie urządzonym - i to mu wystarczało. Był prawnikiem. Prawnicy żyją za pan brat z kompromisem.

Któraś przedpołudnia, mówiąc przez telefon, wyjrzał przez okno i zobaczył, że po drugiej stronie ulicy, przed zmurszałym budynkiem, wznoszono metalową konstrukcję. Ekipa kilkunastu robotników zabierała się do montażu rusztowania, które miało pokryć fasadę gmachu niczym zewnętrzny szkielec. Dopiero wtedy miały się zacząć właściwe prace remontowe.

Dwie czerwone ciężarówki z dźwigiem wyładowały z platform ogromne, ciasno związane paczki z elementami rusztowania. Robotnicy rozwiązali je i stanawszy na różnych poziomach, podawali sobie kolejne elementy. Harris przyglądał im się z przyjemnością. Cieszył się, że ludzie mają pracę, że budynki poddaje się remontom - nazywał je w myśli „leczeniem” - i że miasto, które tak bardzo lubił, nabiera życia.

- Na co patrzysz? - zapytała sekretarka. Weszła do biura, gdy tylko odłożył telefon i wciąż stojąc w oknie, obserwował pracujących robotników.

- Uwielbiam patrzeć, jak budują rusztowanie. Widziałas to kiedyś, od początku do końca?

Podeszła do niego; oboje milczeli, śledząc postępujące na dole prace. Stalowe rury wędrowały z ręki do ręki. W ruch szły narzędzia. Wykrzykiwano jakieś instrukcje, które nie przebijały się przez podwójne szyby w oknach biura. W końcu sekretarka uśmiechnęła się półgębkiem, wzruszyła ramionami i wyszła. Harris poczuł ukłucie złości. Czy to obojętność czy brak zainteresowania? Dlaczego nie potrafi docenić ich wysiłków? Czy jest ślepa? Przecież ci ludzie pracują nad czymś, co zmieni oblicze całej dzielnicy. Są fachowcami, znają się na swojej robocie; wiedzą, które narzędzie wydobyć z szerokiego skórzanego pasa, o który element poprosić. Harris był ciekaw, jak nazywają się poszczególne części. Czy wywołuje się je numerycznie: „Hej, daj mi ósemkę”? Czy też noszą konkretne nazwy: wsporniki, złącza, kotwy.

Tamtego wieczoru pracował do dwudziestej. Był zmęczony, głodny i sfrustrowany papierkową robotą związaną ze sprawą, która stała w miejscu, a jednak pochłaniała mnóstwo jego czasu. Problem z prawem polega na tym, że roi się w nim od kruczków, luk i haczyków, tak iż można całymi latami plątać się po tych labiryntach i wciąż nie trafić do wyjścia. Leżało to wprawdzie w interesie jego kancelarii adwokackiej, która liczyła sobie od godziny, ale ten niekończący się proces odbierał motywację, sprawiał, że nie chciało się rano przychodzić do pracy. Naciągając ze znużeniem płaszcz, Harris raz jeszcze powrócił myślami do rusztowania i mężczyzn, którzy je wybudowali. Wiedzieli dokładnie, kiedy ich praca dobiegnie końca. Montaż, demontaż, przeprowadzka. Ich codzienne życie składało się

z początku, środka i końca. Cynik odpowiedziałby na to: „Jasne, ale to harówka dla fizycznych i byle głupek może taką robotę odwalić”. A jednak w takie wieczory jak ten Harris im zazdrościł, choćby i byli głupkami. Od rana pracowali na dworze, kończyli o piątej, po czym myli się i schodzili z powrotem do miasta, któremu pomagali się „wyleczyć”. Wpadali z kumplami do baru na kilka głębszych i gawędzili, mając świadomość, że zrobili dziś kawał dobrej roboty i że uporają się ze wszystkim w tydzień.

Na zewnątrz panował chłód i Harris podniósł kołnierz płaszcza. Celowo nie wziął z biura teczki, bo gdyby ją zabrał, pracowałby również w domu; w końcu człowiekowi należy się nieco odpoczynku. Stojąc na chodniku, Harris usiłował zdecydować, czy powinien najpierw coś zjeść, czy też kupić po drodze kolację, którą zje w domu. Uśmiechnął się na myśl o styropianowym pudełku wypełnionym ciepłą, smaczną chińszczyzną na wynos. Oczami wyobraźni ujrzał żonę przynoszącą mu zimne meksykańskie piwo z lodówki i siadającą naprzeciw niego - szczęśliwą, że wrócił do domu. Myśląc o tym, bezwiednie gapił się na plac budowy. Nagle jakby oprzytomniał - rozejrzał się, po czym przeciął ulicę, aby popatrzeć z bliska na postęp prac przy budynku.

Stanął na dole z zadartą głową, ale ciemności nie pozwoliły mu wiele dojrzeć; niedokończona konstrukcja odcinała się słabo w mroku kratownicą metalu i drewna. Harris podszedł do najbliższego podestu i położył rękę na żerdzi. Po chwili sąsiednią ulicą przetoczyła się z hukiem wielka ciężarówka, wprawiając rusztowanie w wibracje. Choć samochód odjechał, Harris nadal trzymał metal w dłoni; czuł, że tak trzeba. Przez tych kilka sekund był bliżej rzeczywistości niż przez cały miniony dzień. Zamknął oczy i

ścisnął stalową żerdź. Minęło go dwoje zajętych rozmową ludzi. Słyszał ich głosy, lecz nie otworzył oczu.

W domu chciał powiedzieć żonie o swoim przeżyciu, ale w końcu się rozmyślił. Nie dlatego, aby robić z tego tajemnicę. Nie dlatego, że nie chciał, aby się dowiedziała. Czuł, że będzie zachwycona jego historią, bo tak dziwaczny i spontaniczny postępek zupełnie do niego nie pasował. Stał na chodniku z zamkniętymi oczami i trzymał stalową rurkę, bo nasza go taka chętką? Niemożliwe: nie jej mąż. Właśnie dlatego wysłuchałaby tej opowieści z wypiekami na twarzy, jakoś jednak nie wspomniał jej o tym.

Następny dzień w pracy okazał się koszmarem. Harris wyszedł z biura jeszcze później niż poprzedniego wieczoru i natychmiast skierował swoje kroki do rusztowania, aby powtórzyć wczorajszy gest. Tym razem jednak było to świadome zachowanie, nie jednorazowy kaprys. Zamknął oczy, ujął w dłoń metalową podpórkę i poprosił w duchu, aby spłynęła na niego energia ludzi, którzy tu dziś pracowali. Żeby wstąpiła w jego ciało, ożywiła mu serce albo przynajmniej oczyściła go z brudów codzienności...

Nic z tego. Nie było błyskawic ani prądu, który by przeszedł przez jego rękę. Nie poczuł napływu energii. Żerdź pozostała zimnym kawałkiem metalu, toteż Harris puścił ją po chwili zmieszany i uśmiechnął się do siebie z politowaniem. Już miał się stamtąd zabrać, gdy nagle usłyszał piosenkę *Dom na nizinie* rozbrzmiewającą nad jego głową. Uniósł wzrok i zobaczył dwa wielkie, czarne buciory, które zsunęły się obok niego. Należały one - jak się okazało - do postawnego czarnego mężczyzny w puchowej kurtce i żółtym kasku na głowie. Tamten miał przyjemny, głęboki

głos. Opuścił się z rusztowania i zamilkł natychmiast, gdy tylko jego stopy zetknęły się z podłożem.

- Hej, jak się masz?

Alan uśmiechnął się i skinął mu nieśmiało głową.

- Dobrze... Mam się dobrze.

Mężczyzna potarł dłonie i wyszczerzył zęby.

- Na górze robi się diabelnie zimno. Mówię ci, jesień za pasem.

Alan wskazał palcem w niebo.

- Tam naprawdę jest zimniej niż na ziemi?

Robotnik zamyślił się na moment.

- Bywa. Zwłaszcza jak silnie przy wieje. Chcesz się przekonać?

- TERAZ?

- Jasne! Tam jest pięknie. Widać światła w całym mieście. Jakbyś patrzył na szkatułę wypchaną złotymi diamentami. Chodź, obrócimy w pół godzinki.

Była to najcudowniejsza rzecz, jaką Alan zrobił od wielu lat. Robotnik nazywał się Lyle Talbot i okazał się równym gościem. Z początku Alan nie mógł zrozumieć, czemu tamten zaprosił go na wspinaczkę po rusztowaniu. W miarę jednak jak pokonywali kolejne piętra i rozmawiali, stało się zupełnie oczywiste, że rozciągający się z góry widok napawa Lyle a dumą. Chciał się nim z kimś podzielić. Prosty i szczodry gest. Chodź, pokażę ci coś niezwykłego.

Wprawdzie Alan nie miał lęku wysokości, ale niektóre elementy konstrukcji wydały mu się nieco mniej stabilne od innych. Parę razy żołądek podszedł mu do gardła, kiedy noga obsunęła się z żerdzi lub wstąpiła na obluzowaną deskę, po której o mało co nie zjechał w dół. Lyle szedł górą bez wahania, ani razu nie obejrawszy się za siebie. Kiedy

nie odzywał się do Alana, nucił *Dom na nizinie*.

- Tu się zatrzymamy. - Znajdowali się mniej więcej w połowie drogi na szczyt. Lyle sięgnął do jednej z wielkich kieszeni swego kombinezonu i wydobył stamtąd mały posrebrzany termos. - Napijemy się trochę gorącej kawy, żeby ogrzać kości. Zimno ci?

Alan był zbyt podekscytowany, aby czuć zimno. Ze stanowiska, które zajmowali, miasto przedstawiało niewiarygodnie piękny widok. Jarzyło się, migotało i mrugało światłami. Dolatujące z ulic odgłosy niosły bezustanny szum pędu i elektryczności. Chłodny wiatr szarpał nimi w nagłych, ożywczych porywach. Lyle miał rację, mówiąc, że miejskie światła płoną złoto. Niektóre z nich oczywiście miały inne barwy: błękitną, czerwoną, białą. Jednak dominowało złoto na tle czarnej nocy. Wszystkie żyły i zmieniały się, drgając, przygasając, skrząc się i migocząc. Alan żałował jedynie, że nie ma przy sobie aparatu fotograficznego. Zappełniłby go tymi obrazami.

Mężczyźni podawali sobie zakrętkę termosu, dzieląc się mocną, gorącą kawą.

Następnie Lyle zakręcił termos i spytał Alana, czy jest gotowy do zejścia. Przez ostatnie kilka minut wiatr przybrał na sile, zrobiło się jeszcze chłodniej. Alan odchylił głowę i omiół spojrzeniem wyższe kondygnacje. Z jednej strony pragnął kontynuować wspinaczkę, z drugiej jednak wiedział, że czas wracać do domu.

- Tak, jestem gotowy. Dziękuję, Lyle, że mnie tu zaprosiłeś. To była magiczna chwila. Naprawdę. Miasto wygląda stąd zupełnie inaczej niż z okien biurowca. To jakby porównać jazdę na motocyklu do jazdy samochodem. Tutaj czujesz na twarzy wiatr i chłód, masz wrażenie, że lecisz

nad miastem jak ptak na rozpostartych skrzydłach. Wiatr unosi cię i opuszcza... to niesamowite.

Lyle skinął głową. Poszperał chwilę w innej kieszeni, by wyciągnąć stamtąd grubą metalową śrubę długości pięciu centymetrów.

- Proszę... zatrzymaj to na pamiątkę.

Alan wziął śrubę i ostrożnie zamknął ją w dłoni.

- Zachowam ją jak skarb.

Nazajutrz w porze lunchu kupił sobie aparat cyfrowy. Wszedł do sklepu fotograficznego nieopodal biura i oznajmił sprzedawcy, że szuka dobrego i prostego aparatu, który by mu się zmieścił w kieszeni. Sprzedawca bez wahania wyjął model z szafki wystawowej i położył go na ladzie. Aparat był wielkości talii kart i miał jedynie dwa małe guziczki na górze. Obsługi można się było nauczyć w niecały kwadrans. Aparat miał precyzyjną soczewkę Zeissa, więc rezultaty przechodziły najśmielsze oczekiwania.

Alan usiadł na ławce w parku i przeczytał instrukcję obsługi. Mając trochę czasu przed powrotem do biura, zrobił na początek kilka zdjęć rusztowania, na które wspiął się wczoraj wieczorem.

Później sfotografował plac budowy, najpierw z okna swego biura, a potem - po pracy - z poziomu ulicy. Utrwalił rusztowanie rano, po południu i w nocy, kiedy było już prawie niewidoczne z wyjątkiem paru pojedynczych przebłysków metalu.

Zaletą cyfrówki było to, że momentalnie widział wyniki swoich działań. Nie podobały mu się. Robił zdjęcie, patrzył na nie i zaraz je kasował. I tak w kółko. Nie zachował w aparacie ani jednej fotografii. Trwało to kilka dni. Wiedział, że nie jest artystą fotografikiem. Nie chodziło mu jednak o

dzieło sztuki. Chciał zrobić jedno jedyne zdjęcie, które choć w małym stopniu oddawałoby to, czego tamtego wieczoru doświadczył na rusztowaniu z Lyleem. Tylko TAKIE zdjęcie mogło go zadowolić.

Nie miał pojęcia, dlaczego to robi. Nie miał obsesji. Owszem, był człowiekiem porządnym i pragmatycznym, lecz nawet słowa „obsesja” używał najwyżej dwa razy do roku, zawsze w odniesieniu do kogoś innego. Któregoś dnia zapytał żonę, czy kiedykolwiek zauważyła u niego obsesyjne zachowanie. Zaprzeczyła bez namysłu. Być może znalazł sobie hobby. Nie było w tym nic złego. Być może po prostu lubił robić zdjęcia rusztowań i pracujących na nich robotników.

Pewnego wieczoru po kolacji w ulubionej restauracji oboje przechadzali się wolno po dzielnicy, w której znajdowały się liczne galerie sztuki. Jedna z nich zorganizowała wystawę dzieł artysty, który robił wyłącznie czarno-białe fotografie ukazujące nienaostrzone ołówki leżące na kwadratowych białych talerzach. Żadne z dzieł nie wyglądało jakoś szczególnie ciekawie. Na ile sposobów da się położyć ołówek na talerzu? Mimo to Alan zaciągnął żonę do galerii i długo oglądał wywieszone tam prace. Rozbawiona nie sprzeciwiała mu się, wreszcie jednak uznała, że przebrała się miarka. Przynęła się ku niemu i wyszeptwała:

- Kupię ci dwa ołówki, jakich tylko zapragniesz, ale wyjdźmy już stąd.

Wystawa poprawiła mu samopoczucie. Widok tych fotografii dodał mu wiary, że nie robi nic złego. Jedni pstrykają zdjęcia ołówków, a inni rusztowań.

W tym czasie brygada, która postawiła rusztowanie,

przeniosła się na nowe miejsce, na fasadzie budynku rozpoczęto zaś prace renowacyjne. Trudno było dojrzeć, czym właściwie zajmują się robotnicy. Alan widział tylko, że niektórzy kłajstrują dziury zaprawą murarską, a inni zdzierają stary tynk szpachlami. Chętnie by się dowiedział czegoś więcej, zobaczył to z bliska. W piątek wyszedł z pracy wcześniej i podreptał na drugą stronę ulicy. Parę minut później powiedział swoje pierwsze kłamstwo, odkąd zaczęła się ta historia.

Robotnik w kasku, idący z pomarańczową piłą łańcuchową, zobaczył, że Alan robi zdjęcia.

- Pan jest tym facetem z ubezpieczalni?

Alan potwierdził bez zastanowienia.

- No to pewnie będzie pan chciał wejść i porobić zdjęcia. Tędy.

Były to właśnie fotografie, które ujrzała jego żona, kiedy natknęła się na aparat w salonie. Nie były zbyt dobre, ale należały do pierwszych, które wykonał z rusztowania, dlatego ich nie wymazał.

Nie od razu się zorientował, że w czasie dnia na placu budowy panuje huk i rozgardiasz. Początkowo zobaczył to, na czym mu zależało: ludzi pracujących na wysokości. W istocie ten drugi świat na rusztowaniu tak bardzo mu się spodobał, że Alan zaczął odwiedzać inne place budowy w mieście. Udując pracownika firmy ubezpieczeniowej i emanując pewnością siebie, zyskiwał niemal swobodny dostęp do wszystkich pięter. Wspiął się na górę, schodził, rozmawiał z robotnikami, robił zdjęcia. Była to orzeźwiająca odmiana w porównaniu ze statecznym, sterylnym życiem biurowym, polegającym na tropieniu trywialnych detali, wynajdywaniu furtek prawnych czy wygrzebywaniu

rzadkich precedensów z annałów biurowej biblioteki.

Praca robotników była hałaśliwa, prosta i dawała wymierne korzyści. Alan ochoczo wkładał na siebie luźny strój i wychodził rano z domu, wiedząc, że za godzinę znajdzie się wysoko nad miastem i będzie je obserwował z perspektywy dostępnej zaledwie garstce szczęśliwców.

Szóstego albo siódmego dnia zdał sobie jednak sprawę, że tak naprawdę chce wskrzesić ten magiczny wieczór, który spędził na rusztowaniu z Lyle em Talbotem. Doświadczenie to przypominało mu pierwszą przejażdżkę na rowerze - ten cudowny moment, kiedy chłopiec odkrył własny punkt równowagi i uwolnił się od silnej ręki ojca, ruszając ku wolności. Nocna panorama miasta rozciągniętego w dole, kawa pita z ciepłego metalowego kubka Lyle a, poczucie i świadomość życia - były to niezwykle doświadczenia. Bardzo chciał je powtórzyć.

Alan nie zobaczył więcej Lyle a, choć od czasu ich wieczornego spotkania wiele razy mijał budynek naprzeciw biura. W kieszeni nosił śrubę, którą od niego dostał; bawił się nią przez cały czas. Był pragmatykiem, nie wierzył w magię, szczęście ani religię. Mimo to śruba stała się czymś w rodzaju talizmanu - jedyne, jaki kiedykolwiek miał. Gdyby ją zgubił, bardzo by się zmartwił.

Parę tygodni później żona ponownie zobaczyła aparat na jego biurku i jeszcze raz oglądnęła zapisane w pamięci fotografie. Ku jej zaskoczeniu i przerażeniu były wśród nich dwa zdjęcia ich salonu, które Alan zrobił przez pomyłkę. Aparat bezwzględnie należał do niego, a nie do jakiegoś klienta, jak twierdził. O co tu chodzi? Dlaczego ją okłamał? Co znaczą te zdjęcia? Pytania te zaprzętały jej myśli przez dwa dni; nie mogła się zdecydować. Zapytać go po prostu?

Oświadczyć, że nie rozumie jego kłamstwa, i zapytać wprost, czy Alan ukrywa przed nią coś, o czym powinna wiedzieć? Bała się tego, co może usłyszeć. Czyżby stało się coś tak złego, że ten łagodny, uczciwy człowiek postanowił okłamać swoją najlepszą przyjaciółkę i życiową towarzyszkę?

Zanim zdążyła się z nim rozmówić, Alan zniknął.

Nie od dzisiaj spał kiepsko. Po czterech czy pięciu nocnych godzinach jego oczy otwierały się i czekały na nadejście dnia, mimo że na zewnątrz wciąż było ciemno. Rozbudzony wahał się po mieszkaniu w piżamie, czasem czytał coś, oglądał telewizję albo robił śniadanie. Przywykła do tego. Ilekroć wyczuwała, że Alan wierci się w łóżku, nakrywała głowę poduszką i ponownie zapadała w sen.

Wrócił z pracy zmęczony i skwaszony. Zjedli w milczeniu kolację i o dziesiątej poszedł spać. Kiedy napomknęła, że jeśli teraz usnie, to zbudzi się bardzo wcześnie, pokręcił głową i położył się do łóżka.

Ocknął się o trzeciej nad ranem i w jego myślach natychmiast zmaterializował się gotowy plan. Wiedząc, że sen już nie wróci, postanowił ubrać się i pójść na miejsce, które na własny użytek nazywał „placem Lyle a”. Wejdzie na rusztowanie i stanie tam, gdzie stali obaj tamtego wieczoru. Czemu nie? Tak chce i tak zrobi...

Wciążając ubranie, wyjrzał przez okno i zobaczył, że ulica łśni czernią od deszczu. Czy należało się obawiać, że pogoda popsuje mu widok z góry? Miał nadzieję, że nie, ale i tak myśl ta go nie odstraszyła. Wdział płaszcz przeciwdeszczowy i czapkę, po czym wysunął się cicho przez frontowe drzwi, które zamknęły się z metalicznym pstryknięciem.

Ulice były mokre i opustoszałe. Raz po raz przejeżdżała z sykiem opon taksówka. Minął snującą się po chodniku parę młodych ludzi; trzymali się za ręce, nieświadomi reszty świata. Jak na tę porę roku było dość ciepło - mimo to zapiały guziki płaszcza, bo tam, gdzie się wybierał, będzie zimniej.

Po dotarciu do placu rozejrzał się na boki, aby upewnić się, że nikt go nie widzi. Następnie, jakby chcąc dodać sobie odwagi, namacał metalową śrubę w kieszeni i uśmiechnął się, bezgłośnie witając nieobecnego Lylea i wyjaśniając mu, co zamierza.

Metalowe rurki były śliskie. Podczas wejścia Alan parokrotnie poślizgnął się i obsunął, wskutek czego serce waliło mu w piersi, adrenalina krążyła zaś po całym ciele. Rzadko doznawał tego rodzaju uczucia i nie umiał powiedzieć, czyje lubi czy nienawidzi.

Od czasu do czasu zatrzymywał się i spoglądał w dół. Zmyte deszczem miasto wydawało się półpłynne, jakby dopiero co zastygło w swej formie, wydmuchane ze szkła albo ulepione z lukrecji. Zdawało się dziwnie kruche, jakby miało się rozsypać od jednego uderzenia młotkiem.

Wspiąwszy się na kondygnację, na której wówczas zatrzymali się z Lyleem, Alan Harris obrócił się twarzą ku miastu, siadł w kucki i wsunął zgrabiałe dłonie pod pachy. Zwykle przybierał tę pozycję, kiedy wiedział, że przyjdzie mu spędzić gdzieś dłuższy czas.

Upłynęło kilka minut, gdy do jego uszu dobiegł czyjś głos:

- Ejże, może byśmy tak wzięli się do roboty, co? Podaj mi ten młotek.

Kompletnie zaskoczony Alan spojrział w prawo wybałuszonymi oczyma. Na drugim końcu podestu stał męż-

czyzna w popačkanym farbą kombinezonie, w żółtym kasku na głowie i skórzanym pasie z narzędziami. Nie był to Lyle Talbot.

- Słucham?

- No już, RUSZ się, człowieku. Nie płacą nam za siedzenie. Dasz mi ten młotek czy nie?

Alan opuścił wzrok i zobaczył, że w cieniu spowijającym jego stopy leży gumowy młotek z drewnianą rączką. Mimo ciemności widział, że narzędzie jest mocno zużyte. Wyprostował się z ociąganiem, podniósł młotek i podszedł z nim do stojącego na końcu podestu mężczyzny.

- Ja tu nie...

Tamten pokręcił głową i odwrócił się do fasady. Wysunął z pasa krótkie stalowe dłuto i przytknął je do elewacji.

- Widzisz tę warstwę? To wszystko musi zleźć, zanim położymy licówkę. Trzeba to dokładnie zedrzeć, kapujesz? O, tak...

Przez kilka minut pokazywał Alanowi, jak ma się posługiwać młotkiem i dłutem. Prawnik patrzył, me odzywając się. Co miał powiedzieć? Dlaczego tamten pracuje w środku nocy? Pytania cisnęły mu się na usta, ale to przecież on wtargnął na cudzy teren. Najwyraźniej wzięto go za jednego z robotników z nocnej zmiany. Poczekaj, aż facet skończy i sobie pójdzie, a wtedy opuści się cichaczem na ulicę i tyle go będzie widać.

- Masz, spróbuj. - Mężczyzna wyciągnął obie ręce, trzymając narzędzia.

Alan odebrał je nieśmiało, po czym przyłożył dłuto do ściany i uderzył w nie młotkiem.

- Mocniej! To stary tynk. Tu się nie ma co pieścić.

Alan uderzył jeszcze raz, o wiele silniej. Nieduży ka-

walek elewacji ułamał się i odpadł.

- Mocniej, człowieku! To nie kobieta, tylko ściana.

PRZYWAŁ jej.

Uśmiechnął się i rąbnął w dół ze wszystkich sił: tym razem wyrwał całkiem sporą bryłę.

- Dobrze, i o to właśnie chodzi. Wrócę tu jeszcze. -

Robotnik otarł ręce w kombinezon i wychyliwszy się na jednej z krańcowych żerdzi, zaczął schodzić po rusztowaniu. Miał przy sobie tyle metalowych przedmiotów, że poruszając się, pobrzękiwał nimi, jakby nosił w pasie dzwoneczki.

Alan uznał, że najrozsądniej będzie trochę odczekać. Nie mając nic innego do roboty, znów zaczął kruszyć dół tern ścianę budynku.

Przez następny kwadrans nic się nie wydarzyło. Praca sprawiała mu satysfakcję i dodawała energii. Mimo hałasu, który robił, doszedł do wniosku, że wysokość pochłania co bardziej natarczywe dźwięki. Odwykł od pracy fizycznej, ale czuł się znakomicie. Wymachując młotkiem, pomyślał, że powinien znaleźć sobie hobby, które da mu okazję, by robić coś takiego na co dzień. Może zapisze się na kurs meblarstwa albo rzeźby? Narzędzia, które trzymał w rękach, były groźne i tępo uczciwe. Pracował rękami zamiast głową - cóż za wspaniała odmiana!

Snując podobne rozmyślenia, Alan łupnął w dół z taką siłą, że kawałek elewacji odprysł od budynku, ale tym razem nie spadł na ziemię. Biały fragment, mniej więcej wielkości scyzoryka, zawisł nieruchomo między nim a ścianą. Alan opuścił ręce z narzędziami i gapił się na niego z niedowierzaniem: odłamek unosił się w powietrzu przed jego piersią.

- Weź go. Ułam odrobinę i zjedz ją.

Głos rozległ się za jego plecami. Alan odwrócił się i stanął twarzą w twarz z tęgą kobietą w średnim wieku, noszącą czarne okulary i roboczą odzież. Nie słyszał, jak weszła. Wskazał na wiszący odprysk elewacji. Skinęła głową. Wtedy wyciągnął rękę i pochwycił go, tak jak mu kazała. Odłamał mały kawałeczek, położył go z wahaniem na czubku języka i zamknął usta. Zaczął żuć. Żona nie widziała go więcej. Kiedy zniknął, przeszła przez strach, ból, złość i dezorientację, omal nie postradawszy zmysłów i serca.

Uratował ją dobry człowiek: profesor hebraystyki z miejscowego uniwersytetu, który mieszkał w tym samym domu i nieśmiało, ale z uporem zabiegał o jej względy. Na początku ich znajomości otworzyła przed nim serce, a on zachował mądre milczenie. Żydzi na co dzień obcują z tajemnicą; jest ich trzecim rodzicem. Wiedzą, że gdy tajemnica powala ludzi na ziemię, nie zostaje nic innego, niż skinąć głową i okazać współczucie. Jak pokazuje historia, biografie Żydów i okoliczności ich śmierci często nie mają najmniejszego sensu. Zdając sobie z tego sprawę, profesor wręczył jej, pogrążonej w bólu, kartkę papieru, od której rozpoczęło się jej ozdrowienie. Zapisał tam słowa: „Nie ty będziesz dokańczać świat, ale też nie masz prawa w nim nie uczestniczyć”. Przeczytała je i chciała spytać, kto to powiedział, gdy wezbrana w niej fala żałoby wylała się gwałtownym szlochem. Pierwszy raz jednak, odkąd jej mąż zniknął, były to łzy, które oczyszczały, zamiast pogłębiać rozpacz, i mimo że odzyskanie równowagi zajęło jej dłuższy czas, początek tego procesu przypadł właśnie na tamten moment.

Po zjedzeniu kawałka budynku Alan Harris uległ przemianie. Inni mieli mniej szczęścia. W następnych miesiącach Alan widział wielu przychodzących do pracy na rusztowaniu, których wkrótce odprawiano do poprzedniego życia, nie informując ich zresztą ani słowem, dlaczego zostali odrzuceni.

Gdy o to zapytał, powiedziano mu, że ludzie ci pracują przez dwa dni. Jeżeli w tym czasie nie odkryją fragmentu budynku, który mają zjeść, zostają odprawieni z kwitkiem, a ich wspomnienia z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin są kasowane z pamięci. Po powrocie do domu mówią swojej uszczęśliwionej rodzinie, że nie mają pojęcia, gdzie byli. Dzięki Bogu, że odnaleźli drogę do domu. Całuje się ich, wita i fetuje ich powrót. Są wdzięczni - cieszą się, że żyją. Wykluczeni nadal przyglądają się renowacji budynków, lecz nie kryje się za tym żaden głębszy sens. Pozostają miłośnikami, jak człowiek, który dla zabicia czasu przystaje na moment, aby pogapić się na prace trwające na placu budowy.

Od tej pory Alan nie znał głodu ani zmęczenia. Dzień i noc harował z pozostałymi członkami brygady, dopóki nie ukończono odnowy elewacji. Wówczas przełożeni przenieśli ich na drugą stronę miasta, do innego budynku, przed którym stało już rusztowanie, żeby przeprowadzić następny remont.

Brygada Alana mieszała się ze zwykłymi robotnikami, których wynajmowano do renowacji fasad. Kiedy spotykasz na placu budowy człowieka ubranego w odzież roboczą i niosącego te same narzędzia co ty, nie pytasz go, czego tu szuka. Przyjmujesz, że jest na swoim miejscu.

Czym się zajmowali Alan i jego towarzysze? W pierw-

szym okresie bez przerwy zadawał kolegom to pytanie, ale każdy z nich udzielał mu innej odpowiedzi. Było to tematem ciągłych dyskusji. Ktoś twierdził, że szukają czegoś, co zaginęło w spēkanych, osypujących się fasadach, które przywracają do ładu. Taki rodzaj archeologii. Ich szefowie wiedzą, co to jest: gdy tylko rzecz ta zostanie odnaleziona, wszyscy się o tym dowiedzą. Dotychczas jednak na nią nie natrafiono, toteż dalej wędrują od budynku do budynku.

Inny mężczyzna, wysoki Azer z wątlą szczęką i dzikimi piwnymi oczyma, który prowadził niegdys zakład krawiecki, zaklinał się, że odbudowują Państwo Boże zgodnie z wizją św. Augustyna. Na wpół drwiącym, wpół oskarżycielskim tonem zapytał Alana, czy czytał dzieło filozofa *O Państwie Bożym*. Prawnik przyznał z pokorą, że nie.

- Wobec tego znajdź tę książkę i PRZECZYTAJ ją!
Zrozumiesz dokładnie, o czym mówię. Znaleźliśmy się tutaj, bo czynimy dzieło Boże na ziemi.

Słyszac to, część robotników parskala śmiechem, a inni uśmiechali się tylko z niedowierzaniem. Wszyscy mieli własne wyobrazenie na temat tego, dlaczego tu są i na czym polega sens ich wysiłków. W jednej sprawie panowała jednomyślność: trafili tu dzięki niebywałemu szczęściu. Nic innego w życiu nie dało im tyle radości i takiego poczucia spełnienia.

Co pewien czas ktoś z ekipy znikał bez śladu, nikt jednak nie robił z tego powodu wielkiego halo. W końcu padało pytanie: „A gdzie Lola? Dawno jej nie widziałem”. Ludzie przystawali na moment, rozglądali się na boki, po czym wzruszali ramionami. Gdziekolwiek była teraz Lola - a także Ron, Chris i Dorothy - ich niewiele to obchodziło. Po kilku dniach brakującego robotnika zastępował nowy człowiek.

Późnym zimowym popołudniem, podczas opadów mżawki, Alan czyścił gargulec na najwyższej kondygnacji zabytkowej kamienicy. Używał do tego wytartej drucianej szczotki i butelki wybielacza. Co jakiś czas musiał przerywać pracę i oddalać się na skraj podestu, skąd patrzył przez chwilę na miasto, aby odetchnąć od oparów wybielacza.

Myślał o dniu, w którym spotkał Lyle a Talbota. Ze-skrobując z rzygacza wieloletnie pokłady brudu i zanieczyszczeń, zaczął mimowolnie nucić pod nosem *Dom na nizinie*. Mżawka przeszła w ostro zacinający deszcz. Alan uśmiechnął się i zaśpiewał cicho: „Dom, dom na wyżynie pośród deszczu...”. Po chwili umilkł. Tak właśnie przedstawia się jego sytuacja. Jest u siebie w mokry zimowy wieczór, w centrum największej tajemnicy życia, której nie musiał rozwiązywać, ona bowiem uniosła go i zadbała o niego, czyniąc jego życie znacznie lepszym, niż było przedtem.

W głębi serca Alan Harris przyznawał, że jego nagłe zniknięcie musiało być największą zagadką w życiu jego żony. Zasługiwała na wytłumaczenie, którego nigdy od niego nie usłyszy. Ostatecznie cóż miałby jej powiedzieć: „Zjadłem kawałek budynku i przeniósłem się do miejsca, z którego nie ma powrotu”?

- CO byś jej powiedział, gdybyś miał taką możliwość?

Alan znajdował się sam na wysokim rusztowaniu. Reszta brygady pracowała po drugiej stronie gigantycznego budynku. Wiedział, że głos mógł pochodzić tylko z jednego źródła. Obrócił i zobaczył, że gargulec patrzy na niego. Ślepe oczy maskary mrugnęły powiekami.

- Podejdz tutaj. - Gargulec stanowił groteskowe połączenie małpy, karła i czegoś jeszcze, czego sam twórca nie umiałby opisać. Gęba stwora wyglądała zarazem śmiesznie i groźnie, jakby mówiła: „Albo cię zabiję, albo cię rozbawię do łez”.

Bez cienia wahania Alan wrócił na swoje stanowisko. Pysk rzygacza sterczał tuż nad jego głową.

- Nie wiem, co bym jej powiedział. Mam nadzieję, że wszystko u niej dobrze. To jedyny powód, dla którego chciałbym zejść na ziemię. Żeby zobaczyć, jak się ma.

- MOŻESZ już zejść. Tutaj skończyłeś swoje zadanie. - Niespodziewane słowa rzygacza ugodziły go jak cios pięścią w splot słoneczny.

- Jak to?

- Zrobiłeś to, czego od ciebie chcieliśmy. W dowód wdzięczności dajemy ci wybór: Możesz wrócić do życia i spróbować ułożyć je z żoną albo możesz zrobić kolejny krok. Przejść na wyższy poziom.

- To znaczy jaki?

Gargulec potrząsnął głową.

- Nawet gdybym ci powiedział i tak byś nie zrozumiał. Tego się nie da opisać.

- Nie możesz podsunąć mi jakiegoś śladu albo wskazówki?

- Nie. Ale będziesz musiał wybrać tu i teraz.

Alan pomyślał o swojej kochanej żonie, jałowej egzystencji i o widoku na świat, który otwierał się z podwójnego okna jego biura na dziesiątym piętrze. Nie potrafił jednak rozstać się z tajemnicą, która stała się jego udziałem. To ona przeważała szalę jego decyzji.

Długie małpie ręce rzygacza, krzyżujące się na jego

piersi, wysunęły się nagle i z przerażającą siłą zepchnęły Alana z rusztowania.

Nie zdążył się przestraszyć. Jego myśli krążyły nadal wokół zagadki, którą stało się jego życie, i tego, jak bardzo je kocha. Gdy tylko uświadomił sobie, co się stało, myśli te skupiły się w jedno wszechogarniające pytanie: „CO?” Spadając przez deszcz, pomyślał jeszcze „Dobrze”.

Runął na ziemię z trzepotem skrzydeł i gardłowym gruchaniem - był nakrapianym szarym gołębiem z pustymi złotymi oczkami i mózdzkiem wielkości ziarna słonecznika. Zaczął przechadzać się tam i powrotem, co rusz poprawiając ułożenie skrzydeł. Na przeciwległym końcu parapetu dostrzegł coś, co wyglądało na jedzenie, więc ruszył w tamtą stronę.

Po drugiej stronie okna, przy kuchennym stole, siedziała samotna kobieta i popijała gorącą herbatę. Miała dziś wieczorem randkę i zastanawiała się, co na siebie włożyć. Zauważyła ptaka na parapecie i pomyślała o tym, jak to jest żyć na zewnątrz, w taką dżdżystą grudniową noc. Przez sekundę, może dwie kobieta i gołąb patrzyli jedno na drugie. Złote oko ptaka było ślepe i tajemnicze jak śmierć. Oczy kobiety były pełne i tajemnicze jak życie. Wtedy gołąb schylił główkę i zaczął stukać dziobem o parapet w poszukiwaniu jedzenia, niczym ślepiec postukujący laską w drodze do domu.

Złodziej grawitacji

Greg Harvey miał dobry dzień. Ostatnio zresztą miał mnóstwo dobrych dni i doskonale wiedział dlaczego. Nie zamierzał jednak chwalić się swoją wiedzą, bo to mogłoby mu przynieść pecha, a TEGO nie potrzebował ani trochę.

Nie kojarzycie Grega, ale naprawdę go znacie. To ten

znajomy z pracy, który PRAWIE trafił w lotka dwadzieścia milionów dolarów. Facet z głębokim dołkiem w podbródku. Albo ten stary nudziarz przy sąsiednim biurku, który ciągle truje o swojej kolekcji Microsoftu. Ten, którego zostawiła piękna żona, co wszyscy przyjęli bez zdziwienia. Zdumiewające było to, że w ogóle za niego wyszła. Ponieważ Greg to tani garnitur na sklepowym wieszaku, zwykły omlet bez przypraw, dom na sprzedaż wymagający pilnego remontu. Facet, który nie zna pojęcia „niebezpieczeństwo”. Jeżeli posmakował kiedyś szczęścia, to albo przez przypadek, albo na krótką chwilę.

Ale to dawne dzieje. Teraz, po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy, Greg odkrył coś, co odmieniło mu życie. Ostatni raz tego rodzaju niespodzianka spotkała go, kiedy jego dziewczyna - o dziwo! - zgodziła się na małżeństwo. Została jego żoną, a będąc nią, rzuciła go w diabły, zostawiając Grega ze skamieniałym sercem.

Miesiąc po jej odejściu, gdy samotność stała się nieznośna, postanowił wybrać się wieczorem do kina. Tak się złożyło, że poszedł na film, w którym zepsuta do szpiku kości kobieta rozkochuje w sobie sympatycznego faceta, a potem manipuluje nim dla osiągnięcia własnych celów. Greg był urażony. Oglądał hollywoodzki film i podobieństwa między jego żalonym życiem a tym, co widział na ekranie, były dosyć luźne, czuł jednak, jak narasta w nim złość. Kiedy doszła do punktu wrzenia, Greg zrobił coś, czego nie robił nigdy przedtem: „Pieprzyć ją!”, zawołał w stronę ekranu.

Odezwał się na tyle głośno, że siedzący obok widzowie popatrzyli na niego, aby się upewnić - zanim powrócili do oglądania filmu - że mają do czynienia z niegroźnym

wariatem, a nie z niebezpiecznym szaleńcem. Te dwa słowa jednak, zrodzone w jego duszy i wypowiedziane jego ustami, sprawiły mu taką satysfakcję, że wyszeptał je ponownie - tym razem kierując je pod adresem Laury, gdziekolwiek teraz była. Pieprzyć ją i jej wielkopańskie maniery. Pieprzyć jej niezliczone wady i czarujące zalety. Kiedy zostawiła mu pożegnalny mail - tak jest: wysłała mu na firmowy adres pokręconą wiadomość złożoną z 211 słów, po czym wsiąkła jak kamfora - przez kilka dni chodził nieprzytomny, z zaciśniętymi pięściami i zakwaszonym mózgiem.

To, że zdobył Laurę, należało zaliczyć do tych paru wielkich niespodzianek jego życia. Wiedział, że na nią nie zasługuje. Zastanawiał się często, co ona w nim widzi. Bóg mu świadkiem, że starał się jej dogodzić. Wydał na nią więcej pieniędzy, niż miał. Nieraz się powtarzała, mimo to słuchał jej uważnie, zawsze z zainteresowaną miną. Kiedyś powiedziała mu, że ma naturę melanco- liczki. Dobre sobie! Pewnie nie umiałyby poprawnie napisać tego słowa. Jedyne, czym mogła zwrócić na siebie uwagę, to niemal idealne piękno twarzy. Podobnie jak wielu urodziwych ludzi sądziła, że już sam fakt, iż miło się na nią patrzy, czyni ją interesującą.

Greg poczuł się tak wspaniale, gdy jego dusza raz na zawsze zatrasnęła drzwi za byłą żoną, że wychodził z kina jako człowiek szczęśliwy. Aby podtrzymać to uczucie jak najdłużej, postanowił, że trzydzieści przecnic dzielących go od domu pokona na piechotę. Po drodze kupił sobie hot doga ze wszystkimi dodatkami i napój pomarańczowy, który opalizował w butelce, wydając się śmiertelnym zagrożeniem dla wszystkiego, co żyje

Greg uwielbiał śmieciowe jedzenie. Słodkie, gorzkie, chude i tłuste; zawieszyste jak sos oraz twarde jak landrynka. Do końca życia mógłby radośnie pochłaniać porcje jedzenia, których ugotowanie lub usmażenie zajmowało dwie minuty, chyba że podawano je na zimno. W rezultacie nie był może grubasem, ale niewiele mu brakowało, żeby nim zostać. Kiedy po kąpieli przyglądał się sobie w lustrze, napominał się, aby pod żadnym pozorem nie patrzeć na dół - w stronę własnego równika. Wiedział, co tam na niego czeka. Wiedział, że czeka tam na niego nadmiar, który z wiekiem jeszcze się powiększy, jeśli on nie weźmie się do siebie. Ale podnoszenie ciężarów w cuchnącej siłowni, katowanie się na bieżni treningowej lub opętańcza jazda na stacjonarnym rowerze - wszystko to było równie ekscytujące jak wjazd monocyklem na Mount Everest. Dlatego odpuścił sobie treningi, choć z zazdrością i zawiścią spoglądał na facetów w absurdalnie ciasnych koszulkach szpanujących mięśniami.

Wpychał właśnie do ust ostatni kawałek ciepłego hot doga, kiedy ujrzał jednego z takich osiłków maszerującego w jego stronę. Sekundę później dryblas skrzyżował z nim wzrok i coś jakby obrzydzenie przebiegło mu po twarzy. A może nie? Może ta mina świadczyła o tym, że facet dokładnie się domyśla, co Gregowi chodzi po głowie? Tak czy inaczej Harvey przełknął szybko ostatni kęs i odwrócił wzrok.

Sami widzicie - taki już był ten jego los. Zaledwie stanął na nogi i odzyskał dobry humor, rzeczywistość przypominała mu o jego słabościach.

- Trzymaj! - Osilek wręczył mu ulotkę i poszedł dalej.

Greg popatrzył na psychodelicznie zieloną kartkę

z czarnym napisem. Była to reklama nowo otwartego „centrum fitnessu” o nazwie Beat Street. Siłownia znajdowała się o dwie przecznice dalej. Raz kozie śmierć, pomyślał nagle Greg, czując, jak hot dog wjeżdża mu rozkosznie do żołądka. Postanowił tam zajrzeć.

- Cześć! - zaświergotała piękna kobieta, gdy tylko przekroczył próg.

Jeszcze bardziej niż ładna buzia Gregowi spodobały się jej obłe kształty. Oto miejsce dla niego! Najczęściej w siłowniach rządzą sportowi maniacy, którzy wyglądali tak, jakby ćwiczyli po dwadzieścia godzin dziennie. Jak gdyby pili kozie mleko i jedli surowe tofu. Posiadacze idealnego uzębienia i nienaganych fryzur. Wyciskali na ławeczkach sto czterdzieści kilogramów. Nieważne, kobiety czy mężczyźni - dawali swoim wyglądem zły przykład, ponieważ NIKT nie był w stanie im dorównać. Człowiek mógł jedynie zbliżyć się do tego ideału, ale zawsze ze świadomością porażki.

- Witamy w Beat Street. Mam na imię Greta. Czy mam pana oprowadzić po obiekcie?

Mocno uściśnęła jego dłoń, patrząc mu prosto w oczy. Jej uścisk mile go zaskoczył: był prostoduszny i uczciwy.

Takie same były jego pierwsze wrażenia. Beat Street wydawał się przyjaznym, uczciwym klubem, w którym nie było miejsca na udawanie ani błahostki. Przychodzili tu ludzie wszelkiego pokroju. Podczas obchodu z Gre- tą Harvey zauważył wprawdzie kilka idealnych ciał, lecz większość członków stanowili zwykli przeciętniaczy w wypłowiałych szortach i koszulkach z ciemnymi plamami potu pod pachami. W salach rozbrzmiewała muzyka rockowa, nie zagłuszając jednak rozmów, które ten i ów prowadził,

ćwicząc na rowerze stacjonarnym albo maszynie wiosłarskiej.

W ciągu kwadransa Greg kupił półroczny karnet i koszulkę z klubowym logo. Nawet T-shirt mu się podobał. Zamiast typowego bezrękawnika z wizerunkiem pozującego kulturysty dostał zabawną żółtą koszulkę, na której namalowano psa z ogonem wetkniętym w gniazdko i porażoną prądem miną. Poniżej były słowa „Beat Street”. I to wszystko.

Greg zacisnął zęby i wziął głęboki oddech.

- Jestem w fatalnej formie - wyznał Grecie. - Od czego powinienem zacząć? Tak, żebyś, wiesz, nie zarznęła się zaraz pierwszego dnia?

Pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Na twoim miejscu zaczęłabym od zajęć relaksacyjnych u Chrisa. Ćwiczenia rozciągające i podstawowe pozycje jogi. W ten sposób pobudzisz swoje ciało do ruchu. Przygotujesz je na trudniejsze wyzwania. Warto iść na kilka sesji, zanim zaczniesz ćwiczyć z obciążeniami. - Podała mu program. Zajęcia relaksacyjne odbywały się trzy razy w tygodniu o dwudziestej.

Nazajutrz przez większość dnia się denerwował. Nie mógł się zdecydować, co na siebie włożyć. Nie, żeby miał wielki wybór: jego wymęczone siedmioletnie adidas były koloru zakopanej psiej kości. Ubrać bawełnianą koszulkę czy bluzę od dresu? Krótkie spodenki czy zielone spodnie z przyszytą wzdłuż nogawek tasiemką, na której widniała nazwa jego drugorzędneho college u? Nie chciał wyjść na głupka przed innymi ćwiczącymi, zwłaszcza na pierwszych zajęciach. A jeśli te ćwiczenia rozciągające nie przypominają w niczym tego, co pokazano mu poprzedniego

wieczoru - może to jedyne zajęcia, na które uczęszczają zarówno supermeni, jak i cud-dziewczyny? Na których odprężają swoje genialnie wyrzeźbione ciała, po czym ruszają dalej kręcić telewizyjne reklamy i kochać się przez cztery godziny non stop?

Po południu Greg był wykończony. Aby się zregenerować, musiał uciąć sobie dziesięciominutową drzemkę, z głową na biurku.

- Zrobię to i już - powiedział z naciskiem, obudziwszy się.

Myśl ta towarzyszyła mu niemal do samego domu. Przechodząc obok sklepu sportowego, zerknął na wystawę i stanął jak wryty na widok cudownych srebrno- -czarnych adidasów New Balance. New Balance - Nowa Równowaga. Czyż nie tego właśnie szuka w życiu? Poza tym były to „wielofunkcyjne buty treningowe”, więc pasowały także do ćwiczeń siłowych, do których chciał się wziąć w drugiej kolejności. Sto dwadzieścia siedem dolarów. Greg przełknął ślinę, wszedł do sklepu i poprosił o parę w jego rozmiarze. Odebrał je od wielkiego czarnego mężczyzny z wygoloną na łyso głową i rękami jak bochny spieczonego chleba.

- Kupiłem sobie takie same w zeszłym tygodniu - zakomunikował, wręczając je Gregowi. - Są WYSTRZAŁOWE.

Podziałało. Pojawi się w Beat Street, mając na nogach wystrzałowe buty. Kupił je bez sekundy wahania.

- Fajne cichacze!

- Słucham? - Spojrzał niepewnie na śliczną brunetkę w fioletowo-brązowym trykocie, który oblekał ściśle jej wysoką, zgrabną figurę, jakby został na niej odlany.

Wskazała na jego nogi.

- Twoje buty. Są bardzo fajne.

Nigdy w swoim trzydziestopięcioletnim życiu nie słyszał, aby obuwie określano mianem „cichaczy”. Wiedział też jednak, że jest ostatnim człowiekiem na Ziemi, który nauczyłby się nowego słowa z młodzieżowego slangu. Był na siłowni od czternastu minut, a już dał plamę. Wyszedł z męskiej szatni ze ściśniętymi w piętki dłońmi i uśmiechem przyklejonym do twarzy. Wystarczyło tylko przejść przez hol, by znaleźć się w sali, w której Chris prowadził zajęcia. I wtedy ta ślicznotka zastąpiła mu drogę i przyszpiliła go swoim komplementem. Z początku Greg nie wiedział, co powiedzieć.

- Wielkie dzięki. Mam taki kłopot z adidasami - boję się je zabrudzić. Z drugiej strony ludzie, którzy noszą zbyt czyste buty, wydają się jacyś podejrzeni. Wiesz, o co mi chodzi? - Wyrzucił z siebie te słowa z mieszaniną ironii i humoru, jakby pytał: „Czy życie nie jest dziwne?”. A jednocześnie pomyślał: Skąd ja wytrzasnąłem tę odzywkę?

Spodobała jej się. Chichocząc, skinęła głową i przyłożyła dłoń do ust, jak gdyby powstrzymywała się od śmiechu.

- To prawda! Nigdy mi to nie przyszło do głowy. - Musnęła jego ramię.

Miała na imię Bess. Była instruktorką. Rozmawiali przez chwilę, zanim oznajmiła, że musi już iść na Feldenkraisa. Bał się zapytać, co to jest Feldenkraisa, więc milczał. Najważniejsze jednak było to, że podczas ich krótkiego spotkania Greg w ogóle nie czuł się spięty. Jego umysł nie miotał się jak przerażona myszka w labiryncie, szukając właściwych słów. Przez całe życie Greg, rozmawiając z

kobietami, albo za bardzo się starał, albo nie umiał zapanować nad językiem, który ciągle plątał mu się w ich obecności. Ponieważ kobiety były po prostu wspaniałe. Wiedziały, jak się zachować. Były spokojne. Nie lękały się otworzyć przed tobą serce.

Chris był przystojnym mężczyzną z ciężkim brytyjskim akcentem i doskonale harmonijnym ciałem balet- mistrza. Miał na sobie wypłowiałą koszulkę z napisem „Krispy Krems donuts”, a na głowie niebieską bandanę. Zobaczywszy jego znoszony strój, Greg zaraz poczuł się lepiej.

Grupa liczyła w sumie osiem osób. Czterech grubasów, jedna ślicznotka, która nigdy nie otwierała oczu, i dwóch gejów o ciałach elastycznych jak guma, którzy przyszli tu wyłącznie z miłości do ruchu.

Chris był świetnym instruktorem. Mówił ściszym głosem, nigdy nikogo nie beształ i często wybuchał śmiechem. Cały czas krążył po sali, zachęcając do wzmożonego wysiłku, albo kładł się na podłodze obok kogoś z ćwiczących, aby pokazać, jak wykonać dane ćwiczenie. Kiedy człowiek załapał, o co chodzi, Chris uśmiechał się szeroko i wołał: „Dobrze!”

Nie licząc pary gejów, pozostali klubowicze byli równie słabi i nieporadni jak Greg. Ćwiczenia nie należały do łatwych. Dziewięćdziesiąt minut upłynęło powoli, ale ostatecznie Greg był z siebie dumny i zadowolony. Nawet w domu nie czuł się tak swobodnie jak tutaj. Nie mógł się doczekać kolejnych zajęć.

Następnym razem zdziwił się, ujrawszy na sali tylko obu gejów i piękną kobietę. Czemu tak mało osób? Chris był przecież tak miłym człowiekiem, a ćwiczenia sprawiały

ogromną frajdę. Zrobiło mu się smutno, kiedy zobaczył tę garstkę ochotników.

- Doskonale! - Chris wpadł do środka, jakby skupiła się w nim energia całego świata. - Uwielbiani małe grupy. Popracujemy dzisiaj solidnie. Do dzieła! - Zaczęli się rozgrzewać: robili skłony i krążenia tułowia, rozciągali się, nabierali i wypuszczali powietrze. - Obudźcie w sobie energię, a potem zaprzęgnijcie ją do pracy!

Tak jest! - odpowiedział umysł Grega Harveya. Zmusił swoje ciało do wysiłku, aby obudzić je po latach bezruchu i obżarstwa. Zbudź się, kochane ciało! Zbudź się i pracuj!

- Dzisiaj zaczniemy od nowego ćwiczenia, które nazywa się złodziej grawitacji. Popatrzcie. - Chris wyprostował się i rozsunął nogi do pełnego rozkroku. Położył dłonie na brzuchu i zgiął się w pasie, niemal dotykając głową kolan. Nie ma szans, przemknęło przez myśl Gregowi. Za nic nie skłonię się tak głęboko.

- Kiedy będziecie w tej pozycji albo tak nisko, jak wam się uda zejść, oddychajcie najszybciej i najmocniej, jak tylko możecie... - Chris sapnął potężnie i rozprostował wolno ręce na boki. W tej samej chwili jego nogi uniosły się nad podłogą. Instruktor płynął metr nad ziemią, z wyciągniętymi ramionami i nogami. - Proszę, teraz wasza kolej...

Greg przesunął zdumiony wzrok na pozostałych ćwiczących. Na żadnej twarzy nie znalazł jednak zdziwienia. Jeden z gejų mówił coś półgłosem do swego partnera, wymachując rękoma w sposób, który sugerował, że przy mierza się do przyjęcia odpowiedniej pozycji. Jego partner skinął głową. I tyle. Chris wisiał w powietrzu jak helikopter - LATAŁ, unosząc się nad ziemią - ale z całej trójki tylko

Greg miał wrażenie, że zbzikował.

Drugi raz w ciągu miesiąca nie zdołał nad sobą zapanować.

- To niemożliwe! - prychnął głośno.

Chris opuścił wolno ręce na boki i osiadł łagodnie na ziemi. Wyprostował się i uśmiechnął do Grega.

- Jasne, że niemożliwe. I właśnie dlatego zaraz to zrobisz. - Podeszedł do Grega i położył mu rękę na ramieniu.

- Stań prosto. Rozstaw nogi. Ręce na brzuchu. O, tak...

- Ale to niemożliwe!

- Rób to, co ja. Daj się zaskoczyć.

Półtorej minuty później Greg Harvey unosił się w powietrzu. Najdziwniejsze było to, że nie uczynił nic szczególnego - po prostu wykonał wszystko po kolei tak, jak mu kazał Chris. Zgiął się w pół, trochę szerzej rozsunął nogi, pochylił się jeszcze niżej...

I poleciał!

Słyszał o świętych mężach i guru, którzy lewitowali albo chodzili po wodzie, oni jednak zgłębiali tajniki tej sztuki i rytuały przez całe życie. Jeśli wierzyć w reinkarnację, można przyjąć, że poświęcali kilka żywotów, by opanować tę sztukę. A on, Greg, unosi się nad ziemią - po dziesięciu minutach podstawowego treningu.

Gdy jego podopieczni wzlecieli w górę i równie bezpiecznie wrócili na ziemię, Chris przeszedł do innych ćwiczeń. Nic jednak nie mogło się równać z lataniem.

- Jak ja to zrobiłem? - spytał nieśmiało Greg po skończonych zajęciach, gdy reszta opuściła salę.

Instruktor, rumiany na twarzy, uśmiechnął się do niego i dźgnął go palcem w pierś.

- Spodobało ci się, co? To nie jest aż takie trudne. We-

wnętrz każdego z nas siedzi złodziej grawitacji. Trzeba się nauczyć go wzywać.

- Ale jak? Sam nie wiem, jak to zrobiłem.

- Przyjdź znowu, a może się dowiesz. - Szturchnął go raz jeszcze i wyszedł z sali treningowej.

Greg odczekał dłuższą chwilę, aby się upewnić, że Chris zaraz nie wróci, i spróbował ponownie. Rozkrok, ręce na brzuchu, skłon tułowia - i start!

Udało się.

Następne zajęcia odbywały się trzy dni później. Przyszli ci sami ludzie. Tym razem Chris nauczył ich biegać do góry nogami. Najpierw zademonstrował im poszczególne kroki. Uniósł się na metr w górę i obrocił głową ku ziemi - wtedy, wisząc do góry nogami, zaczął truchtać po sali.

Po kilku minutach wszyscy poszli w jego ślady. Gdyby ktoś zajrzał do tego pomieszczenia, zobaczyłby pięcioro dorosłych wiszących głową w dół między podłogą a sufitem i pomału biegających w kółko. Ich stopy nie dotykały podłoża, toteż słychać było jedynie przyspieszone oddechy i wykrzykiwane raz po raz przez Chrisa słowa zachęty.

- Dobrze, jeszcze tylko dwa okrążenia. Dacie radę! Naprzód!

Jogging trwał dobre dziesięć minut.

Chociaż ćwiczenie było niesamowite, Greg czuł się rozczarowany. Poprzednio sądził, że potrafi latać także poza tą salą. Przez ostatnie trzy dni próbował wykonać „złodzieja grawitacji” czterdzieści albo pięćdziesiąt razy, lecz wszystkie próby zakończyły się niepowodzeniem. Tuż po ostatnim treningu spróbował unieść się w powietrze w swoim małym salonie, ale nic nie wskórał. Najpierw pomyślał, że jest zmęczony. Usiadłszy wygodnie na krześle,

zaczął sobie szczegółowo przypominać wszystkie ruchy związane z lataniem. Muszę tylko zrobić to odpowiednio, powiedział do siebie. Bez względu jednak na to, ile razy i gdzie próbował powtórzyć ćwiczenie - w saloniku, w sypialni, na korytarzu - jego stopy tkwiły uparcie na ziemi.

A teraz jeszcze to: Chris pokazał im dzisiaj, że mogą nie tylko się unieść, ale też biegać głową w dół. Greg wiedział jednak, że ta sztuczka działa jedynie w Beat Street.

Oznajmił to instruktorowi, kiedy znów znaleźli się sami po zajęciach.

Tym razem na twarzy Chrisa nie odmalowała się sympatia.

- Po co miałbyś to robić poza Beat Street? Czy chcesz komuś zaimponować? Popisać się przed jakąś dziewczyną?

- Zrobił krok w jego stronę. Grega spowłóła nagle leśna woń wody toaletowej. - Te zajęcia są dla twojego dobra. Nie uczymy tutaj cyrkowych trików. Tylko głupcy tak to widzą. To jest dyscyplina.

- Nie chciałem...

- Cisz! Pamiętasz, jak nazywa się poprzednie ćwiczenie? Złodziej grawitacji. Odkrywasz, że wkradł się do twojego domu, dopiero gdy się orientujesz, że coś zginęło. Byłeś kiedyś zakochany?

Zaskoczony Harvey zmarszczył brwi.

- Zakochany? Owszem, zdarzyło się...

- Czy złała ci serce?

Przygryzł dolną wargę i skinął głową, myśląc o Laurze.

- Kiedy było już po wszystkim, nie czułeś się, jakby coś ci ukradła? Jakby zabrała nie swoją własność?

- Tak. Właśnie tak się czułem.

Chris pierwszy raz się uśmiechnął.

- Wobec tego powiem ci coś dla otuchy. I wtedy, i dzisiaj zabrałeś tej kobiecie coś, co było JEJ własnością. Wyobraź sobie taką scenę: siedzi sama w mieszkaniu i ogląda telewizję. Albo jest na randce z mężczyzną w dobrej restauracji. Wszystko jedno. Z chwilą gdy uniosłeś się w powietrze, złodziej grawitacji unioś także ją. Nagle - w domu czy w restauracji - zaczęła podnosić się coraz wyżej, aż pod sufit. Nie można było jej zatrzymać. Kiedy poczuła pierwsze szarpnięcie i uderzyła kolanami w stół, wpadła w popłoch. Co się dzieje? - pomyślała przerażona. Czy to trzęsienie ziemi? Ale wzlatując, uświadomiła sobie, że to nie trzęsienie ziemi, tylko kompletne szaleństwo. Wszystkie reguły wzięły w łeb, życie wyrwało jej dywan spod nóg. Unosiła się coraz wyżej i wyżej i zupełnie nie można było tego wytłumaczyć. - Chris umilkł na moment, czekając, aż Greg nieco ochłonie. - Co jest gorsze: ten okropny incydent czy fakt, że nie można go wyjaśnić?

Greg wybuchnął śmiechem. Oczywiście wyobraźni zobaczył Laurę w drogiej sukience, wiszącą nad restauracyjnym stolikiem jak prześliczna rozgwiazda, z rozrzuconymi na boki rękoma i nogami, podczas gdy jej gach wlepił w nią oczy i rozdziawiał usta w niemym przerażeniu.

- I dzisiaj też? Biegała do góry nogami?

- Pewnie. Złodziej nie tylko zabiera, ale i zostawia. Najczęściej jest to pustka, czarna dziura. Nicość, która cię wypełnia, kiedy uświadomisz sobie, że straciłeś coś bezcennego i cudownego.

- Nigdy już nie będzie ufała grawitacji - zauważył Greg, jakby myśląc na głos.

- Zgadza się. - Chris szturchnął go palcem w pierś.

- Będzie się bała, że znowu jej się to przytrafi. Że znowu zacznie latać.

- Albo biegać głową w dół.

Greg roześmiał się.

- Cieszę się. Wiem, że to wariactwo, ale...

- Ale co?

- A jeśli zapomni? Za pół roku, za trzy lata? Najgorsze rzeczy zaciera ją się z czasem w pamięci...

- No to jej przypomnisz. - Chris cofnął się o krok.

Rozsunął nogi i oparł ręce na brzuchu, przyjmując wyjściową pozycję do „złodzieja grawitacji”. - Pewnego dnia ciężka praca zaprocentuje i będziesz w stanie zrobić „złodzieja” samemu. Wtedy przypomnisz jej o tym, kiedy tylko zechcesz.

Greg spojrzał na lśniący czystością parkiet i pomyślał o ludziach, których poznał w Beat Street. O zawsze miłej recepcjonistce Grecie, o pięknej instruktorce Bess, o zwykłych przeciętniakach wylewających siódme poty na bieżniach i kobietach po czterdziestce ćwiczących „brzuszki”. W końcu to centrum fitnessu. Chyba że...? Po plecach przebiegł mu dreszcz, ale pytanie nasunęło się z taką siłą, że musiał je zadać.

- Dlaczego ja? Dlaczego się tu znalazłem?

- „Pieprzyć ją!” Pamiętasz te słowa? Pamiętasz, jaki byłeś zły?

- Tak. W kinie.

- Właśnie. Dobry złodziej jest zawsze wściekły. Wściekły na to, czego nie ma. Czego nie dostał. Co mu odebrano. Dlatego przyszedłeś tutaj. Tak jak wszyscy. Polubiłeś ludzi, których tu poznałeś. Prawda, że łatwo się z nimi dogadać? Dlatego grupa skurczyła się do tej garstki - każdy, kto został

w Beat Street, ma coś, co chcesz ukraść. Przedtem nie wiedziałeś o tym...

Harvey nie mógł się powstrzymać, aby jeszcze raz nie poczuć smaku tych słów na języku.

- Pieprzyć ją!

Smakowały jak hot dog ze wszystkimi dodatkami.

Skradziony kościół

Tina i Stanley Wykoff czekali nerwowo na przyjazd windy. Choć oboje byli ubrani elegancko, ciągle popatrywali jedno na drugie, aby się upewnić, że wszystko jest na swoim miejscu: rozporek zaciągnięty, guziki pozapinane, włosy ulizane na głowie.

Spojrzała na swoje kolana i szósty raz z rzędu zastanowiła się, czyjej spódnica nie jest aby zbyt krótka. Dwukrotnie spytała o to Stana - zaprzeczył, mimo wszystko... Stał z rękami w kieszeniach i rozważał, czy nie powinien był włożyć granatowego garnituru. Czy czerń nie kojarzy się zbyt z pogrzebami? No a ten czerwony krawat? Fakt, była to CIEMNA czerwień, niemal purpura, ale czy nie wyglądała zbyt radośnie? Krawat wybrała mu Tina i cieszył się, że była pewna dokonanego wyboru. „Weź ten czerwony. Pasuje do garnituru”. Zdecydowano więc za niego. A teraz stoi tutaj, mając na szyi jej decyzję: co będzie, jeśli okaże się ona błędna? Jeżeli wejdzie tam i wszyscy zamrą na widok jego krawata? Jeżeli poczują się urażeni? Co byłoby gorsze - pierwsze czy drugie?

Gdy poznał kobietę, którą poprosił o rękę, jego rodzice dawno już nie żyli. Dopiero trzy lata po ślubie - co raczej nie było uczciwe z jego strony - poinformował Tinę o tym spotkaniu. Z początku, rzecz jasna, uznała to za dowcip. Upiorny dowcip. Już sama wiadomość zabrzmiała dziwnie:

„Słuchaj, za dwa lata moi rodzice chcieliby cię poznać”.

Jedli śniadanie w październikowy poranek i wszystko między nimi układało się wspaniale. Żadnych zmarszczek na ich małżeństwie. Nie mogli się nadziwić, jak idealnie do siebie pasują. A tu naraz coś takiego? Tina nie odzywała się przez dłuższą chwilę; gapiała się na niego znad różowej filiżanki do kawy, jak gdyby czekała na ciąg dalszy - puentę dowcipu albo wyjaśnienie, co się kryje za tym niebывалым stwierdzeniem. Kiedy nadal milczał, poczuła, że powinna go zachęcić.

- Nie rozumiem... przecież twoi rodzice nie żyją.

Stan potarł dłonią usta. Jego spłoszone oczy mówiły, że wolałby być w każdym innym miejscu na Ziemi, tylko nie tutaj. Wreszcie wziął głęboki wdech.

- Nie powiedziałem ci wszystkiego o mojej rodzinie.

Tak oto znaleźli się w holu szarego, zwykłego budynku i czekali na windę, która miała ich zabrać na spotkanie z jego rodzicami.

- Moe i Al? - upewniła się.

Skinął milcząco głową.

- To formy zdrobniałe od Maureen i Alfons, prawda?

Przytaknął znowu i wpatrzył się w swój but.

- Naprawdę jako dzieciak nazywałeś ich Moe i Al? Nie mama i tato?

- Mamó i tato im się nie podobały. Mówili, że ich postarzają.

- Ale Moe i Al pasuje bardziej do duetu komediowego.

No nie wiem - jak Flip i Flap.

Jego wzrok przeskoczył z buta na jej twarz, jak gdyby powiedziała coś zaskakującego lub niespodziewanie trafnego. Sekundę później jednak ponownie opuścił oczy.

- Co ja na to mogę? Chcieli, żebyśmy ich tak nazywał, i

tylę. - Jego głos nabrał niskich, gardłowych tonów, jakby miał zaraz ryknąć i ją ugryźć.

Obróciła się na pięcie i odeszła. Co ona tu robi? Najwyraźniej wyszła za wariata, a ta prawda wypłynęła dopiero teraz. Każdy normalny człowiek tak właśnie by pomyślał. Skarbie, musisz poznać moich rodziców - oboje są martwi. .. Winda zatrzymała się z pstryknięciem. Tina nie odwróciła się.

- Chlupcio!

- Al!

Powietrze wypełniło się wściekłym ujadaniem małych psów. Obróciła głowę i zobaczyła niskiego mężczyznę w kostiumie klauna, z pełnym makijażem na twarzy: wielkim czerwonym nosem, błękitną, zwichrzoną peruką i płaskimi, żółtymi butami wielkości rakiet tenisowych. Wokół nóg jej męża tańczyły opętańczo dwa kundle, czarny i beżowy. Stanley próbował jednocześnie ucisnąć klauna i pogłaskać nadskakujące psiaki.

- Witaj, Flip! - zawołał uszczęśliwiony i pogładził czarnego kundla po głowie.

Między mężczyznami i psami zapanował taki rozgardiasz, że na chwilę wszyscy zapomnieli o istnieniu Tyny. W końcu jeden z psów, Flip, odłączył się od reszty i podszedł powąchać jej buty. Gdy się schyliła, aby go pogłaskać, zwierzak warknął i cofnął się.

Mąż spojrzał w jej stronę.

- Nie rób tego, skarbie - powiedział szybko. - On nie-
nawidzi kobiet. Pogłaszcz tego... - Wskazał na beżowego kundla. - Flap kocha wszystkich ludzi.

-No więc jak będzie, synu: przedstawiś mi moją nową synową czy mam to zrobić sam? - Klaun podczłapał do Tyny i opasał ją mocno ramionami. Był ciepły i pachniał wodą

kolońską.

Wykropiony klaun, pomyślała, rewanżując mu się nieśmiałym uściskiem.

Raptem odsunął ją od siebie, ale nie wypuścił z rąk.

- Ja mam na imię Al, a ty Tina.

Skinęła sztywno głową. Raz jeszcze przyciągnął ją do siebie, mocno przytulił i w końcu ją wypuścił. Wytrącona z równowagi zachwiała się na swoich wysokich obcasach.

- Jest śliczna, Chlupciu. Ożeniłeś się z prawdziwą ślicznotką.

Stanley uśmiechnął się i przytaknął. Czemu ojciec nazywał go Chlupciem?

- Chodź, przywitamy się z twoją matką. - Alfons wrócił do windy i otworzył drzwi. Najpierw weszły tam oba psy, potem klaun, następnie Stan (który zwykle przytrzymywał jej szarmancko drzwi), a na końcu Tina.

- Jak leci, Al?

Winda sunęła wolno w górę; wszyscy stali przodem do drzwi.

- Nie mogę narzekać. Śmierć ujdzie w tłoku. Nie nudzisz się.

- A Moe?

- Znasz swoją matkę: możesz ją karmić homarami i koktajlem czekoladowym, a ona jeszcze będzie się skarżyć. Ale dlatego ją kocham, no nie?!

Stanley zachichotał.

- Fajnie was widzieć. Upłynął szmat czasu.

- A jakże, synu. Pięć lat. - Klaun westchnął przeciągle.

Tina popatrzyła w dół. Psy obwąchiwały jej nogę. Nagle windę wypełnił nieznośny fetor. Jej mąż gwizdnął przeciągle.

- Widzę, że psy nadal zatruwają powietrze.

- Tak, Flip puszcza bąki, od których wypadają brwi.
Spojrzała na zwierzęta. Oba wlepiły w nią oczka. Który to Flip? Odór sprawił, że zebrało jej się na wymioty.

- Tina, co sobie pomyślałaś, kiedy Stan powiedział ci o nas?

W odpowiedzi przesunęła wzrok na męża. Wzruszył ramionami.

- Trzy lata się zbierał, żeby mi powiedzieć.

Pobielona twarz klauna zmarszczyła się.

- TRZY lata? Święci pańscy, tak się nie robi.

- Wiem, tato, ale zrozum: trudno jest się przyznać do czegoś takiego.

- Twoja matka i ja byliśmy małżeństwem przez trzydzieści siedem lat i nigdy nic przed sobą nie ukrywaliśmy.

- Bzdura! Okłamywaliście się bez przerwy. Pamiętaj, że ja też tam byłem: słyszałem wasze kłamstwa.

Klaun skrzyżował ramiona na piersi i zmarszczył czoło.

- Pewnych rzeczy nie da się zmienić - mruknął Stanley.

Psy w dalszym ciągu gapiły się na nią. Wewnątrz panowała pełna napięcia cisza, dopóki kabina nie zatrzymała się z podskokiem na czwartym piętrze. Drzwi rozsunęły się i psy wyskoczyły na zewnątrz - ruszyła tuż za nimi, ciesząc się z odzyskanej wolności.

Szary korytarz nie wyróżniał się niczym szczególnym: wyglądał jak setki innych w domach zamieszkałych przez klasę średnią. Nawet w powietrzu unosiły się typowe zapachy - starych chodników, stęchlizny i smażonego mięsa.

Alfons poczłapał korytarzem, zmierzając w stronę znajdujących się piętnaście kroków dalej drzwi. Był na tyle daleko, że mogła zapytać cicho Stana, czemu jego ojciec nosi kostium klauna.

- A skąd mam wiedzieć?! - prychnął. Wciąż był zły na

ojca.

Stała w miejscu i podparła się oburącz pod boki.

- Dostyć tego - ani kroku dalej! Nigdzie nie idę. Mam tego wszystkiego po dziurki w nosie.

Mężczyźni zatrzymali się i patrzyli na nią.

- O co ci chodzi? - spytał poiryutowany Stan.

- Okłamywałaś mnie przez trzy lata, a teraz zachowujesz się po chamsku? Twój ojciec nieboszczyk pojawia się w przebraniu KLAUNA? Ma na głowie NIEBIESKĄ perukę? Wystarczy ci, czy mam mówić dalej?

- Daj spokój, skarbie. Zrób to dla mnie.

- Dlaczego? Podaj mi choć jeden powód.

Z głębi korytarza dobiegł głos jego ojca:

- Skradziony kościół.

Nabrała gwałtownie powietrza i ruszyła za nimi.

Mąż spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Co to znaczy?

- Nie wiem.

Przyklepał poduszkę pod głową.

- „Skradziony kościół”? - powtórzył powoli, starannie akcentując zgłoski.

- Właśnie. Zaraz jak twój ojciec powiedział te słowa, ruszyłam w kierunku drzwi. Jakbym tylko na to czekała.

Leżeli w łóżku. Światło dnia wlewało się do sypialni, witając ich jasnym porankiem.

- To niesamowite, jak wiele elementów z naszego życia przeszło do mojego snu. Ale o co chodziło z tym klaunem?

- Nie wiem, Tina. To twój sen, nie mój. Uważam zresztą, że sen nader przedziwny - dodał, kiepsko naśladowując szkocki akcent.

Faktem było, że rodzice Stanleya nie żyli. Że mieli dwa kundle, Flipa i Flapa. Że kiedy Stanley był dzieckiem, na-

zywali go Chlupcio od jego ulubionego napoju.

- Czy twój ojciec przebrał się kiedyś za klauna na twoje urodziny?

- Nie.

Leżała na plecach i gapiła się w sufit.

- Nie znoszę snów. Już-już stoisz przed jakimś ważnym odkryciem albo przebłyskiem intuicji - i nagle wszystko traci sens albo sen się kończy. Budzisz się z chaosem w głowie albo z poczuciem, że cię wykiwano.

Nie odezwał się. Nadal wpatrywała się w sufit, czekając na jego reakcję. Ponieważ wciąż milczał, obróciła ku niemu głowę. Stanley świdrował wzrokiem jej ramię.

- Co? Na co się gapisz?

Bez słowa wskazał na prześcieradło, na którym leżała.

Wykręciła się w bok, ale nic tam nie dostrzegła.

- CO? Co pokazujesz?

- Pod twoim ramieniem są jakieś słowa.

Obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i podparła na łokciach. W miejscu, gdzie leżała, prześcieradło pokrywały jakieś czarne napisy. Duże litery układały się w słowa: „skradziony kościół”, „Chlupcio”, „homar i koktajl czekoladowy” oraz kilka innych.

Małżonkowie wygramolili się prędko z łóżka. Cała biała płaszczyzna prześcieradła pogryzmołona była tym samym koślawym, ale wyrazistym charakterem pisma. „Flip i Flap”, „winda”, „trzy lata”. Tina i Stanley patrzyli wstrząśnięci.

Upłynęło kilkanaście długich sekund.

- Kto to jest Petra Pagels? - przerwał milczenie Stanley.

Nie dosłyszała go, ponieważ słowa, które widziała, także dla niej nie miały sensu. Przepuszczała je przez pokłady pamięci, sprawdzając, czy z czymkolwiek jej się skojarzą.

- Kim jest Audrey Bremmer? - zapytała po chwili.

Poderwał głowę i spojrzał na nią przestraszonym wzrokiem. Wskazała zapisane na prześcieradle imię i nazwisko.

- I co to jest „Mar...mite”? Do diaska, co to takiego?

W dalszym ciągu - raz czy dwa razy w roku - Stanleypowi śniła się Audrey Bremmer. Zjawiała się trzy dni przed jego ślubem i po latach płonnych nadziei, które spędził na uganianiu się za nią, oświadczyła mu nagle: „Dzisiaj jest twoja szczęśliwa noc”. Potem uśmiechnęła się i dodała: „To mój prezent ślubny dla ciebie”. Wiele godzin później wszedł do jej kuchni i zobaczył ją siedzącą nago przy stole i wyjadającą marmoladę ze słoika. Nazwa na nalepce nic mu nie mówiła, a gdy posmakował tej ciemnej mazi, nie chciał o niej słyszeć. Odtąd Audrey i jej „Marmite” raz po raz nawiedzały go we śnie.

A kim była Petra Pagels? Jednorazowym szaleństwem Tiny, które popełniła na studiach. Przemilczała je przed mężem, bo po pierwsze - nie była lesbijką ani nic w tym guście, a po drugie pewne sprawy należy zachować dla siebie, zgadza się?

Ich łóżko było jednak odmiennego zdania. Wielkie białe prześcieradło upstrzone było słowami, nazwami i wyrażeniami, odnoszącymi się do zdarzeń z ich życia, do najskrytszych tajemnic, które teraz wypłynęły na powierzchnię. Niektóre słowa i frazy były tak niejasne lub zagmatwane, że tylko właściciel mógł wytłumaczyć ich sens. A przecież widniały przed nimi czarno na białym.

Im dłużej wpatrywali się w nie, tym więcej z nich sobie przypominali. Wraz z przypomnieniem przyszła świadomość, że słowa, których nie kojarzą, to zapewne przemilczane tajemnice partnera.

W końcu podnieśli wzrok i zaczęli zerkać jedno na drugie. Kto odezwie się pierwszy? Co powie? Oboje mieli w

oczach podejrzliwość i zdumienie. Najchętniej zaczęliby się od razu przepytwać - może razem zdołają dojść do sedna? Mimo to uparcie milczeli, oszołomieni, bojąc się wspomnieć o tym mrocznym cudzie.

Odziwo, obojgu przyszło jednocześnie na myśl to samo rozwiązanie: sen. Czy napisy łączyły się z faktem, że spali w jednym łóżku? W czasie snu człowiek jest zupełnie odsonięty, pomyślał Stanley. Czy coś takiego może się zdarzyć, kiedy jesteś bezbronny i leżysz obok drugiej osoby w tym samym stanie?

Nawet seks nie jest tak intymny jak wspólny sen, uznała Tina. Jesteś zdana na swego partnera, który śpi pół metra od ciebie. Co noc tworzy się między wami szczególna więź. Czy to ona mogła spowodować pojawienie się tych napisów?

- Czy to coś dobrego? Znaczą się... - urwał Stanley z tępą miną.

Wiedziała, o co mu chodzi. Machnęła ręką w powietrzu.

- Nie wiem. Zależy, jak to potraktujemy. Czy powiesz mi, kim jest Audrey Bremmer?

Wlepił spojrzenie w to promieniotwórcze nazwisko na prześcieradle.

- Czy powiesz mi, kim jest Petra Pagels?

Wyszczrzyła się w dziwnym, wyrażającym zakłopotanie uśmiechu, ale się nie odezwała.

Stanley osunął się na kolana i położył na łóżku ręce i podbródek. Wychylony do przodu zaczął przesuwać rękoma po płachcie prześcieradła, czarnych napisach, po sekretach, które z takiej czy innej przyczyny przemilczeli przed sobą. Jego ramiona poruszały się w lewo i prawo jak wycieraczki samochodowe.

- Tu jest wszystko, co trzymaliśmy w ukryciu, prawda?

Wszystko, czego ty nie wiesz o mnie, a ja o tobie. - Znie-
ruchomiał i popatrzył na nią. - Jeśli zdradzę ci wszystkie
moje tajemnice, czy ciągle będziesz mnie kochać?

Tina ukłękła po drugiej stronie; ich oczy znalazły się
naprzeciw siebie ponad białym polem łóżka.

- Może tak, może nie. Może kiedy wyznamy sobie
wszystko, pokochamy się jeszcze bardziej. Albo przesta-
niemy się kochać...

- Czy to twoje dzieło? - wydusił z trudem Stanley. -
Znaczy się...

Uśmiechnęła się z przekąsem, bo kilka sekund temu 134
naszła ją identyczna myśl. Może Stanley posiada nad-
przyrodzone moce, które sprawiły, że niemożliwe stało się
możliwe? Obserwując reakcję męża, nabrała jednak
przekonania, że żadne z nich nie mogłoby tego dokonać w
pojedynek. Że napisy były efektem setek nocy przespanych
w małżeńskim łóżu. Ich serca czy też dusze spotkały się
gdzieś w tajemnej krainie snu i ustaliły, że wyznają sobie
wszystko w świetle dnia. Dwa ładunki emocji zetknęły się z
sobą i eksplodowały.

- Może wystarczy wyprać prześcieradło? Wrzucić je do
pralki albo jeszcze lepiej - wyrzucić do diabła? Kupimy
nowe. Co mówisz?

Oboje czuli jednak, że to nic nie da. Jeżeli zdarzyło się
raz, zdarzy się ponownie, choćby wyleźli ze skóry, by temu
zapobiec. Audrey Bremmer i Petra Pagels wciąż po-

zostawały tajemnicą.

Trzeba było pogodzić się z prawdą: od tej pory, ilekroć zasną, części ich duszy pragnące ujawnić najgłębiej ukryte sekrety znajdą sposób, aby to zmanifestować wbrew woli małżonków, zbyt zawstydzonych i zléknionych, żeby to uczynić za dnia.

Miłość, sen i szczeróć wzięły ich jako zakładników i nie zamierzały okazać im litości.

Stanley znowu wyciągnął rękę na łózk. Tym razem nie było wątpliwości, że chce jej dotknąć. Po chwili wahania wyciągnęła swoją rękę. Łósko było zbyt szerokie, aby ich dłonie zetknęły się pośrodku. Jego ręká dotarła do słowa „Alfons”. Ona dotknęła męskiego imienia, którego dotąd nie zauważyła, i czym prędzej zakryła je wszystkimi palcami.

Eliza Bandzior

Weszła do środka i bez słowa wręczyła mu zmięty żółty świstek papieru, nad którym minionej nocy ślęczała przez kilka długich godzin. Widniały tam tylko dwa słowa, starannie zapisane drukowanymi literami. Mężczyzna zerknął na karteczkę (wpatrywała mu się w oczy, szukając emocji, ale jego twarz pozostała obojętna), a potem spojrział na nią i znów na kartkę, aby się upewnić, że dobrze rozumiał.

-Gdzie chcesz to mieć? - zapytał w końcu.

Opuściła ramiona. Całe jej ciało wyraźnie się odprężyło. Rozegrała tę scenę w wyobraźni na dziesiątki różnych sposobów, ale żaden ze scenariuszy nie przewidział pytania mężczyzny. Spodziewała się szyderstwa albo niemego zdumienia. Oczekiwała, że zapytają tonem podejrzliwości: „TEGO chcesz? Po co ci to?” W najgorszym razie spodziewała się wrednego uśmíechu mówiącego: „Jesteś idiotką, paniusiu, ale kasa to kasa, więc dostaniesz to, za co zapłaciłaś”.

-Na dłoni. - Wyciągnęła rękę wewnętrzną stroną do góry i

dotknęła lewym palcem wskazującym środka prawej dłoni. -
Tutaj.

- OK. - Oddał jej kartkę. - Drukowanymi literami czy jakąś konkretną czcionką? Mamy książkę fontów, możesz sobie wybrać.

- Comic Sans.

- Słucham?

- Chcę, żeby to było napisane czcionką Comic Sans. Czy to możliwe?

Wskazał na karteczkę.

- Tak jak tutaj?

- Mniej więcej. Mam w torbie cały alfabet Comic Sans.

Mogę pokazać. Czy da się to zrobić?

- Nie ma problemu. Dziś trzy godziny tatuowałem jednemu chudzielcowi na przedramieniu fale Hokusai. Chyba dam radę wydziergać dwa słowa na rękę, no nie? - zapytał bez cienia ironii; po prostu stwierdzał fakt. - Masz na imię Eliza?

- Nie.

Poskrobał się po policzku i spojrzał na nią z nagłym zainteresowaniem.

- Jesteś bandziorem?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Ale chcesz nosić ten tatuaż na wieki wieków amen?

- Tak.

Mężczyzna zamyślił się z rozrzuconą miną.

- Czego to ludzie nie tatuują sobie dzisiaj...

- Domyślam się.

- Jeden facet miał życzenie, żebym mu wytatuał pasek bekonu. Inny chciał mieć akumulator na sercu. Co mi szkodzi? Facet ma kasę, robię mu akumulator.

Skinęła głową.

- Delco.

- Proszę?

- Na drugiej stronie akumulatora miało stać „Delco”. Facet chciał mieć konkretny model.

- Konkretny model - powtórzyła. Nic innego nie przyszło jej do głowy.

- A ty chcesz mieć na dłoni tatuaż ELIZA BANDZIOR?

- Tak.

- Kto to taki, twoja dziewczyna?

Czekała na tę chwilę i na to pytanie. Nie była odważna, ale tym razem musiała się przełamać. Odpowiedziała szybko, bo nie przywykła do chamstwa.

- Wolę o tym nie mówić - odparła twardym głosem. Temat zamknięty.

Podniósł ręce w geście kapitulacji.

- OK, pasuje. Możemy zaczynać?

Uporał się w niecałe dwie godziny. Spisał się doskonale: tatuaż na jej dłoni wyglądał właśnie tak, jak go sobie wyobrażała - może nawet trochę lepiej.

Pracując, opowiedział jej o klientach, którzy przychodzą do jego salonu. Mężczyzna, który chciał mieć na piersi wytatuowany akumulator, był tracącym wzrok kierowcą ciężarówki. Bał się ślepoty i tego, co będzie z nim potem. Chciał mieć akumulator na sercu, aby dotykać go, kiedy strach stanie się nie do wytrzymania. Tatuaż miał mu przypominać, że życie jest zarówno dobre, jak i złe.

- Ale czemu akumulator, a nie na przykład ciężarówka?

Tatuażysta machnął palcem w powietrzu.

- Dobre pytanie. Też mu je zadałem. Powiedział, że ciężarówka nie pojedzie bez baterii. Akumulator to serce pojazdu.

Pożalowała swojej ciekawości. Lubiła bardziej zagadki niż rozwiązania. Już jako dziecko nie chciała wiedzieć, jak magicy robią sztuczki, jak tworzy się efekty specjalne, dlaczego mężczyźni dają jej czasem kwiaty. Jej życie było tak przyziemne, że starała się unikać wszelkich wyjaśnień, Ignąc do tego, co nieznanne. Działo się tak, bo SAMA była osobą przyziemną. Nie miała prawie żadnych tajemnic. Pod jej łóżkiem ani w głębi szafy nie kryło się nic podejrzanego, nic nieprzyzwoitego. Można było przejść przez jej mieszkanie z tysiącwatową żarówką i szkłem powiększającym - i nie dałoby się znaleźć niczego, co by wywołało na jej twarzy najmniejszy rumieniec. Zawsze gdy o tym pomyślała, wpadała w rozpacz. Patrzyła na otaczających ją ludzi, na przyjaciół, koleżanki z pracy i była pewna, że większość z nich ma sekretnych kochanków albo chowa gdzieś przedmioty, które budzą w nich zarazem dreszcz grozy i rozkoszy.

Jeden z jej byłych chłopaków oznajmił kiedyś, iż zorientował się, że im się nie układa, na tej samej zasadzie, na jakiej orientujesz się, że masz rozwiązane sznurowadło, zanim spojrzysz w dół: but robi się luźny i rozklapany.

- Wiedziałem, że z nami koniec, kiedy tylko poczułem, że nasz związek jest luźny i rozklapany, rozumiesz?

Jego ocena uraziła ją dużo bardziej niż fakt, że chciał z nią zerwać. Co gorsza, miał rację. Buty ani sznurówki nie skrywają tajemnic. Za nimi również nie czaiła się żadna inna kobieta, gotowa rzucić się na nich z okrzykiem „Aha!” Nie wywiązała się teatralna scena zakończona wybuchem emocji, w wyniku którego prawda wypłynęła - łaby na jaw, gdyż zbyt wiele mrocznych tajemnic i słów pozostawało dotąd niewypowiedzianych. Nic z tego: jej chłopak uznał ich związek za rozwiązany bucik i - tym samym - uznał ją za sznurówkę.

Dlatego zdecydowała się na tatuaż.

Pewnego ranka, gdy kupowała kawę, jej wzrok padł przypadkiem na rękę stojącej przed nią w kolejce eleganckiej kobiety w średnim wieku. Na grzbiecie jej dłoni widniał realistycznie wytatuowany błękitny akordeon. Zastanawiając się, dlaczego tamta kazała wykluć sobie na skórze tak tajemniczy wizerunek, zakryła dłonią usta, nie wiedząc, czy zaraz roześmieje się, czy zapiszczy z radości.

Wtedy zdała sobie sprawę, że człowiek wcale nie musi być tajemniczy - wystarczy, że taka będzie jego skóra.

Od tamtej pory zaczęła studiować tatuaże. Przysuwała się do ludzi w metrze, a kiedy odwracali wzrok, przyglądała się bacznie ich obnażonym przedramionom, nogom w krótkich spodenkach, tylnym i bocznym częściom karku, pękatym bicepsom albo patykowatym ramionom.

Większość tatuaży była nudna, ponura albo banalna aż do bólu; przedstawiała bohaterów kreskówek, celtyckie lub maoryskie znaki, reklamowe logo typu Nike czy McDonald s. Dlaczego? Nie mogła pojąć, czemu ludzie zamieniają swoje ciało w tablicę ogłoszeniową, obwieszając wszem i wobec, że są tandetni, nieciekawi albo - co najgorsze - że chcą być dokładnie tacy sami jak inni.

Błękitny akordeon na ręce tamtej kobiety zachwyił ją. Dlaczego akordeon? Co znaczył? Czy kobieta była muzykiem, czy też za jej tatuażem krył się rozkosznie nieodgadniony sens, znany tylko garstce wtajemniczonych? Czy można było przejść obojętnie obok takiego tatuażu i nie zastanowić się, kim jest jego posiadaczka? Myszka Miki albo smok na bicepsie? Nuda! Akordeon na grzbiecie delikatnej kobiecej dłoni? Genialne!

Była inteligentna, ale nie pociągała innych. Pracowała w dziale technologii pęcherzyków magnetycznych. Kiedy mówiła

ludziom, czym się zajmuje, ich oczy zachodziły mgłą albo stawali się nerwowi, jakby chcieli uciec. Mało kto interesował się dynamiką wirów w nadprzewodnikach. Rozumiała to. Wiedziała, że reszta traktuje ją niczym sklep sprzedający nadzwyczaj rzadki towar - irański kawior albo francuskie koronki igłowe. Miała też inne zainteresowania. Wcale nie była taka beznadziejna. Chodziła na pływalnię, tańczyła tańce liniowe i uwielbiała się całować. Tworząc swój profil w serwisie randkowym, odkryła, że trudno jest opisać siebie w ciekawy, niesztampowy sposób. Korciło ją, żeby napisać: „Jestem bystra, mam poczucie humoru, lubię seks i nie mam właściwie żadnych zahamowań. Jednak mój wygląd nie skłoniłby cię do wyciągnięcia takich wniosków. Dlatego mówię prosto z mostu: napisz do mnie, porozmawiamy, a potem - może zatańczymy?”. Ostatecznie, po długich wahaniach, uległa pokusie i opisała się w taki właśnie sposób, ale jej szczerłość przyniosła opłakane rezultaty. Na jej anons odpowiedzieli wyłącznie dziwacy, podejrzani nudziarze albo malkontenci wylewający swoje żale już w pierwszym nadesłanym mailu.

Błękitny akordeon dodał jej otuchy. Przekuł jej beznadzieję w optymizm i zasugerował jej plan działania, który zamierzała wprowadzić w życie zaraz po wyjściu z salonu tatuażu.

Nie posiadałaby się ze szczęścia, gdyby wychodząc tego dnia z salonu, mogła spojrzeć we wsteczne lustro: zobaczyłaby tam zdumiony podziw malujący się na twarzy tatuażysty. Kimkolwiek była, spisała się na medal, dając sobie wytatuować na dłoni ten enigmatyczny napis. Tatuażysta zapisał go na skrawku papieru, żeby nie zapomnieć: Eliza Bandzior.

Parę dni później, wieczorem w popularnym barze w śródmieściu, nieznajomy mężczyzna zauważył jej tatuaż. Zastygł

na moment w bezruchu i zmrugał oczy, po czym wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Skrzywiła się leciutko, bo tatuaż jeszcze się nie zagoił, ale nie protestowała. Od tego się zaczęło.

- Eliza Bandzior - przeczytał. Wyglądał porządnie. Miał przekrzywiony krawat i rozpięty kołnierzyk koszuli.

Opuściła spojrzenie na dłoń, jakby chciała się upewnić, czy mówią o tym samym. Uśmiechnęła się do niego i skinęła głową.

Czekał, aż się odezwie, ale ponieważ milczała, zapytał ją, czy nazywa się Eliza Bandzior. Pokręciła przeczącą głową.

- Ale masz taki tatuaż na ręce.

- Zgadza się. - Skinęła.

- Dlaczego?

- A jak sądzisz? - Mówiła miękkim, przyjaznym głosem, który niczego nie wyjawiał.

Popatrzył na nią, jakby odezwała się nagle w obcym języku.

- Nie rozumiem.

- Jak sądzisz: czemu mam na ręce wytatuowane Eliza Bandzior?

Uśmiech spłynął mu z twarzy. Choć zaraz uśmiechnął się ponownie, tym razem był to uśmiech zakłopotania.

- Bo tak się nazywasz? To ktoś z twojej rodziny?

Zrobiła kwaśną minę mówiącą: Ejże, z pewnością stać cię na coś więcej.

- Nie?

Westchnęła, wyjęła dłoń z jego ręki i sięgnęła po kieliszek.

- Nie.

Wyprostował się na krześle.

- Nazywasz się Titelitory, tak? Mam trzy próby, a jeśli nie odgadnę, rzucisz na mnie urok?

- Kto wie? - Puściła mu oko.

- Dobra. Jesteś feministką, a Eliza Bandzior była pierwszą

sędzią bokserką na świecie.

Skłoniła lekko głowę na znak uznania.

- Nieźle. Odpowiedź błędna, ale oryginalna.

Potań dłonie; dobrze się bawił. Podobało mu się, że załapała jego poczucie humoru, nie odrzucając go z niesmakiem.

Spróbował jeszcze dwa razy - i oczywiście nie zgadł.

Tajemnica „Elizy Bandzior” polegała na tym, że imię to nic nie znaczyło. Były to dwa słowa, które ni stąd, ni zowąd zaświtały jej w głowie, gdy brała rano prysznic. Od razu wiedziała, że je wykorzysta. Odkąd postanowiła poszukać dwóch różnych, nic nieznaczących słów, eksperymentowała z wieloma złożeniami. Zawsze jednak wracała do „Elizy Bandzior” i właśnie te słowa znalazły się na jej dłoni.

Wieczór w barze spędzony z mężczyzną był zarówno pouczający, jak i podszyty seksapilem. Od zgaduj- zgaduli przeszli do innych tematów, i choć nie zdradziła mu tajemnicy swego tatuażu, wyraźnie go zaintrygowała. Poprosił o jej numer telefonu - nie chciała mu go dać. Odparła komicznym tonem, że dałaby mu swój numer, gdyby udzielił jej poprawnej odpowiedzi, no a tak, cóż, może następnym razem. Zapytał, czy BĘDZIE następnym razem. Odrzekła, że bywa tu dość często. Może się jeszcze spotkają. A potem wyszła. Jadąc taksówką do domu, gapiła się w tatuaż i gratulowała sobie, że postąpiła tak jak trzeba.

Szeherazada myliła się. Było dokładnie odwrotnie. Przez tysiąc i jedną noc opowiadała sułtanowi historie, aby podtrzymać jego ciekawość i ująć z życiem. Tyle że mężczyźni nie chcą wysłuchiwać historii, lecz je opowiadać. Chcą gadać, brylować; chcą, by wszyscy słuchali ich wynurzeń z zapartym tchem. Taki wniosek nasunął jej się podczas żalonych randek w Internecie: większość mężczyzn miała ochotę rozmawiać jedynie z kimś,

kto ich słuchał. Jedni szukali pocieszenia, inni pragnęli podziwu, choć nie tak wielu, jak przypuszczała. Z reguły chcieli jej powiedzieć, co myślą i jak patrzą na świat. Woleli kogoś, kto wysłucha ich z podziwem, choć byli zadowoleni, gdy słuchano ich z uwagą. Wkrótce zdała sobie sprawę, że najlepszą metodą, aby rozkręcić randkę, jest podrzucenie facetowi jakiegoś tematu: natychmiast zacznie gadać o sobie i o życiu.

„Eliza Bandzior” była naturalną konsekwencją tego odkrycia. Większość mężczyzn wołała zgadywać, co znaczy jej tatuaż, niż usłyszeć prawdę. Gdyby Szeherazada w porę się połapała, naprowadziłaby sułtana na temat, który by mu rozwiązał język, i nie musiałaby przez trzy lata wymyślać co wieczór nowej opowieści.

Pies, kot, jej siostra, matka. Przyjaciółka, samochód, ulubiony bar. Padały też inne domysły na temat jej tatuażu. Na początku, gdy nie przywykła jeszcze do uwagi, którą zwracała „Eliza Bandzior”, jej zaprzeczenia brzmiały nieśmiało i skromnie. „Nie, przykro mi, to nie to”. „O, interesujący pomysł, ale obawiam się, że się mylisz”. Niektórzy mężczyźni próbowali ją oczarować, byle tylko poznać odpowiedź. Inni zachowywali się prześmiewczo lub kpiąco. „Co mnie obchodzi twój tatuaż?” Mimo to traktowała ich czule, uśmiechając się i mrucząc: „Sam pytałeś. Jeśli nie chcesz wiedzieć, to w porządku”. W gruncie rzeczy CHCIELI wiedzieć, a pod maską obojętności kryła się fascynacja.

W miarę upływu czasu jednak, im więcej mężczyzn dawało błędne odpowiedzi, tym częściej ogarniało ją zniecierpliwienie. Wiedziała, że to absurd - nie można odgadnąć czegoś, co nie istnieje. Mimo to coraz bardziej złościła się, słysząc kolejne domysły.

- Rodzinny JACHT? Wolne żarty! Dałbyś sobie wytatuować

nazwę łajby na skórze?

Mężczyzna pociągnął tęgi łyk podwójnej whisky i otarł usta pogniecioną serwetką.

- Ja tylko żartowałem - odparł nieśmiało.

Obrzuciła go spojrzeniem nauczycielki, która przyłapała ucznia na ściąganiu. A więc nie jacht, nie zmarła tragicznie najlepsza przyjaciółka, nie tytuł niepublikowanej powieści. Ostatnia propozycja nawet jej się spodobała i już chciała dać tamtemu swój telefon, ale w końcu się rozmyśliła.

Jej siostra przyjechała do miasta i dwie minuty po tym, jak się wyściskały na powitanie, zauważyła tatuaż.

- A to co, do diaska?

Usłyszawszy wyjaśnienie, plasnęła się dłońmi w policzki i zawołała:

- Genialne! Kompletnie ci odbiło.

Wieczorem obie poszły do baru: chciała pokazać siostrze, jak mężczyźni reagują na widok jej tatuażu. W ciągu czterdziestu pięciu minut trzech ochotników wypadło z gry.

- Oo, popatrz: widzisz tego przystojniaka przy narożnym stoliku? Podejdz do niego i zapytaj.

Zobaczyła krótko ostrzyżonego mężczyznę z trzydniowym zarostem na twarzy siedzącego samotnie nad kuflem piwa i zapatrzonego w jakiś punkt w oddali.

-Nigdy tego nie robiłam. Znaczy się, nie pytałam nikogo wprost.

Siostra trąciła ją w ramię.

- Śmiało. Wyobraź sobie, że jesteś telemarketerką i dzwonicz do niego „na ślepo”. Zobaczmy, czy uda ci się go złowić.

Wychyliła drinka, by dodać sobie odwagi, i podeszła do jego stolika. Przesunęła na nią ospały wzrok i uśmiechnął się - ale nie

był to uśmiech ciepły i zapraszający, raczej coś w rodzaju:
„Cześć, czym mogę służyć?”.

Podniosła na powitanie rękę jak indiański wódz. Przy-
stojniak dojrzał napis na jej dłoni i zmrużył oczy, usiłując go
odszyfrować.

- Eliza Bandzior?

Skinęła głową.

Upił trochę piwa.

- Mam odgadnąć, co to znaczy?

Skinęła ponownie; czuła się przy nim dziwnie zakłopotana.

- Nie chcę.

Nabrała gwałtownie powietrza i upokorzona obróciła się
szybko na pięcie.

- Zaczekaj chwilkę, czy mogę cię o coś spytać?

Przystanęła, nie odwracając się. Niech skurczybyk
mówi do jej pleców.

- Czy napędzasz sobie czasem pietra? Ja robię to co najmniej
pięć razy dziennie.

Zmarszczyła brwi i odwróciła się ku niemu. Co on bredzi?

Gapił się w swój kufel, mówił jednak na tyle głośno, aby go
słyszała.

- Z jakiegoś powodu straszę samego siebie co najmniej kilka
razy dziennie. Nie wiem, skąd ten przymus: może po prostu
szukam mocnych wrażeń? Może lubię, jak adrenalina krąży w
moim ciele, kiedy się boję albo denerwuję? To jakieś
szaleństwo... Na przykład bankomaty - boję się ich.

Pomyślała, że żartuje.

- Boisz się maszyn wypłacających pieniądze?

- Tak. - Stuknęła z emfazą palcem w stół. - Więcej, sam się
nimi straszę. I to jest najgorsze. Kiedy stoję przed bankomatem,
aby pobrać pieniądze, przychodzi mi do głowy, że maszyna

połknie moją kartę kredytową i co ja wtedy zrobię? Jak poradzę sobie bez gotówki?

Patrzyła na niego.

- Przecież to nie problem: wchodzisz do banku i mówisz, żeby wyciągnęli kartę. - Nadal nie mogła uwierzyć, że tamten mówi poważnie.

Pokręcił głową.

- Nie w niedzielę. Albo o dziesiątej w nocy. Tak się składa, że właśnie wtedy zwykle potrzebuję gotówki... Albo taka historia: jadę windą w upalne lato. Kabina jest ciasna, bez klimatyzacji. Zawsze, za każdym razem, gdy jestem w połowie drogi, nagle pojawia mi się w głowie pytanie: A gdyby winda zepsuła się i stanęła między piętrami? Gdybym musiał siedzieć w niej przez wiele godzin, bo raptem okazałoby się, że nikogo nie ma w budynku? W tym samym momencie dopada mnie koszmar na klau- strofobia. Więc mówię do siebie: ZAMKNIJ SIĘ, dosyć tego. Nie bądź głupi. Ale wszystko na próżno. Rozsądek mnie opuszcza. Zupełnie jakbym stwarzał własne demony, które zżerają mnie od środka... Innym razem stoję w kolejce na poczcie i... - Urwał zniemacka i machnął ręką. - Sam jestem sobie winny. Bankomaty testuje się miliony razy, zanim dopuści się je do użytku. Ja WIEM, że one psują się bardzo rzadko. Ale to nie ma znaczenia - zawsze gdy zbliżam się do bankomatu, wpadam w popłoch. Czasem z nerwów omal się nie przewracam na ziemię... Dlaczego zadajemy sobie takie męczarnie? Czy życie nie jest wystarczająco ciężkie? Po co jeszcze się straszyć? Po co wymyślać idiotyczne scenariusze, które i tak nigdy się nie spełnią?

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć. Otworzyła i zamknęła dłoń, po czym przyłożyła je do boków. Ale się wplątała! Miała ochotę wrócić czym prędzej do siostry.

Mężczyzna potarł głowę rękoma.

- Trudno to nawet nazwać masochizmem. To jakieś zupełne dziwactwo. Sami się torturujemy, prawda? Kiedyś lubilem siebie, ale teraz już mniej. Wiesz, o czym myślałem, zanim do mnie podeszłaś? Że nadam swojemu lękowi jakieś imię. Więc jak tylko znów się pojawi, jak tylko wyjrzy, będę mógł się do niego zwrócić po imieniu: „Odczep się, George”. Albo: „Wróć do swojego pokoju, George, i przestań mi mieszać w głowie”. Potraktuję go jak małego pętaka, którego należy zdyscyplinować.

Opuścił wzrok i przez chwilę studiował jej dłoń.

- „Eliza Bandzior” - powtórzył. Jego spojrzenie zaczęło przesuwać się po jej ciele; gdy zatrzymało się na twarzy, uśmiechał się. - „Eliza Bandzior.” Tak właśnie go nazwę. Dziękuję! Wspaniały pomysł. Kiedy tylko się zjawi, zawołam: „Wynocha, Elizo. Precz, Bandziorze! Daj mi spokój, ja tylko biorę pieniądze z bankomatu”.

Uniósł kufel w geście toastu.

- Nie obrazisz się, że pożyczę od ciebie to imię? Będę składał ci hołdy do końca tygodnia. Eliza Bandzior. Tak jest! - dodał triumfalnie i ponownie zapatrzył się w dal, zapominając o jej istnieniu. Rzeczywiście, wyglądał inaczej niż przedtem.

Nie pozostawało jej nic innego, niż wrócić do siostry, siedzącej przy barze i obserwującej całe zajście. Co miała jej powiedzieć? Co się przed chwilą stało? Idąc w stronę baru, zerknęła na prawą rękę i ujrzała tam fragment tatuażu - imię i nazwisko, którymi mężczyzna będzie się odtąd posługiwał. Imię i nazwisko, które wreszcie nabrały znaczenia, tyle że nie dla niej.

Yedran

- Połędwicą to on nie jest. Nie jest nawet rostbefem. No, może łątą. W najlepszym razie karkówką.

Tak to się zaczęło dla Edmonsa. Były to pierwsze słowa, które usłyszał tamtego ranka, kiedy siedział na niebieskim fotelu i wyglądał przez okno, pytając samego siebie: „Co ja tu, do diabła, robię?” A przecież znał odpowiedź: mógł wejść do autobusu albo iść do domu i się zabić. Wybór tyleż prosty, ile bezwzględny.

Wielki żółto-biały autobus stał przy krawężniku z włączonym silnikiem, dmuchając z rur wydechowych szarymi spalinami. Oparty przy otwartych drzwiach kierowca ćmił papierosa i obojętnie gapił się na tłum. Nieopodal, na chodniku, zebrała się spora grupa starszych ludzi czekających na odjazd.

Idąc przed chwilą w ich stronę, Edmonds pierwszy raz się uśmiechnął: byli tacy wyelegantowani! Starsze panie miały podniesione, zamrożone włosy jak z dmuchanego szkła, dowodzące tego, że wróciły właśnie od fryzjerek. Większość mężczyzn nosiła nowiuteńkie buty bez obtarć i zmarszczek, ciemne garnitury lub idealnie uprasowane sportowe marynarki; najwyraźniej wszyscy mieli pod szyją krawaty, choć była dopiero szósta i dawno już nie chodzili do biura.

Ktoś z osiedla poinformował Edmonsa, że autobus zatrzymuje się w tym miejscu raz w miesiącu, zabiera pasażerów, po czym odjeżdża z warkotem silnika na całodzienną przejażdżkę zorganizowaną przez miasto albo lokalny klub seniora. Emeryci jeździli do okolicznych miasteczek zwiedzać muzea i zabytki. Czasem wybierali się do pobliskiego parku narodowego, gdzie chadzali na piesze wędrówki i jedli lunch; wracali do tego punktu zbiorczego, mając słońce na policzkach, zmęczone nogi i miłe poczucie, że ich aparaty fotograficzne są pełne zdjęć i że nie zmarnowali dnia.

Gdy Edmonds zbliżał się do tego tłumu, uderzyła go silna fala gryzących się zapachów. Przypuszczał, że każda z kobiet

przed wyjściem z domu spryskała się ulubionymi perfumami. Czy samotne staruszki kropiły się obficie, w nadziei, że zwrócą na siebie uwagę jadących autobusem kawalerów? A może to mężatki używały tak potężnych aromatów, które omal nie osadziły Edmondsa w miejscu trzy metry dalej? Ile było w tej grupie osób samotnych? Kogo więcej - kobiet czy mężczyzn? Czy kiedy ma się szósty albo siódmy krzyżyk, to człowiek nadal szuka życiowego partnera czy tylko sympatycznego towarzysza na jeden dzień?

Kiedy ujrzał te wszystkie starsze panie tchnące ciężkimi perfumami i panów w szerokich krawatach, oczekujących dzisiejszej wycieczki, i gdy pomyślał, że licząc sobie siedemdziesiąt pięć lat, można mieć towarzysza podróży, jego serce ścisnęło się z żałoby i tęsknoty za ukochaną żoną. Wciąż odczuwał silny impuls, aby pójść do domu i zrobić to - skończyć ze sobą. Przerwać to bezustanne cierpienie i po prostu zasnąć na wieki. Jeden z jego przyjaciół był policjantem. Facet powiedział mu, że jak odpowiednio się do tego zabrać, powieszenie się to najlepszy, najmniej bolesny rodzaj samobójstwa. Którejś nocy wypił

0 parę piw za dużo i pokazał mu nawet, na czym to polega; nie spostrzegł czujnego spojrzenia Williama Edmondsa.

Mając siedemdziesiąt pięć lat, Edmonds będzie sam jak palec - jeśli w ogóle dożyje do tego wieku. Istniała całkiem realna możliwość, że zapadnie na jakąś potworną chorobę, która powoli stoczy go od środka - jak jego biedną żonę - zanim w końcu go zabije.

Przechodząc obok drzwi autobusu, skręcił raptownie w lewo i wszedł do środka. Kierowca nie odezwał się. Dlaczego Edmonds to zrobił? Kto to wie? Może był to instynkt samozachowawczy, a może reakcja na zasadzie „raz kozie

śmierć”? Cudowny, nieoczekiwany moment nagłego obłądu?
Kto wie?

Był pierwszym pasażerem, który znalazł się tego ranka w autobusie. Szedł wąskim przesmykiem między fotelami, aż wybrał sobie wolne miejsce; zwałił się na nie i obrócił twarzą do okna. W chłodnym, zastałym powietrzu wisiały resztki papierosowego dymu i czegoś jeszcze - jakiejś ostrej przemysłowej woni. Środek czyszczący? Syntetyczna tkanina na siedzeniach?

Z przodu autobusu pojawili się ludzie. Niektórzy zerkali na niego, przechodząc dalej, inni osuwali się pomalutku ostrożnie na fotele. Wielu stękało lub posapywało cicho, wczepiając roztrzęsione ręce w oparcia i podłokietniki, wykonując skręty i obroty tułowia, żeby posadzić sztywne ciało we właściwym miejscu.

Edmonds także osiągnął wiek, w którym z coraz większym trudem sadowił się na krzesłach, w samochodach i wannach oraz innych miejscach, gdzie aby się zmieścić, trzeba się wygiąć pod nietypowym kątem. Często z piersi wyrывał mu się mimowolny jęk - znużenia lub wdzięczności. Wyraźne znaki, że się starzał, że upływ czasu coraz bardziej nadwątlał siły jego organizmu.

- Południcą to on nie jest. Nie jest nawet rostbefem. No, może łata. W najlepszym razie karkówlca.

W jego stronę zbliżała się korpulentna kobieta, a tuż za nią mąż mówiący głośno do jej pleców. Doszła do dwóch pustych foteli przed Edmondsem, posłała mu krótkie spojrzenie i wsunawszy się bokiem na miejsce, usiadła przy oknie. Jej mąż zajął sąsiedni fotel. Poruszali się tak płynnie, że było widać, iż przywykli siadać w ten sposób.

- Nie rozumiem, za co go tak cenisz.

- Ciii, nie tak głośno. Cały autobus cię słyszy.

Mąż kobiety na wpół obrócił się za siebie, lypnął na Edmondsa, jakby ten coś przeszkrobał, i odwrócił się z powrotem.

- Dobra, w porządku. - Ściszył głos o ćwierć tonu. - No to powiedz mi, co ci się w nim tak podoba.

Kobieta nie spieszyła się z odpowiedzią.

- Podoba mi się jego godność. Podziwiam go za to, że nie obnosi się ze swoim bólem. To takie... szlachetne. Ludzie, którzy stracili kogoś bliskiego, chcą, żebyś wiedział, jak im ciężko i jakie trudności muszą codziennie pokonywać. Chcą, żeby im współczuć. Ale nie Ken: wiesz, że ¹ cierpi, bo stracił najbliższą osobę. Taka śmierć, po tylu latach razem, musi sprawiać cierpienie. Ale Ken tego nie okazuje - nie przytłacza cię swoim bólem.

Edmonds zmarszczył brwi. O kim oni mówią? Wszystko to brzmi jakoś cholernie znajomo.

Mąż zaczął coś mruzczyć pod nosem, lecz kobieta mu przerwała.

- Ciii, idzie. Przed chwilą wszedł.

Edmonds podniósł wzrok i zobaczył niepozornego staruszka sunącego wolno przejściem. Gdy mężczyzna dotarł do dwojga pasażerów, zatrzymał się i uśmiechnął.

- Dzień dobry państwu. Gotowi na małą przejażdżkę?

- Dzień dobry, Ken. Tak, jesteście gotowi.

Ken uśmiechnął się i ruszył przed siebie.

Kilka minut później Edmonds obrócił się i rozejrzał za staruszkiem. Tamten siedział samotnie na podłużnej kanapie na końcu autobusu. Edmonds wstał, poszedł tam i usiadł obok niego.

- Czy można?

- Oczywiście. Będzie mi miło mieć towarzystwo w podróży. Nazywam się Ken Alford. - Wyciągnął prawą rękę.

- William Edmonds. - Mężczyźni wymienili twardy uścisk dłoni.

- Bill czy William?

- Wszystko jedno, bez różnicy.

- Dobrze, Bill. Masz ochotę na śniadanie? - Ken wyjął z kieszeni płaszcz owiniętą w celofan drożdżówkę z serem i czerwono-biały kartonik czekoladowego mleka. Edmonds odmówił uprzejmie. Ken skinął głową, odkręcił kapsel i pociągnął łyk. Zamknąwszy starannie kartonik, schował go z powrotem do kieszeni. Rozerwał zębami celofan i odgryzł wielki kęs drożdżówki. Jedzenie niewątpliwie mu smakowało: co chwilę przymykał oczy i pomrukiwał gardłowo „mmm-mmm!”

Edmonds polubił go. Ken zachowywał się jak jeden z tych aktorów w telewizyjnych reklamach, co to unoszą się w zachwytach nad nowymi płatkami owsianymi albo batonikiem czekoladowym.

- Widzę cię tu pierwszy raz, Bill.

- Zgadza się, to moja pierwsza wycieczka

- No cóż, jedne są udane, a drugie głupie, ale zawsze jest coś, co warto zobaczyć.

Kilka sekund później frontowe drzwi zasunęły się z sykiem i autobus ruszył od krawężnika.

- W ostatnie Boże Narodzenie umarła mi żona i wtedy zacząłem jeździć. Żona nie bardzo lubiła podróże, nawet jednodniowe, więc w zasadzie siedzieliśmy w domu. Potem, gdy zachorowała... - Głos Kena był spokojny i wyzbyty emocji.

Inaczej niż jego współpasażer Edmonds nie potrafił mówić o swojej zmarłej żonie bez załzawionych oczu i ściśniętego gardła.

- Jesteś żonaty, Bill?

Edmonds popatrzył na swoje dłonie.

- Moja żona również umarła. Niedawno.

- Oo, smutna wiadomość. Przykro mi to słyszeć. - Jednak w tonie Kena nie było słyhać smutku. Już raczej wydawał się dość... pogodny. - Zaczekaj, coś ci pokażę. - Wepchnął resztkę drożdżówki do ust, otrzepał dłonie i poszperał w innej kieszeni. Tym razem wyciągnął piękny, lśniący scyzoryk. - Popatrz tylko... To mój Ved- ran Ćorluka. - Wysunął nóż do Edmondsa, który zamiast go wziąć, gapił się nań nieruchomo.

- Skąd ta nazwa? Przecież Vedran Ćorluka to zawodowy piłkarz.

Ken przytaknął i strzelił palcami.

- Właśnie! A więc jesteś też kibicem piłki nożnej. Wspaniale. Tak, Ćorluka gra w chorwackiej reprezentacji narodowej. Nazwałem go tak nie bez powodu. To ostatni świąteczny prezent, jaki dostałem od żony. Lubię scyzoryki. Zbieram je. Ale ten tutaj... sam widzisz, ma dla mnie wyjątkowe znaczenie. Victoria zamówiła go u pewnego rzemieślnika z Montany. Od razu mi się spodobał, ale dopiero gdy Victoria umarła, zacząłem naprawdę zwracać na niego uwagę.

- Zwracać uwagę? Co masz na myśli?

- Po śmierci żony lekko zbzikowałem. Byliśmy małżeństwem przez trzydzieści siedem lat i większość tych lat była cholernie szczęśliwa. A ty byłeś zadowolony ze swego małżeństwa, Bill?

Edmonds skinął głową.

- Więc wiesz, o czym mówię. Vedran Ćorluka był ulubionym piłkarzem Victorii. Nie miała zielonego pojęcia o futbolu, ale podobało jej się jego imię. Lubiła je wymawiać. Kiedy oglądałem jakiś mecz w telewizji, wchodziła do pokoju i pytała, czy gra Vedran Ćorluka. Dlatego tak nazwałem ten scyzoryk. Ostatni prezent od niej i jej ulubiony gracz. Nie rozstaję się z nim. Zawsze gdy jestem w dołku, ściskam go

mocno w kieszeni - zwykle poprawia mi się humor. Smutek częściowo znika.

- Ciekawa historia. Mogę go zobaczyć? - Edmonds wziął scyzoryk i przyjrzał mu się badawczo. Istotnie była to ładna rzecz, ale dopiero następne słowa Kena sprawiły, że nadstawił uszu.

- Poświęcamy zbyt mało uwagi światu. Wiemy o tym, a jednak nie chce nam się. Dopiero jak coś się skończy albo ktoś umrze, jak coś zgubimy albo jest już za późno - uświadamiamy sobie nagle, że prześlizgnęliśmy się przez życie i ludzi, tracąc z pola widzenia szczegóły... Kiedy Victoria umarła, postanowiłem jeszcze raz obejrzeć wszystko, co mi po niej zostało - wspólne przedmioty, moje wspomnienia, wspomnienia innych ludzi i tak dalej. Ale tym razem skupiłem na nich całą uwagę. No wiesz, przyjrzałem im się na sto procent, jak nigdy przedtem. Różnica była kolosalna! - Ken umilkł na chwilę. - Nie mogę być z żoną, ponieważ nie żyje. Mogę jednak poznać ją lepiej niż przedtem, czyli wtedy, kiedy żyła. Ilekroć zwracam szczególną uwagę na drobiazgi, dowiaduję się o niej czegoś nowego. Odkrywam rzeczy, o których nie wiedziałem, ba, których wręcz nie przeczuwałem. Widzę żonę w zupełnie nowym świetle, jak gdybym poznawał ją pierwszy raz... Pewnie, że to namiastka prawdziwego człowieka, ale nie zostało mi nic więcej. Robię, co mogę. - Ken wyjął scyzoryk z rąk Edmonsa. - Parę miesięcy temu napisałem do tego rzemieślnika, pytając, czy zachował list z zamówieniem od Victorii. Przesłał mi go. Oprawiłem go w ramki i powiesiłem w domu nad biurkiem... Zobacz, jak pięknie wykuto ostrze. Jest też idealnie wyważony. Musiał zostać wykonany ręcznie. Wszystko, co w życiu najlepsze, Bill, to dzieło ludzkich rąk: ostrza scyzoryków, chleb, ubrania, Kochanie się...

Gdy Edmonds wrócił po południu do domu, usiadł w płaszczu na kanapie i rozejrzył się po salonie. Gdzie jest jego Vedran? Czy jest coś, co mógłby nosić w kieszeni i co dawałoby mu poczucie obecności żony?

Jaki był ostatni prezent, który podarowała mu przed śmiercią? Co on zdążył podarować jej? Stwierdził ze wstydem, że nie przypomina sobie ani jednego, ani drugiego. Ale czy to naprawdę ważne? Żyjąc z sobą przez sześć tysięcy dni, ludzie dzielą tyle doświadczeń - co z tego, że nie pamięta się każdego drobiazgu?

Z tą myślą Edmonds obszedł całe mieszkanie. Kiedy jego wzrok padał na nieznajomy przedmiot - książkę, porcelanową figurkę, bibelot - podnosił go i trzymał w ręku, dopóki nie przypomniał sobie, gdzie go kupił albo od kogo dostał, w jakich okolicznościach i dlaczego stał się on częścią ich życia.

Wiele było takich rzeczy: drewniany dziadek do orzechów kupiony na pchlim targu w New Jersey, hematytowa kula podarowana im przez jej siostrę i słonik z bursztynu, którego przywiózł żonie z Polski. Czy jej się spodobał? Na darmo wysiłał pamięć. Był to dość kiczowaty, ale też sympatyczny przedmiot. Edmonds wlepił oczy w małą jasnobrunatną figurkę, próbując przypomnieć sobie jakiegokolwiek szczegóły dotyczące dnia, w którym dał ją żonie. Co powiedziała? Świadomość, że nic nie pamięta, była upokarzająca.

Jego wspomnienia miały mnóstwo czarnych dziur. Przeklinał się w duchu, że zapomniał tak wiele na temat żony i czasu, który razem przeżyli. Jak to się stało? Czemu był taki niefrasobliwy? Dlaczego pozwolił, aby tyle znaczących szczegółów przesypało mu się przez palce? Przecież jedyny skarb, jaki czas pozwala ci zatrzymać, to wspomnienia o dobrym życiu.

Co za wstyd! Zajmował mieszkanie wyposażone w rzeczy, które dodawały smaku ich wspólnie przeżyтым dniom. A teraz nie pamiętał nawet, skąd ani po co się tu wzięły.

Zasepiony Edmonds poruszał się przez następne dni po mieszkaniu jak turysta, który pierwszy raz przestąpił próg słynnego muzeum, tyle że za przewodnika miał dziurawe wspomnienia. Ilekroć jego głowę wypełniała pustka, studiował dany przedmiot do chwili, gdy objawiało mu się jego znaczenie albo gdy uznał, że wspomnienie to umarło w nim na zawsze. Kładł te „martwe” rzeczy w kącie salonu i starał się nie patrzeć na nie, żeby nie popadać w rozpacz. Miał zamiar zamknąć je w ściennej szafie i nie myśleć o nich, dopóki nie oddzieli tego, co wie, od tego, czego nie wie.

Gdy minął tydzień - pełny tydzień - zadzwonił do Kena Alforda, aby mu zadać pytanie. Tamten dzień spędzili w swoim towarzystwie, rozmawiając o życiu. Było sympatycznie. Na końcu wymienili się numerami telefonów. Gdy tylko Alford podniósł słuchawkę, Edmonds przedstawił się i od razu przeszedł do sedna.

- Ken, nie mogę znaleźć swojego Vedrana. A jeśli nie ma takiej rzeczy, którą mogę trzymać w ręku, wiedząc, że jest w niej częśćka mojej żony?

- Ona istnieje, Bill. Jest ukryta gdzieś w twoim mieszkaniu. .. albo w twoim życiu. Albo w twojej głowie, ale jest na pewno. Tylko jeszcze jej nie znalazłeś. - Staruszek mówił z mieszaniną rozbawienia i przekonania.

Edmonds opuszczył głowę na pierś i mocno przycisnął słuchawkę do ucha.

- Dzieje się coś przeciwnego, Ken. Im dłużej szukam, tym wyraźniej odkrywam, że nie pamiętam. Nie pamiętam tak wielu rzeczy... to straszne. Czuję się, jakby mi ktoś wykroił kawał

mózgu. W moim domu otaczają, mnie przedmioty, których nie rozpoznaję i nie pamiętam, chociaż były z nami przez tyle lat! - Edmonds usłyszał własny przestraszony głos. Bez wątpienia się bał.

Alford milczał dłuższą chwilę.

- Może pierwsza połowa życia służy życiu, a druga przypominaniu sobie o nim? A przynajmniej próbie przypomnienia. Jeśli tak na to spojrzysz, obaj popełniliśmy błąd, usychając z tęsknoty za naszymi żonami. Żałoba na niewiele się zdaje: sprawia, że czujesz się bezbronny i zagubiony. .. Zamiast tego powinniśmy spróbować sobie przypomnieć jak najwięcej, a potem delektować się każdym drobiazgiem, jaki zdołamy wyłowić z przeszłości. To jest możliwe, a poza tym czujesz się dobrze, bo odnajdujesz wciąż nowe detale, jakbyś budował od zera. - Ken roześmiał się naraz. - To trochę tak, jakbyś klecił swoją żonę niczym Frankenstein, biorąc z tego, co o niej pamiętasz. - Ponownie zachichotał. - Żartuję sobie, ale wiesz, o co mi chodzi. Między innymi dlatego trzymam w kieszeni scyzoryk - dotykając go, napominam się, żeby przestać żałować i próbować pamiętać.

Słuchając Alforda, Edmonds obracał w dłoni bursztynowego słonika. Chciał, aby słonik przemówił do niego. Chciał, aby opowiedział mu dokładnie, co zaszło w dniu, kiedy podarował go żonie. Co powiedziała? Jak wyglądała? Podczas gdy Ken Alford perorował, Edmonds zamknął słonika w dłoni i wyszeptał niemą prośbę:

- Powiedz mi.

Arka Noego

Miał na imię Noe. Zanim świat się skończył, wielu wpływowych i potężnych ludzi uważało go za Einsteina dwudziestego pierwszego wieku. Ale tak było, zanim skończył

się świat.

Do apokalipsy doprowadziła Ameryka. A może Al-Ka-ida. Albo czeczeńscy wojownicy spod ciemnej gwiazdy, którzy bez większych problemów zdobyli cztery niewielkie bomby jądrowe i zdetonowali je równocześnie w czterech niezastąpionych, nadzwyczaj ważnych miastach. Stało się to, co niuniknione: w krótkim czasie nastąpił koniec świata. W przeciwieństwie jednak do biblijnych wizji armagedon ten nie był nagły i ostateczny, ale nagły i stopniowy; jednych pozostawił przy życiu, innym kazał umierać powolną śmiercią.

Noe przewidział te zdarzenia z niemal przerażającą dokładnością i rozpoczął przygotowania na długo przed „potopem”. Po wyczerpujących poszukiwaniach znalazł w końcu miejsce, w którym mógłby osiąść. Potem nawiązał kontakt z ludźmi myślącymi podobnie jak on - ekspertami w swych dziedzinach. Każdego z osobna dokładnie wy badał, zanim obdarzył go zaufaniem. Nakreślił im szczegółowy plan ratunkowy i kazał przysiąc, że dochowają tajemnicy. Uwierzyli w przepowiednię Noego i podjęli mądrą decyzję, by przyłączyć się do jego społeczności.

W ten sposób Noe, widząc na horyzoncie złowieszcze chmury, zabrał się do realizacji swoich zamierzeń. W odległym, bezpiecznym zakątku Ziemi, wraz z niesłychanie kompetentną grupą towarzyszy, przystąpił do tworzenia społeczności, która przeżyje każdą katastrofę - z wyjątkiem uderzenia na skalę biblijną. Zebrał ludzi najlepszych w swoim fachu: architekturze, biologii, dietetyce, medycynie. Oni to, łącząc wiedzę i doświadczenie, stworzyli swego rodzaju kuloodporny świat w miniaturze, w którym mogli żyć we względnym spokoju aż do śmierci, podczas gdy

reszta świata niszczyła się sama.

Noe wybrał oddaloną od cywilizacji dolinę we francuskiej Dordonii, a może w Montanie. Wszystko jedno. Ważne, że ją odnalazł. Niezwykle piękne miejsce z płodną ziemią, otoczone zewsząd stromymi ścianami skalnymi, na tyle oddalone od ludzkich skupisk, że docierali tam tylko najwytrwalsi wędrowcy i dzikie zwierzęta.

W największej tajemnicy garstka wybrańców rozpoczęła budowę swojej ostatniej ziemskiej siedziby. Ponieważ prace prowadzono w sekrecie, trwały one długo. Oprócz kwater mieszkalnych w osadzie znalazło się miejsce na mały szpital i budynki związane z rolnictwem, bez którego nie mogliby się sami utrzymać. Mieli żyć wygodnie, ale zarazem trochę jak ludzie w średniowieczu. Chcieli być zupełnie samowystarczalni, aby nigdy więcej nie wracać do cywilizacji. Zamierzali wytwarzać to, co będzie im potrzebne, i spożywać to, co wyhodują. Po przeprowadzce mieli na zawsze odciąć się od świata.

Wkład Noego nie ograniczał się li tylko do planowania. Wykorzystując klonowanie, biologię molekularną i inne skomplikowane eksperymenty - często nielegalne - Noe stworzył zwierzęta, które miały ludzką inteligencję i ciało konia, byka, a nawet niedźwiedzia. Mówiąc ściślej, obdarzone były albo inteligencją człowieka, albo inteligencją własnego gatunku, wielokrotnie pomnożoną. Najmądrzejszy goryl w historii razy dziesięć. Cechy te wyraźnie widać na ekranie: albo są to zwierzęta z ludzkimi głowami (Noe odkrył, że to jedyny sposób, aby dać im ludzką inteligencję), albo zwierzęta o zwykłym wyglądzie, lecz z nadnaturalnymi umysłami. Każde z nich nazwał imieniem swego ulubionego poety: Dante, Whit- man,

Emerson i tak dalej.

A zatem historię tę trzeba by zacząć następująco: pojawia się idylliczna sceneria „królestwa pokoju”. Kamera rusza naprzód długą, wielokilometrową, wąską ścieżką biegnącą między wysokimi ścianami skalnymi. (Podobny kanion trzeba pokonać, by dostać się do starożytnego miasta Petra w Jordanii). Otoczenie sugeruje, że akcja toczy się nawet tysiąc lat temu.

W końcu otwiera się przed nami rozległa, piękna dolina ciągnąca się przez wiele kilometrów. W oddali widać grupę wyglądających jak mnisi ludzie, którzy uprawiają pole z pomocą zwierząt. Pracują wolno i niespiesznie - mają cały dzień. Kamera rusza w ich stronę, zatrzymuje się w bliskiej odległości. Wtedy jedno ze zwierząt (do tej pory odwrócone tyłem) obraca się i widzimy, że ma ludzką głowę; po chwili znów się odwraca. Teraz kamera przesuwa się po całej grupie i dostrzegamy, że wszystkie zwierzęta mają ludzkie głowy. Wykonują jednak prace typowe dla zwierząt, na przykład ciągną pług lub obracają ściernice. Mnisi mówią do nich jak do ludzi, a one - być może - odpowiadają im ludzkim językiem. Jednakże cała scena jest cicha i idylliczna, tylko my jesteśmy zaskoczeni tym widokiem.

W oddali widnieje szereg budynków, ale nie sposób powiedzieć, jaką pełnią funkcję. Ktoś uderza w metalowy trójkąt, sygnalizując, że dzień pracy się skończył i że czas na posiłek. Mnisi zarzucają sobie narzędzia na plecy i ruszają ze swymi niezwykłymi zwierzętami w kierunku budynków. Jednym z mężczyzn jest Noe - pracuje tak samo jak pozostali, nie uważa siebie za przywódcę. Wszyscy członkowie tej wspólnoty są równi, a wszystkie decyzje podejmowane są demokratycznie.

Gdy mężczyźni zbliżają się do budynku, nagle słychać inny dźwięk - krzyk, parskanie galopującego konia. Kamera pokazuje wejście do doliny: ścieżką pędzi na koniu młoda kobieta. Być może ktoś ją ściga, a może nie. Widać jednak, że pragnie jak najszybciej dotrzeć do grupy mężczyzn. Oni zaś na jej widok wyciągają spod luźnych szat cały arsenał najnowocześniejszej broni, co oczywiście uprzytamnia nam, że nie jesteśmy już w średniowieczu.

Gdy dziewczyna dociera na miejsce (lub gdy ci, którzy ją ścigali, zostają bezlitośnie zabici), zeskakuje z konia i oznajmia:

- Muszę porozmawiać z doktorem Noe.

Mnisi spoglądają po sobie. Jeden z nich - nie Noe - występuje naprzód.

- Jestem Noe.

- Długo pana szukałam. Przez wiele miesięcy. Czasem miałam wrażenie, że przez całe lata. Musi pan stąd wyjść. Musi pan nam pomóc.

- Dlaczego? - pyta krótko fałszywy Noe.

- Bo oni niszczą, wszystko, co nam zostało. Dowiedzieli się, jak pan stworzył te zwierzęta. - Kobieta wskazuje na dziwaczne kreatury. Wszyscy wiedzą, co ma na myśli. - A teraz klonują swoje. Chcą naszej śmierci. Tylko pan może nam pomóc. - Dziewczyna rozgląda się po pięknej, spokojnej okolicy. Następne słowa przychodzą jej z trudem i sprawiają ból: - Musi pan opuścić to miejsce i pomóc nam, inaczej pozabijają nas wszystkich. Niektórzy mówią, że pojawił się sam diabeł; twierdzą nawet, że go widzieli, bo wie, że jesteśmy bezbronni.

Rzecz jasna Noe i jego uczeni, poeci, wynalazcy, naukowcy, niezwykle zwierzęta będą musieli opuścić swój raj na ziemi

i powrócić do zniszczonego świata, bo jako ludzie przywoici i zdolni do zadziwiających rzeczy nie mogą po prostu odmówić. Pójdą walczyć z wrogiem - kimkolwiek on jest - pragnącym zniszczyć resztki tego, co jeszcze ocalało. Diabeł istotnie p o w r ó c i ł, a fakt ten staje się oczywisty, gdy mężczyźni opuszczają dolinę i na nowo stają się częścią rozchwianego świata.

Przygody *Arki Noego to Władca pierścieni* osadzony w postapokaliptycznym świecie *Mad Maksa*, w którym zwierzęta mówią ludzkim głosem, diabeł grasuje w najlepsze, a niedobitki ludzkości muszą się zjednoczyć, aby w stylu MacGyvera ochronić i ocalić tę odrobinę świata, którą udało im się stworzyć.

Woda nie może być nerwowa

Wieczorem przy kolacji powiedział jej o swoim odkryciu.

- Byłem dziś na tajnej misji.

Jej oczy błysnęły ciekawością, skinęła głową, pokazując, aby mówił dalej. Uwielbiała jego historie i sposób, w jaki je opowiadał.

- Pamiętasz to mieszkanie na trzecim piętrze? To, które remontują od tysiąca lat?

- Tak! Mówiliśmy o nim jakiś tydzień temu...

- No więc w końcu wywęszyłem, o co tu chodzi. Zauważyłem, że koło południa robotnicy wychodzą na przerwę obiadową. Na pół godziny zostawiają drzwi otwarte na oścież, pewnie po to, aby przewietrzyć mieszkanie. Więc zszedłem na dół i obejrzałem je sobie. Chciałem zobaczyć, co tam, do diabła, robili przez tyle czasu.

Uśmiechnęła się. Zawsze trzymały się go szaleństwa; pchał się tam, gdzie nie powinien. Zadawał obcym ludziom niewygodne pytania. Narażał się na ryzyko, które mogło i

powinno oznaczać spore kłopoty. Mimo to, jeśli nawet przyłapano go na gorącym uczynku, wrodzony urok osobisty pozwalał mu wykaraskać się z najcięższych opresji. Jej chłopak to zabawny i rozkoszny drań. Więc chciała usłyszeć tę historię - również dlatego, że miała nadzieję, iż wpadł. Chciała się dowiedzieć, jak tym razem zdołał się wywinąć.

-Kiedy tam wszedłem, mieszkanie było puste, więc miałem ponad piętnaście minut, żeby je zbadać.

-I wtedy wrócili, tak? Co im powiedziałaś? Co się stało?

Podobało mu się to, że słuchała jego opowieści z entuzjazmem, lecz nie lubił jej niecierpliwości; zawsze go przynaglała, chcąc poznać zakończenie. Jakby zamiast opowiadać cały dowcip, miał przejść od razu do puenty.

-Powoli! Wszystko w swoim czasie. - Wyciągnął rękę i pogładził wolno powietrze, jakby głaskał ją uspokajająco po głowie.

Kochała go takim, jaki był, ale nie podobało jej się, że traktował ją czasem jak dziewięcioletnią dziewczynkę.

-Pracowali tam od kilku ładnych miesięcy, prawda? Otóż mieszkanie jest puste - kompletna PUSTKA. W środku nie ma ani jednego mebla. Jest pięknie wykończone. Widać, że nie żałowali grosza na drobiazgi: parkiet na podłodze, wapienne blaty, kraniki i odpływy w kuchni. Wygląda to jak wnętrze statku kosmicznego. Ktoś wydał kupę forsy, ale chata stoi pusta jak lodowisko w środku lata.

Nie słuchała go zbyt uważnie, ponieważ oczami wyobraźni oglądała karmelowy parkiet i wapienne blaty. Chciała mieć takie mieszkanie! Często śniła na jawie, że przechadza się po wielkim, bogato wyposażonym mieszkaniu albo domu: wyluczszowe okna z miękko wy-

ściełanymi siedzeniami, za szybą roztacza się wiejski kraj-obraz - albo morze! Ich okno wychodziło na obskurną, zatłoczoną ulicę, na której wiecznie odzywały się alarmy samochodowe, a o północy rozbrzmiewały pijackie piosenki. Czasem, kiedy nie mogła usnąć, stawała nocą przy oknie i wyglądała w dół. Próbowwała sobie wyobrazić, że ich mieszkanie znajduje się w jakimś romantycznym i egzotycznym miejscu, w Aix-en-Provence albo Rzymie. Wtedy przynajmniej byłaby to obskurna rzymska ulica, a dolatujące stamtąd głosy mówiłyby po włosku, zamiast wykrzykiwać: „Pierol sie skurysynu!”

- Co jeszcze widziałeś?

- Mówiłem ci: nic. Mieszkanie jest puste.

- Nie o tym mówię - podniosła głos zniecierpliwiona. - Chodzi mi o wyposażenie. Co jeszcze tam jest?

Chciał opowiadać dalej - nie miał ochoty rozwodzić się nad odcieniem klamek w drzwiach.

- Wszystko jest ładne, drogie i w dobrym gatunku. Tak jak ci mówiłem: ktoś wydał sporo pieniędzy, żeby się urządzić. No ale po jakimś kwadransie przyszedł jeden z robotników. Zobaczył mnie i nawet specjalnie się nie dziwił, a przynajmniej nie pokazał nic po sobie. Uśmiechnął się i jakby nigdy nic, czekał, co powiem. No wiesz, żebym mu wyjaśnił, co tam robię.

Milczała. Nie zachęciła go ani jednym słowem, aby kontynuował tę historię. Przyjrzał jej się i dostrzegł jej poirytowanie. Co jest? Co takiego zrobił? Po chwili przypomniał sobie i SAM się rozzłościł. Gdy tylko coś sobie ubrała, potrafiła być cholernie uparta. Zamknął oczy, nabrał głęboko powietrza i wypuścił je dramatycznie.

- Co jeszcze mam ci powiedzieć o wnętrzu? Podłogi są

pięknie wypolerowane. Kuchnia wygląda jak kosmołot.
Aha, łazienka ma zarówno ogromny prysznic, jak i wannę.
Byłabyś zachwycona.

- A sypialnia? Jak wygląda wnętrze sypialni?

- Nie widziałem. Nie zdążyłem tam wejść, bo akurat
zjawił się robotnik.

- Mów dalej.

Ponieważ dalsza część tej historii mu się nie podobała, zdjął
pacyнки z rąk, odłożył je ostrożnie na kuchenny stół i
podszedł do okna. Odchylił brązową kotarę i wyjrzał na
wieczorną ulicę; widział to już tysiąc razy wcześniej: sunące
pojazdy, zaparkowane auta, śpieszących się przechodniów.
Było dokładnie tak, jak myślała dziewczyna - mieszkał przy
nudnej, ruchliwej ulicy, i nie był to ani Rzym, ani żadna
nadmierzająca metropolia.

Całe jego życie było zwyczajne, może z wyjątkiem pa-
cynek. Dostał je od niej, zanim odeszła: pożegnalny prezent
potwierdzający jej życzliwość i dobrą pamięć. Na początku
ich znajomości wygadał się, że jako dzieciak uwielbiał robić
przedstawienia lalkowe dla całej rodziny. Były to
oczywiście pacyнки, a nie marionetki. Nie rozumiał, na
czym polega powab marionetek - poruszały się tak
nienaturalnie, że ich występy nigdy go nie przekonywały.
Natomiast włożona na dłoń pacynka ruszała się gładko i
płynnie, można było uwierzyć, że ma się do czynienia z
żywym stworzeniem.

- Wiem, że nie lubisz samotności, więc kiedy w naj-
bliższych dniach zrobi ci się tęskno, tych dwoje dotrzyma ci
towarzystwa, dopóki sobie kogoś nie znajdziesz. - W jej
głosie nie było śladu złości. Mimo to jej słowa dotknęły go,
zanim jeszcze zobaczył, co dostał w prezencie. Podała mu

zawinięte w papier pudełko, po czym odeszła na zawsze.

W środku były dwie pacynki. Nie wyglądały zbyt ciekawie ani sympatycznie. Ot, zwykłe laleczki, jakie kupuje się na ostatnią chwilę w sklepie z zabawkami, spodziewając się, że obdarowane dziecko znudzi się nimi po kilku dniach. Mały mężczyzna i kobieta mieli gumowe główki, pachnące jakąś dziwną substancją. Zapewne wyrabiano je na pęczki i importowano z jakiejś podejrzananej manufaktury w Bangladeszu albo Albanii.

Kobieta była ubrana w białą bluzeczkę i niebieską spódniczkę. Mężczyzna nosił garniturek, białą koszulkę i czerwony krawat. Patrząc spod przymkniętych powiek na tulące się do siebie w pudełku laleczki, zastanawiał się, jakie przesłanie chciała mu zostawić, mówiąc „adios”. Czy było to: „Ciągłe zachowujesz się jak małe dziecko, które bawi się zabawkami? Doróżnij w końcu, na miłość boską!” A może: „Lepiej zaprzyjaźnij się z tymi załosnymi laleczkami, bo przez jakiś czas nie będziesz miał nikogo innego”? Nie była mściwa ani okrutna, choć tak można było przecież odebrać jej gest.

Co miał robić - wyjął je z pudełka i nasunął na dłonie. Kiedy ostatnio bawił się lalkami? Gdy mógł zliczyć swój wiek na dziesięciu palcach i gdy świat przedstawiał się o wiele różowiej niż dzisiaj.

Pomachał lewą, a potem prawą ręką i odezwał się przesadnie sztucznym basem:

- Cześć, kochanie. Co na obiad?

I zaraz odpowiedział sobie falsetem:

- To co lubisz: pieczona wołowina i karbowane frytki.

Raptem głos uwiązał mu w gardle. Zdał sobie sprawę, że jeśli drgnie, to się rozplacze. Włożył pacynki do pudełka

i nakrył je wieczkiem. Przez następne dni pudełko wędrowało po kuchni, podczas gdy on - zawsze sam - przygotowywał sobie posiłki. Mniej więcej tydzień później otworzył je znowu i zajrzał do środka. O ile poprzednio pacynki leżały złączone nosami, o tyle teraz spoglądały w przeciwne strony, jak gdyby właśnie się pokłóciły i miały do siebie pretensje. Przyszło mu na myśl, że powinny być tak wyglądać, gdy wręczyła mu prezent. Byłby to symboliczny koniec ich związku.

Wyciągnął małą kobietkę z pudełka i podniósł ją do twarzy.

- Tęsknię za tobą - powiedział do niej bez namysłu. Na ułamek sekundy wyobraził sobie, że pacynka uśmiecha się do niego albo zakłopotana opuszcza swoje nieudolnie malowane oczy, tak jak czyniła to jego dziewczyna, ilekroć prawil jej komplementy. Westchnął, widząc obojętną minę pacynki.

Za nic nie mógł sobie później przypomnieć, jak zaczął się pierwszy scenariusz. Po prostu pewnego dnia - kiedy się nudził, był smutny lub rozkojarzony - włożył pacynki na ręce, bo nie miał nic innego do roboty. Uniósł je i kazał im mówić do siebie nawzajem. Z początku czuł się trochę głupio, ale potem coś się w nim przełamało. Szmaciany mężczyzna zaczął mówić jego słowami, a szmaciana kobietka słowami jego dziewczyny. Odtworzył z pamięci cały dialog, który nastąpił między nimi podczas jednej z ostatnich sprzeczek, tuż zanim odeszła.

- Czy ty w ogóle mnie słuchasz? Słuchasz, co do ciebie mówię?

- Owszem, pod warunkiem że mówisz z sensem. - Pamiętał wyraz zaskoczenia, który odmalował się wtedy na jej

twarzy; jakby nie mogła uwierzyć, że to powiedział.

- Naprawdę tak uważasz? Naprawdę myślisz, że cały czas wygaduję bzdury? Powiedz prawdę: chcę wiedzieć.

Podczas gdy milczał, zastanawiając się nad odpowiedzią, jej twarz przybrała toksyczną mieszaninę pogardy, złości i antypatii. Zdawała się mówić: „Tak właśnie myślisz, prawda?”

W tym samym momencie poczuł się, jak gdyby ktoś rąbnął go pięścią w żołądek. Widząc tę straszną minę na jej pięknej twarzy, miał wrażenie, że jego duch skurczył się w nim ze wstydu; wiedział, co zaraz się stanie.

- Od kiedy tak myślisz? - Kobieta-pacynka klasnęła w swoje krótkie rączki, jak gdyby chciała zwrócić na siebie pełną uwagę.

Mały mężczyzna na jego lewej dłoni odwrócił się od niej, tak samo jak on tamtego wieczoru.

- Bo ja wiem. Od jakiegoś czasu.

- Od jakiegoś czasu? I nie powiedziałeś mi o tym?

W takich razach niemal zawsze pojawia się chwila, w której wszystko staje się absolutnie oczywiste: widzi się ludzi, rzeczy i sytuacje tak jasno i wyraźnie, że prawda nie nastrocza najmniejszych wątpliwości. Choć tego rodzaju epifania jest ważna, jeszcze istotniejsze jest to, jak z niej skorzystamy. Logika dyktuje zgodę, lecz zaprzeczenie jest dużo łatwiejsze i wygodniejsze.

Obrócił szmacianego człowieczka ku sobie i spojrzał na niego groźnie.

- Ty bałwanie. Ty zakuty łbie. Po coś to mówił? Jaki to miało sens? - Osadzona na jego dłoni pacynka skinęła głową. - Wystarczyło, abyś słuchał. Wystarczyło, abyś UDAWAŁ, że słuchasz. Ale nie, musiałeś jej powiedzieć, co

myślisz, i zraniłeś jej uczucia. Dzięki, panie Szczery. - Mały człowieczek skinął ponownie, tym razem wolniej, wyraźnie zawstydzony.

Położył go na stole i zwrócił się do małej kobietki.

- Co miałem robić? Czy mogłem jeszcze wtedy cokolwiek zrobić, aby naprawić sytuację - i uratować nas?

Gdyby mogła, pacynka wzruszyłaby ramionami.

- Prawdopodobnie nie, ale wtedy NIE CHCIAŁŚ nas ratować.

Udawał, że to naprawdę jego dziewczyna, a nie gumowa główka zatknięta na trzech palcach wypowiada słowa obwieszczające koniec ich związku.

Pierwszy raz odegrał sceny z ich życia za "pomocą" pacynek. Początkowo czuł się nieco dziwnie, ale efekt był oczyszczający. Gdy powtarzał znajome kwestie i dodawał następnie własne postscriptum, nabierał dystansu wobec różnych scen, oglądał je z zaskakująco nowej perspektywy.

W następnym tygodniu trzymał pacynki na kuchennym stole. Od czasu do czasu sięgał po nie i odgrywał z pamięci kolejną scenkę. Albo wkładał w usta jednej z nich monolog, zwykle będący powtórką z czegoś, co zdarzyło się w jego minionym życiu. Urodzinowy prezent, który nie doszedł do skutku. Dyskusja o kupnie kota, która przerodziła się w ostrą wymianę zdań na temat tego, jak długo wytrzymają ze sobą. Odtworzył nawet pamiętną rozmowę, która odbyła się tamtej nocy, gdy oboje, skończywszy się kochać, rozplakali się i w końcu wydawało się, że wszystko wróci do normy.

Przestał modulować głos. I kobieta, i mężczyzna mówili odąd jego naturalnym głosem. Jego dziewczyna zresztą miała przyjemny niski tembr, który nie miał nic wspólnego z idiotycznie piskliwym falsetem, jaki nadał jej przy pierwszej

próbie.

Którejś nocy zadzwoniła i spytała, co u niego słychać. Zagranie w jej stylu: choć zerwali ze sobą, nadal się o niego martwiła. Rozmawiali przez parę minut. Chciał jej powiedzieć, że prezent, którym się z nim pożegnała, bardzo mu się podoba, że pomaga mu przetrwać ten trudny czas bez niej. Pomyślał jednak, że może to zabrzmieć dziwnie albo żałośnie, kiedy nagle jej wyzna - co było zgodne z prawdą - że bawi się lalkami. Odgrywanie istotnych epizodów z ich przeszłości, które nazywał „scenariuszami”, sprawiało mu coraz większą frajdę. Pewnej nocy, nie mogąc zasnąć, siedział na kanapie w salonie do trzeciej nad ranem i cały czas milcząc, trzymał pacynki na dłoniach. Towarzyszyły mu do chwili, aż się położył.

Jak by zareagowała na wieść o jego „występach”? Jak ON by się zachował, gdyby role się odwróciły? Nieładnie. Lepiej trzymać gębę na kłódkę. Gdy ich rozmowa zbliżała się do końca, spytał ją z głupia frant, jak wabił się jej ulubiony pies. Skonsternowana odpowiedziała mu i zaraz spytała, do czego mu to potrzebne. Odrzekł, że od paru dni usiłuje sobie przypomnieć i doprowadza go to do szału.

W miarę jak jego scenariusze stawały się dłuższe i rozbudowane, zaczął częściej zapisywać konkretne słowa, a nawet dialogi, które zamierzał w nich wykorzystać.

Którejś soboty, jedząc sandwicza z tuńczykiem i wyglądając przez kuchenne okno, uzmysłowił sobie, że pamięć jest dość zawodnym przyjacielem. Często kłamie, przynajmniej fakty i zapomina o rzeczach zarówno ważnych, jak i błahych. Pamięć okrada cię się z fragmentów życia, które należą ci się w wieczyste użytkowanie. To mniej więcej tak, jakbyś powierzył jedyną kopię własnej biografii jakiejś

kapryśnej, roztrzepanej osobie, która nie zawsze wykonuje należycie swoje obowiązki i której nie chce się prowadzić ksiąg. W przeciwieństwie do ciebie nie obchodzi jej, jak nazywała się ta rozkoszna francuska restauracja w Amsterdamie ani jak miała na imię siostra twojego licealnego wroga.

Gdy próbował sobie przypomnieć szczegóły związane z okresem życia, który dzielił ze swoją cud-dziewczyną, coraz to natykał się na barierę, poza którą - jak stwierdzał - pewne detale przepadały bezpowrotnie. Co robili na pierwszej randce? Jaki żart powiedziała, kiedy pierwszy raz poszli do łóżka? Jak wabił się jej ukochany pies, o którym mogła gadać w nieskończoność?

Pewien jego kolega z pracy posłużył się kiedyś wyrażeniem „wygodna historia”, mając na myśli to, jak ludzie zapamiętują swoje życie albo poszczególne zdarzenia. Fakty są płynne. Większość ludzi żyje w wygodnych, skrojonych na własną miarę historiach zbudowanych z omylnych wspomnień - czasem prawdziwych lub tylko wypaczonych, a czasem absolutnie fałszywych. Pozwalają im one jednak zachować spokój umysłu, codzienną równowagę, a bywa, że i zdrowie psychiczne.

Czy jego pacynkowe scenariusze odzwierciedlały to, co istotnie zaszło, czy też były jedynie mglistymi, wygodnymi historiami, które sobie uroił, aby załagodzić ból po jej odejściu?

Opowieść o wiecznie remontowanym mieszkaniu stanowiła klasyczny przykład jego dylematu. To, co zdążył jej zrelacjonować, było prawdą: w pustym mieszkaniu na trzecim piętrze od kilku miesięcy trwały prace wykończeniowe. Pewnego dnia zakradł się tam na przeszpiegi, a

potem opowiedział jej o swoich odkryciach. Interesowały ją konkrety, on jednak zbył jej pytania, uznając je za drugorzędne. Zbyt późno dotarło do niego, że znowu ją obraził; znowu jej nie słuchał; nie zwracał uwagi na to, co było dla niej ważne.

Wiedział od dawna, co się święci, ale jak zwykle odpychał tę myśl. Nikt nie chce utracić czegoś, co ma wartość. Tym razem był to prawdziwy skarb. Pod wieloma względami ich związek układał się znakomicie. Wiedział o tym. Co gorsza, wiedział również, że mimo jego licznych wad kocha go całkowicie. Mówiła o nim „mój facet”, starała się, by wszystko między nimi grało. Jak jej się to udawało? Jak zdołała zaakceptować... przełknąć... przeoczyć jego dziwactwa, rozbuchane ego i długie, posępne milczenie, które doprowadzało ją do białej gorączki? Ilekroć o tym dyskutowali, powtarzała, że kocha go i kropka. Jeżeli się kogoś kocha, trzeba być gotowym na kompromisy i ustępstwa. Czasem uderzasz się w pierś albo siadasz na dłoniach, gdy świerzbi cię ręka, aby rozkwasić mu nos. Czasem przygryzasz język albo oddychasz ustami, gdy jego zachowanie cuchnie jak skunks. Takie już są: reguły miłości. Robisz, co w twojej mocy, aby nimi nasiąknąć. Ponieważ korzyści przeważają nad wadami. Czyż on nie uważał tak samo? Zawsze odpowiadał twierdząco, ale jego serce kręciło przecząco głową!

Niestety poznał to uczucie aż za dobrze. Wszystkie nowe znajomości zaczynały się bajecznie. Cała naprzód, bukiety róż i pocałunki; wszystko było na „tak!” Prędzej czy później jednak „tak” stawało się coraz cichsze, zjawiało się coraz rzadziej, a potem „nie” wprowadzało się do twojego domu - i cena nieruchomości leciała na łeb na szyję. Po

jakimś czasie dostrzegał u kobiet cechy niepożądane, które w pierwszych dniach szczęścia albo przeoczył, albo zignorował. Od tego momentu wiedział już, że choćby nie wiadomo co uczynił, jak bardzo starał się uratować tę miłość, skazana była ona na klęskę.

Reszta była kwestią czasu. Smutne, ale prawdziwe. Lubiał każdą z tych kobiet i szczerze zależało mu, aby zbudować związek. Chciał się dowiedzieć, jak to jest kochać drugiego człowieka przez całe życie. Kochać go w taki sposób, jaki widział na własne oczy i o jakim czytał w tysiącach wychwalających miłość książek. Autentyczne, stuprocentowe uczucie, które z latami zmienia kolor jak kameleon, ale cały czas TRWA. Ani razu nie doświadczył takiej miłości i w głębi serca czuł, że już jej nie doświadczy.

Nawet gdy wiedział, że związek ostatecznie się rozpadł, próbował przedłużyć go do końca, mając nadzieję, że w jego martwym sercu rozbłyśnie nagle jakaś iskra, która roznieci dawne uczucie. Że ponownie zagości między nimi zdumienie i oboje napiszą następny rozdział wspólnego życia.

Chociaż nadzieja ta nigdy w nim nie umierała, decydował się jednak na kolejny krok: Jeśli tam, gdzie mieszkali, jego ukochana czuła się szczęśliwa, wynajdywał najlepsze mieszkanie w bloku albo dom na ich ulicy i opróżniał go. Czasami starczyło zaoferować właścicielom odpowiednio dużą sumę pieniędzy. Najczęściej jednak, jako że właściciele mieszkań to stworzenia uparte i prowadzące osiadły tryb życia, sprowadzał pod ich dach śmierć albo inną tragedię, która sprawiała, że wyprowadzali się czym prędzej do nowego lokum.

Gdy mieszkanie pustoszało, wynajmował ekipę, która

odnawiała je od podłogi po sufit. Znał już wtedy upodobania swojej dziewczyny, więc wiedział, jakiego typu zmiany i przekształcenia należy wprowadzić w nowym miejscu. Jedna z kobiet marzyła o gładkim chłodnym metalu, inna o walijskim domku ze słomianym dachem. Pewna wysoka kobieta, która powoli traciła słuch, chciała mieszkać w domu z ogromnymi oknami wychodzącymi na niezmierzone piaski namibijskiej pustyni. Tak wyrażała się jego wdzięczność: w zamian za ich miłość i niespełniony optymizm dawał im wymarzony dom. Czasem opowiadał im o tych remontowanych domach; czasem - jeśli chcieli - pokazywał im je zawczasu.

Jeżeli nawet nie wiedział, co to naprawdę znaczy być człowiekiem, był przynajmniej życzliwy: dawał tym sympatycznym kobietom coś, czego pragnęły. Gdy remont dobiegał końca, wypowiadał odpowiednie zaklęcie - i naraz kobieta znajdowała się w swoim wyśnionym domu; zapominała o ich wspólnym życiu w minionych miesiącach. Nawet nie zastanawiała się, jak trafiła do tej wspaniałej, nowej siedziby - po prostu tu mieszkała. Od zawsze.

Wziął pacynkę i wsunął ją na dłoń. Na stole stała szklanka wody. Podniósł ją ręką z pacynką i upił mały łyk. Woda zadrżała w szklance, kiedy odstawiał ją z powrotem na stół.

-Nerwowa woda. - Uśmiechnął się.

-Woda nie może być nerwowa - odezwała się pa- cynka.

Przypomniał sobie! Właśnie to powiedziała mu tamtej nocy, gdy pierwszy raz się kochali. Kiedy skończyli, poprosiła go o coś do picia. Przyniósł jej z łazienki szklankę wody. Podając jej naczynie, spostrzegł, że woda się trzęsie, i powiedział półzartem:

-Nerwowa woda.

- Woda nie może być nerwowa - odparła. - To drzy
twoje SERCE...

Spis treści

Kobieta, która wyszła za chmurę Niech się stanie
przeszłość!

Menel

Pół kroku od furii

Nic do oclenia

Dom na wyżynie

Złodziej grawitacji

Skradziony kościół

Eliza Bandzior

Vedran

Arka Noego

Woda nie może być nerwowa

